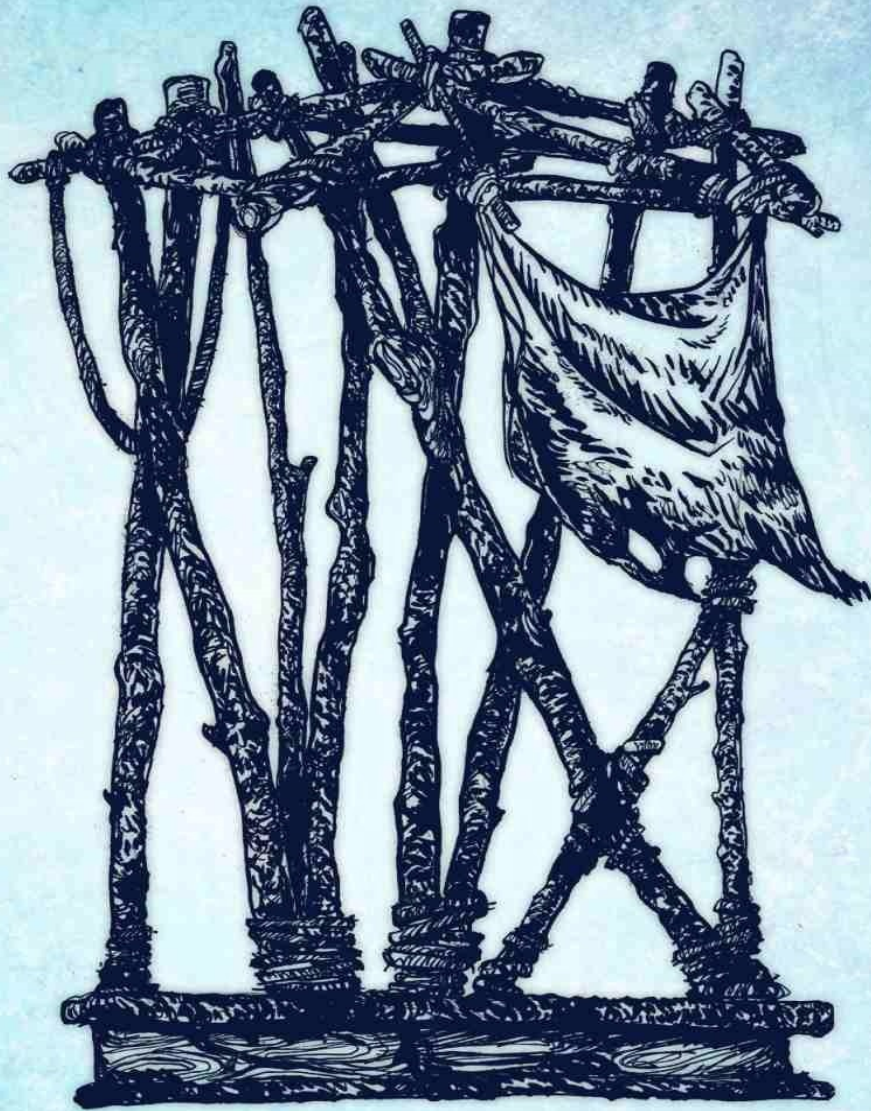


ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



TOM

II

DZIEJE NULANI

Na caley ziemni nie byta doli jak moja dola. Na caley ziemni nie byta kleski jak moja kleska. Na caley ziemni nie byta doli jak moja dola. Na caley ziemni nie byta kleski jak moja kleska.

Na caley ziemni nie byta doli jak moja dola. Na caley ziemni nie byta kleski jak moja kleska. Na caley ziemni nie byta doli jak moja dola. Na caley ziemni nie byta kleski jak moja kleska.

ebookpoint.pl Kopia dla: **waramyr**



ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



·T·O·M·
·II·
DZIEJE NULANI

WYDAWNICTWO

ZONA ZERO

Okladka, grafika na okładce i portret Autorki

Monika Lipiec

Redakcja

Martyna Połusznna

Dyrektor projektów wydawniczych

Maciej Marchewicz

Skład i łamanie

Point Plus

ISBN 978-83-947599-5-7

Copyright © by Anna Borkowska

© Copyright for Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca

Zona Zero Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

Tel. 22 836 54 44, 877 37 35

Faks 22 877 37 34

e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział pierwszy. Dwa listy

Rozdział drugi. Zapomniane intrygi

Rozdział trzeci. Pustelnia

Rozdział czwarty. Bardowie na wyspie

Rozdział piąty. Wyspa bardzo nieszczęśliwa

Rozdział szósty. Przewrót

Rozdział siódmy. W niewoli

Rozdział ósmy. Pieśń o drodze Dżugidów

Rozdział dziewiąty. Dżauri idzie w góry

Rozdział dziesiąty. Godzina Tmutów

Rozdział jedenasty. Pani połowy Świata

Rozdział dwunasty. Lawina

Rozdział trzynasty. Lennik

Rozdział czternasty. Dziewczyna znad rzeki jaskółczej

Rozdział piętnasty. Władca



ROZDZIAŁ PIERWSZY

DWA LISTY

Pogrzeb Dejna Imanu zaledwie zauważono. Agwen i jego dwaj starsi bracia złożyli ciało na stosie pośpiesznie zbudowanym z chrustu, by po godzinie odnieść wszystko, co jeszcze zostało, do rodzowego kurhanu. Nulani chciała śpiewać, ale nie było szalánu, a zresztą ojciec natychmiast uciszył ją i odpędził. Odeszła Drogą Ora, smukła i drobna w swojej purpurowej szatce na tle krzyczącej do słońca bieli brzóz i kamieni. Agwen patrzył za nią zatroskany. Rok temu tak wyraźne dziedzictwo duchowe po starcach z rodu Imanu byłoby powodem do chluby; dzisiaj było znakiem zagłady, piętnem takim, jakie wycina się na drzewach przeznaczonych do wyrębu. Co opętało właśnie jego dzieci spośród wszystkich dzieci rodu, że się z tym dziedzictwem tak zaciekle utożsamiają na własną zgubę? Tagun już przepadł, dziedzic i chluba ojca, i trzeba jeszcze uważać za zdobycz i szczęście, że przynajmniej przepadł żywy. Nulani, pozornie krucha i uległa, niesie oto teraz Gościńcem Ora... raczej Gościńcem Wschodnim... promienisty upór. Ojciec za radą Ungany wybrał w stosunku do niej drogę łagodnej namowy raczej niż przymusu i kary, ale nic jak na razie nie świadczy o skuteczności tej drogi. Co prawda... Może i mają jakąś rację głupie dzieci. Może razem z białym, cichym bytowaniem przepada coś wielkiego i pięknego. Na pewno przepada poczucie bezpieczeństwa: nigdy przed przyjściem Tanu nikt na Wyspie nie obawiał się o całość swoich kości ani nie drżał przed donosem, tak jak Agwen Imanu, gubernator Wschodniej Połaci, drży teraz właśnie. I myśli: Kto mógł wiedzieć, że Nulani wbrew zakazowi przyszła na Plac podczas pogrzebu? Kto o tym doniesie Władcy? Na pewno ktoś taki się znajdzie. Tanu potrzebuje wiadomości i płaci za nie: czasem złotem, czasem łaską i wywyższeniem. Na pewno ktoś taki się znajdzie, nędznik. Pięści gubernatora zaciskają się na tę myśl. Jak wykryć i ukarać takiego łotra? O co by go oskarżyć przed Władcą, żeby jego donos nie został przyjęty?

Cudowną rzeczą są barwy i skrzydła, inaczej się od ich przyjścia oddycha i żyje, ale

przyniosły ze sobą także strach i wrogość, i gryzącą zawiść. Może nie musiały przynieść, któż zgadnie? Ale przyniosły. A tego wszystkiego nie znały białe, dawne czasy. Więc chociaż nie ma odwrotu i chociaż po to jest rozum, żeby się można było w tych nowych czasach jak najlepiej urządzić, trudno tłumaczyć małej córeczce, tak dziecinnej jeszcze mimo swoich szesnastu lat – trudno tłumaczyć, że tak jest właśnie najlepiej! Bo mogłaby zadać jedno z tych prostych pytań; które czasem dorosłym zadają dzieci, a których dorośli woleliby uniknąć.

– Czy Nulani tu była?

Agwen odwrócił się. Jego bracia dogaszali właśnie ogień, by móc zebrać resztki ciała do kamiennej urny. Pytanie jednak zadał nie żaden z nich oczywiście, tylko Inutu, którego przyjscia trzech dorośli w ogóle nie zauważyli. Stał teraz pośród nich mały i szczupły, z głową wyzywająco podniesioną, całkiem tak samo, jak kiedyś stanął przed Władcą. Tym samym ruchem owijał się kolorowym płaszczem, co wtedy białym, a każda fałda tego płaszcza potwierdzała swoim układem to, co oni i tak wyczuli bez trudu: wewnętrzne napięcie chłopca. Agwen położył mu dłoń na ramieniu.

– Przede wszystkim ciebie tu nie powinno być – powiedział. – Uciekaj, my szybko zapomnimy, żeśmy cię widzieli.

– Jestem tu z wiedzą Tanu – odrzekł Inutu niepotrzebnie głośno – i pytam z jego woli: czy Nulani tu była?

– Nie!

Było to pierwsze wyraźne kłamstwo w życiu Agwena i nie brzmiało zbyt przekonująco. Zresztą Inutu siedział w domku straży już od rana i nie musiał pytać, żeby wiedzieć.

– Kłamiesz – powiedział. Nie spuszczał wzroku z Agwena, a ten uczył, że chłopiec jakby odrobinę się uspokoił i że znajduje jakieś złośliwe zadowolenie w tym wciąganiu go w pułapkę. Wstrząsnęło nim oburzenie na podłego smarkacza: gdybyż to nie był syn Ungany!

– Chciałbyś mnie zabić – rzekł Inutu z wyraźną już przyjemnością – ale boisz się mojego ojca.

– Chciałbym tylko wyłoić ci skórę – odpowiedział Agwen, chwytając go za ramię – a myślę, że twój ojciec będzie mi nawet za to wdzięczny!

Inutu nie cofnął się, chociaż zadygotał – ze strachu, z gniewu, z radosnego podniecenia łowcy? Powiedział powoli i z naciskiem:

– Nulani była na Placu.

A kiedy uznał, że jego przeciwnik wysnuł już z tego wszystkie wnioski, dodał:

– Puść mnie.

I Agwen cofnął rękę. Mógł już teraz tylko patrzeć w ziemię.

– Ukryję to przed Tanu – ciągnął Inutu – ale musisz przede mną uklęknąć, jak Dżugidowie klękają przed nim...

I Agwen ukląkł.

– ...i musisz przysiąc, że jeśli ci coś rozkażę, to to spełnisz.

I Agwen przysiągł. Przyszło mu do głowy, że właściwie kupuje spokój całkiem tanio. Bo może teraz – odkąd Lud Wyspy zmienił obyczaje – dotrzymywanie przysiąg nie obowiązuje już tak ściśle? Trzeba też będzie pomówić z Unganą, który może wcale nie wie, że jego syn podjął się roli szpiega. Wprawdzie zawód ten jest na Wyspie nowy

i chwyta się go (jak każdej nowości) wielu najszanowniejszych nawet obywateli, ale jednak jakoś chyba nie pasuje do godności książęcej. Może więc Ungana powściągnie złośliwego malca. Jeśli natomiast Ungana wie o wszystkim, to jeszcze lepiej: w takim razie zobowiązanie podjęte wobec jego syna dotyczy jego samego, a polityk z niego zręczny i warto z nim trzymać.

Ungana zaś w rzeczywistości nie wiedział nic o tej sprawie; co więcej, nie wiedział o niej nic i Dżauri Tanu. (Inutu miał prawdziwe szczęście, że Władcy zupełnie wymknęło się z pamięci pytanie, czy aby pogrzeb zamordowanego starca nie stał się okazją do niedozwolonych manifestacji). Nikogo też nie posyłał na wschodnie wybrzeże; kazał nawet, by Zanga Ulawe, od pewnego czasu Generalny Donosiciel, wraz z kilku zebranymi już pomocnikami pozostał przez parę dni w Durri, badając, czy los małego Taguna nie wywołał tam oburzenia albo choćby litości. Toteż Inutu, za młody jeszcze, by w snuciu planów brać pod uwagę wszystkie okoliczności, poszedł na Plac Wschodni ryzykując swoją i ojca głowę – ale przypadkiem uszło mu to na sucho.

Wracał też do domu niesłychanie dumny, bo zaznał po raz pierwszy rozkoszy uzależnienia od siebie równej sobie istoty myślącej. I to wyłącznie dzięki swej pomysłowości w zastawianiu sieci pozorów; nie umiał jeszcze nazwać tego po prostu intrygą. I to w dodatku w miejscu, które jeszcze kilka dni temu widziało jego upokorzenie, poczucie niższości, rozpaczliwą niemoc. Plan ułożony wczorajszego wieczora i natychmiast też w czyn wprowadzony (Inutu musiał iść szybko przez całą noc, żeby zdążyć na Plac w porę) powstał nie tylko z chęci dorównania ojcu w zręczności dyplomatycznej, chociaż to był jedyny motyw, z którego Inutu zdawał sobie sprawę. O wiele głębiej, tam gdzie już jego świadomość nie docierała, leżały – i działały z ukrycia – wstyd, gorycz, poczucie klęski, wszystko to zwielokrotnione jeszcze przez niedawno przeżyta ulgę. Teraz, kiedy ocalonemu Tagunowi nie czuł się nic winien, Inutu mógł już tylko nienawidzić wszystkiego tego, do czego poprzednio nie dorastał, i wszystkich tych, którzy mu się z tą klęską kojarzyli. Brał na nich pierwszy odwet upokarzając w osobie Agwena ród Imanu i już w drodze powrotnej snuł plany dalszych odwetów. Jego dziecinna wierność dla tradycji Wyspy, tak hałaśliwa i zaczepna dlatego właśnie, że zawsze towarzyszyła jej jakaś ukryta niepewność, teraz poniosła już klęskę i rozsypała się ostatecznie. Nikt na całej Wyspie nie był obecnie tak zagorzałym wrogiem dawnych obyczajów jak mały Inutu.

Doszedł do domu około północy i zastał ojca jeszcze czuwającego. Tak się przynajmniej można było domyślać, widząc blask ognia przez szpary drzwi jego komnaty. Inutu sądził, że ojciec czeka na niego, toteż wszedł tam natychmiast, ale nie zastał nikogo. Kaganek, najwyraźniej świeżo napełniony, stał na ziemi w bezpiecznej, acz niedużej odległości od drewnianego rzeźbionego krzesła, na którym zwykle siadywał Ungana. Aż do powały biegły drgające cienie, rzucane przez oparcie krzesła i przez inne stojące dookoła sprzęty. I najwyraźniej było pusto. Inutu stał przez chwilę nasłuchując: cisza. Ponieważ jednak wydawało mu się oczywiste, że ojciec nie zostawiłby ognia kładąc się spać, postanowił na niego poczekać. Przez chwilę jeszcze stał niezdecydowany na środku komnaty, po czym, pewien już, że na razie nikt nie nadchodzi, usadowił się w ojcowskim krześle, naśladując nawet zwykłą pozycję Ungany. Władca!

Ktoś się cicho zaśmiał obok. I głos ojca, szeptem, w fingajskiej mowie, którą Inutu rozumiał od dawna:

– To, jak widzicie, jest mój następca.

Siedzieli na podłodze na megnijskiej macie, ojciec i dwóch Fingajów, niewidoczni zupełnie w cieniu rzeźbionej ławy przeznaczonej zazwyczaj dla dostojnych gości. Kto by zajrzał do komnaty przez drzwi lub przez szparę w oknie, mógłby potem przysiąc, że w niej nie było nikogo. Tylko po co? Nagle Inutu uświadomił sobie, że jego wielki ojciec musi nawet we własnym domu strzec się zdrady i przechytrzać szpiegów Tanu. To było oburzające, ale – uwaga: skoro ojciec nie podniósł się jeszcze z podłogi i nie przemówił do niego głośno, może niebezpieczeństwo trwa? Może właśnie ktoś zagląda przez okno? Inutu, który już się poderwał z krzesła, opadł na nie z powrotem, przez chwilę demonstracyjnie nasłuchiwał, po czym udał, że zapada w drzemkę. Dobiegł go znowu szept ojca:

– Zgaś światło, jakbyś wychodził i przyjdź tu do nas.

Teraz nie było już widać nic, nawet zarysów postaci. Inutu dotarł do nich po omacku i usiadł przy ojcu. Ungana zapytał w języku Wyspy:

– Gdzie byłeś tak długo?

– Imanu odprawiali pogrzeb na Placu – odpowiedział chłopiec – Nulani przyszła także. Powiedziałem Agwenowi, że mnie przysłał Tanu, a on się bardzo przestraszył. Zażądałem przysięgi, że mnie będzie słuchał, i złożył. Nawet ukląkł przede mną.

I nagle, jakby siedział przy kamieniu: od ojca zawiąło chłodem. Słowa, kiedy przyszły, już tylko to potwierdziły:

– Parobek, gdyby się dorwał do korony, nie inaczej by sobie poczynił.

Inutu na chwilę oniemiał i nie mógł nawet zapytać: Dlaczego? Fingaje również milczeli taktownie, udając, że nie rozumieją, albo że ich w ogóle nie ma. Ungana ciągnął:

– Popełniłeś prostactwo niewybaczalne. Żebyś to sobie tym łatwiej zapamiętał, pójdiesz jutro do Agwena, odwołasz, co nałgałeś, i przeprosisz go.

– Czyż ty nigdy nie kłamiesz? – krzyknął Inutu oburzony. Ojciec, i tak dotąd mówiąc szeptem, zniżył głos jeszcze bardziej.

– Nad własnym gardłem nie panujesz, a chcesz udawać władcę. I nawet tego nie rozumiesz, że nie za kłamstwo cię karzę, tylko za to, żeś kłamał niepotrzebnie i głupio. Dałeś się ponieść zwykłej, prostackiej żądzy zemsty i zwykłej, prostackiej żądzy władzy, wspólnej dla wszystkich abalahinda. A władca musi nawet to w sobie podporządkować polityce, inaczej zginie. A w dodatku zabrałeś się do tej roboty jak drwal do igły. Agwen oddał ci pokłon, boś go zmusił strachem: otóż władca powinien umieć tak rozegrać sprawy, żeby on to zrobił z własnej woli. I jeszcze miał to sobie za zaszczyt, za łaskę, rozumiesz?

Nie dając chłopcu czasu na odpowiedź, mówił dalej po fingajsku:

– Teraz zostań tutaj i słuchaj, bo żeglarze przywieźli mi ważne nowiny, a tobie przyda się wiedzieć coś więcej niż to, co się dzieje na Placu.

Te ostatnie słowa Inutu odczuł najboleśniej, były bowiem stwierdzeniem, że wbrew pozorom i wbrew swemu własnemu przekonaniu nie zdołał się jeszcze wyzwolić z zaklętego kręgu dawnego życia. Zacisnął pięści w ciemności, postanawiając w duszy, że jeszcze im wszystkim pokaże, jeszcze pokaże... Ojciec tymczasem zwrócił się do swoich nocnych gości:

– Zechciejcie, czcigodni, powtórzyć mi słowa królewskie.

Z mroku, z prawej strony odezwał się jeden z Obcych:

– To mówię ja, Kneh, król Ut-mut, pan Lhed, do ciebie, Ungano Nile, księżę Wyspy Szczęśliwej, zwanej też Wyspą Mgieł. Znaleziono w tajnym archiwum Tęczowej Kopuły

i odczytano przede mną zapis tej treści: Za dni Reh, króla Ut-mut, pana Lhed, przemówiły gwiazdy. Mowa gwiazd do króla Reh: Godzina Tmutów wschodzi, ale jeszcze nie jest bliska: ustanów przeto stróża na dalekiej wyspie na wschodzie, aby ci dał znać o godzinie. Tyle słów gwiazd do króla Reh. Przeto ja, Reh, król Ut-mut, pan Lhed, ustanawiam ciebie, Sanu Mé, księcia Wyspy Mgieł, leżącej na wschodzie, stróżem Godziny Tmutów. Ty albo twój potomek dasz o niej znać mnie albo mojemu potomkowi w sposób umówiony. A ten będzie znak: pošlesz mi potajemnie niewolnika z twojego ludu. Tyle słów moich, króla Reh. A ja, Sanu Mé, księżę Wyspy Szczęśliwej, obiecuję dać znać o Godzinie Tmutów tobie, królowi Reh, w sposób umówiony. Tyle słów moich, księcia Sanu Mé. Potąd są słowa zapisu, który odnaleziono. A przy tym zapisie są pieczęcie królów, którzy byli po królu Reh. Ale pieczęci dwóch ostatnich królów tam nie ma. Przeto ja, Kneh, król Ut-mut, pan Lhed, widzę, że zapis ten był u nas przez jakiś czas w zapomnieniu. Pytam więc ciebie, Ungano Nile, księżę Wyspy Mgieł, zwanej też Wyspą Szczęśliwą, czy na twojej Wyspie zapis ten trwa w pamięci i w mocy. Tyle słów moich, Kneha, króla Ut-mut, pana Lhed.

To brzmi jak jakieś stare podanie – pomyślał Inutu. Ciekaw był odpowiedzi ojca: czy będzie utrzymana w tym samym stylu? Ut-mut leżało gdzieś bardzo daleko, ale taki polityk jak ojciec na pewno nie lekceważy dalekich władców, więc chyba odpowie i temu w taki sposób, żeby pozyskać jego przyjaźń. Może doda do jego baśni jakieś nowe, barwne szczegóły? W każdym razie ową Godzinę Tmutów, cokolwiek by to było, odsunie na pewno na czas nieokreślony a długi, bo byłoby bardzo kłopotliwe robić w imieniu gwiazd obietnice, których by potem nie miał kto spełniać...

Ungana tymczasem pytał:

– To już wszystko, z czym was przysłał król Kneh, czcigodni?

– Wszystko, z czym nas przysłał Kneh – odpowiedział drugi Fingaj, siedzący z lewej – Ale mamy także dla ciebie, panie, list słowny od naszego Starszego.

– Mów, proszę.

Fingaj zaczął recytować:

„W Bamabeha, na Wielkim Archipelagu, dnia czternastego Kude, roku pięćset czterdziestego drugiego Ery Rozproszenia. Do Jego Ekscelencji księcia Ungany Nile, władcy Wyspy Szczęśliwej. Ekscelencjo, mam zaszczyt donieść, że po śmieci Weotego syna Bimi, Starszego ludu Fehine, z obioru Wielkiej Rady tegoż ludu objąłem po nim następstwo. Zgodnie z postanowieniami układu zawartego między poprzednikiem Waszej Ekscelencji, księciem Meigo Ganumi, a moim poprzednikiem Hehegą, synem Meomego, w piątym roku Ery Rozproszenia, ratyfikuję niniejszym na czas pełnienia przeze mnie tego urzędu wszystkie punkty tegoż układu, a szczególnie ten, który przyznaje Waszej Ekscelencji pierwszeństwo w dostawach informacji. Proszę zarazem Waszą Ekscelencję o wzajemne ratyfikowanie tegoż układu, ze szczególnym uwzględnieniem punktów dotyczących zobowiązań Waszej Ekscelencji wobec Fehine. Życzę waszej Ekscelencji powodzenia na lądzie i morzu, i zapewniam ze swej strony o nierozzerwalności naszego sojuszu. Ahohoi syn Emomego, Starszy ludu Fehine”.

Od najdawniejszych lat Inutu pamiętał nieustanne, a tak go kiedyś drażniące, kręcenie się Fingajów przy książęcym dworze. Teraz, gdy mu wyjaśniono przyczynę, nie czuł zdziwienia, ale raczej to zadowolenie, jakie płynie z wyrażenia jasnymi słowami czegoś, co właściwie wiedzieliśmy od początku. Był też ciekaw, jakie to zobowiązania podjęli i spełniają już od tak dawna książęta Wyspy wobec pajęczonogich żeglarzy, i czekał tym

niecierpliwiej odpowiedzi ojca. Ale ojciec zapytał znowu:

– Co jeszcze macie dla mnie, czcigodni?

Odezwał się znów Fingaj pierwszy, ten, który przedtem wyrecytował list – klechdę od króla Tmutów:

– Gotowi jesteśmy służyć ci, panie, pełnym zestawem informacji z Lhed.

– Co możecie dodać do relacji posłów z zeszłego miesiąca?

Fingaj zaczął wymieniać jakieś niezbyt zrozumiałe dla Inutu nazwy geograficzne – „punkty koncentracji sił zbrojnych”, jak mówił – dodając liczebność zebranych w nich oddziałów oraz opisując ich „stan gotowości bojowej”. Ungana zadawał mu szczegółowe pytania i ciągnęło się to wszystko dość długo. Wreszcie książę rzekł:

– Dobrze. Jeszcze jedno: kiedy i gdzie Kneh znalazł ten zapis i jak to się stało, że on poprzednio zaginął?

– Sposób zaginięcia nie został dotychczas wyjaśniony, panie. Co zaś do odnalezienia, to przyniósł go królowi Dir-Łowca, twierdząc, że od jakiegoś czasu miał go w swoim posiadaniu. Król podobno przejął się nim bardzo. Nie zdołaliśmy ustalić, czy pragnie po prostu wykorzystać ideę Godziny Tmutów dla swoich planów wojennych, czy też rzeczywiście wierzy w przepowiednię gwiazd. Nasi specjaliści od jego psychiki skłaniają się raczej do tej drugiej wersji. W takim wypadku twoja odpowiedź, panie, może mieć decydujący wpływ na jego dalszą politykę.

– Dobrze. Teraz słuchajcie, czcigodni, mojego listu, który zawieziecie Starszemu waszego ludu. Pojedziecie zaś prosto do niego, a nie do Lhed, z przyczyn, które za chwilę staną się dla was jasne. „Na Wyspie Szczęśliwej, dnia trzeciego Miesiąca Wrzosów, piątego roku naszego panowania. Do Jego Ekscelencji Ahohoi syna Emomego, Starszego ludu Fehine. Ekscelencjo, w odpowiedzi na uprzejmy list Waszej Ekscelencji, zawiadamiający nas o objęciu przez Waszą Ekscelencję władzy i ratyfikujący zawarte poprzednio między starszymi Fehine a książętami Wyspy porozumienie, ze swej strony ratyfikujemy i my wszystkie punkty wspomnianego porozumienia, a szczególnie ten, który przyznaje Fehine prawo pierwszeństwa do osadnictwa na ziemiach okupowanych obecnie przez Dżugidów, po wyzwoleniu tych ziem przez siły zależne od książąt Wyspy. Zarazem zawiadamiamy, że sygnał do inwazji Tmutów został już dany: wczoraj bowiem posłaliśmy królowi Knehowi, zgodnie ze starą umową, niewolnika z naszego ludu. Dotrze on do Lhed zapewne późną wiosną. Wasza Ekscelencja, znając nie gorzej od nas stan gotowości bojowej Tmutów, a będąc bliżej Lhed, łatwo obliczy termin przypuszczalnej godziny zero: według naszych orientacyjnych obliczeń powinien on przypaść na jesień ósmego roku naszego panowania, początek zaś ofensywy na ziemiach okupowanych obecnie przez Dżugidów – na jesień roku dziewiątego. Nie później niż wiosną ósmego roku należałoby zatem rozpocząć koncentrację osadników na pustyni Ba-szem oraz zakładanie baz zaopatrzeniowych na Wyspie. Zapewniamy zarazem Waszą Ekscelencję o naszej niezmiennej życzliwości i sojuszu. Ungana Nile, książę Wyspy Szczęśliwej”.

Była chwila ciszy, a potem zduszony głos jednego z Fingajów doszedł ni to z prawa, ni z lewa – Inutu zorientował się po chwili, że to było po prostu z ziemi. Obcy musiał widocznie pochylić się bardzo nisko, a jego głos drgał wzruszeniem wcale nie dyplomatycznym:

– Błogosławieństwo wszystkich wiatrów niech spłynie na ciebie, panie! Pięćset lat czekał nasz lud na tę chwilę!

– Więcej niż pięć razy po pięćset lat czekali na nią i pracowali nad nią moi poprzednicy

– odpowiedział powoli Ungana.

– Jesteś dziedzicem wielkich władców i godzien przewyższać ich wszystkich!

– Nie mówcie, czcigodni, o wieczorze przy wschodzie słońca! – odrzekł skromnie książę, przesyłając jednocześnie synowi myśl, którą można by wyrazić: „Widzisz? Prawdziwy władca opędza się od hołdów zamiast wymuszać je niezgrabnymi podstępami”. Inutu w mroku schylił głowę, ale nie odpowiedział nawet myślą. Zbyt wiele nowych rzeczy usłyszał przed chwilą i jeszcze nie umiał tego wszystkiego ułożyć w jakąś spójną całość. Więc wysłanie Taguna za morze było czymś więcej, czymś głębszym o wiele niż tylko próbą ratowania jego życia? Więc ojciec, chociaż tak się strzeże szpiegów Tanu, nadal samodzielnie zawiera układy i rozsyła posłów, jak gdyby Tanu w ogóle nie było na Wyspie? I w dodatku, nie mając żadnych sił, żadnej armii, obiecuje jednym ludom ziemię drugich, które zapewne ma dla niego (ale czemu dla niego?) zdobyć ktoś trzeci? Król Tmutów ma swoje plany i myśli, że ojciec jest jednym z tych, którzy tym planom służą. Ojciec mówi tak, jakby myślał, że to jego planom posłuży król Tmutów. A jeszcze Dżugidowie i Fingaje – nie, to zanadto zawiłe!

Ungana tymczasem zegnał posłów, po czym sam bezszelestnie wyprowadził ich za wrota, gdzie rozplynęli się w ciemności. Wrócił i kazał synowi iść już spać, dodając:

– Jak widzisz, do Agwena musimy jutro iść obaj.

Inutu nie rozumiał dlaczego, ale wołał się do tego nie przyznawać.



ROZDZIAŁ DRUGI

ZAPOMNIANE INTRYGI

Bywają państwa niewiele większe od gminy lub powiatu, których wewnętrzne dzieje – choćby dramatyczne – nie obchodzą nikogo na szerokim świecie. Bywa, że jakiś kronikarz, dla którego są one ważne i wielkie, spisze je szczegółowo, ale do jego dzieła nikt potem nie zagląda; a jeśli kto w nich i szuka, to tylko skrót najważniejszych zdarzeń, nie zaś wyjaśnień, jak i dlaczego do nich doszło.

Jeżeli mimo to trzeba tu będzie zdać sprawę w miarę dokładnie z dziejów kilku następnych lat na Gar'Ingawi, to nie dlatego, by gra tych nieustannie komplikujących się intryg i co chwila zmienianych przymierzy, prowadzona przez Dżauriego, Unganę, starego Cuszira i Zangę Ulawe, nie dała się streścić w paru krótkich zdaniach – albo nawet w paru dosadnych słowach – ale ze względu na ich wagę dla dalszych losów Nulani oraz samego Ungany, a to znaczy: i Wyspy, i połowy świata.

Zanga Ulawe wszedł do gry na prawach równorzędnego partnera w chwili, gdy Dżauri zdał sobie sprawę, że wiadomości, zbierane dla niego przez Generalnego Donosiciela, są mu być może dostarczane nie zawsze w komplecie i nie zawsze od razu. Mniej więcej równocześnie Cuszir przypomniał sobie nagle swoje dawne wysokie stanowisko w Ministerstwie Informacji Srebrzysto-Złotego Pałacu i podjął próbę nakłonienia Zangi, żeby ten go uznał za swego bezpośredniego zwierzchnika. Próba zakończyła się oczywiście niepowodzeniem: Zanga zbyt wiele miał już w rękę, żeby się uzależniać od kogokolwiek poza samym Tanu. Kiedy zaś wyczuł obudzoną nagle podejrzliwość Władcy, zaciągnął w szeregi swoich wywiadowców coś ze setką silnych chłopaków i wyjaśnił Dżauriemu, że kładzie w ten sposób podwaliny pod jego przyszłą armię. Dżauri, który dotychczas siedł, acz niechętnie, za radami Ungany i Cuszira, przekonanych, że na formowanie wojska jest jeszcze stanowczo za wcześnie – był takim pomysłem zachwycony. Opodatkował Lud na utrzymanie tych, jak ich kazał nazywać, Bohaterów Porządku, przy czym podatek ten

pozwoił ściągać im samym i rzadko kiedy przyjmował do wiadomości skargi, napływające do niego z tego powodu. Twierdził, że w ten sposób łatwiej niż w jakikolwiek inny nauczy mieszkańców Wyspy pragnąć kariery wojskowej. Odtąd przez jakiś czas Zanga był jego wyraźnym faworytem, a Cuszir i Ungana, przeszedłszy do porządku nad niedawną wzajemną wrogością, utworzyli całkiem zgraną opozycję. Działo się to tej zimy, którą Tagun spędził na Megni.

Ungana był natomiast rzeczywistym założycielem tajnej organizacji Obrońców Porządku, ale jej działalności nie pozwoił się rozwinąć poza krytykę nadużyć popełnianych przez Bohaterów i jakieś bardzo nieliczne, nieśmiałe i nieskoordynowane próby samoobrony. Do innych tajnych organizacji (a zaraz potem powstało ich mnóstwo) nie wtrącał się zupełnie. Zależało mu tylko na tym, żeby ich było jak najwięcej i jak najsłabszych, o co przy ogólnym rosnącym niezadowoleniu i zamieszaniu było łatwo.

Poza tym przeprowadził u Dżauriego kilka skutecznych interwencji w sprawach pokrzywdzonej przez Bohaterów ludności, występując zgodnie z prawdą jako naoczny świadek, toteż odtąd oddziały podatkowe przed przystąpieniem do akcji starały się sprawdzić, czy eksksiążę nie znajduje się przypadkiem gdzieś blisko. Tym chętniej oczywiście widziała go u siebie ludność cywilna. Krążył też ciągle po Wyspie i Zanga na naradach u Władcy zarzucał mu otwarcie, że stara się o tytuł i popularność obrońcy uciśnionych. Cuszir burzył się:

– Ktoś wreszcie musi się zatroszczyć o porządek w tym kraju! Zamieszanie robi się nie do zniesienia!

– Nie byłoby zamieszania – sęczył powoli Zanga – gdyby nie opór stawiany tym, którzy są powołani do wprowadzania porządku. Nasz były książę powołany do tego nie jest.

Ungana milczał. Coraz mniej mówił na radach. Dżauri milczał także, bo z jednej strony i jego już niepokoiło zachowanie się oddziałów Zangi, z drugiej jednak tylko w ich utrzymaniu i popieraniu widział szansę osiągnięcia swego celu: powrotu do Dżug-byru na czele sił zbrojnych. A właśnie teraz, gdy mu doniesiono, że Gordo poszedł wiosną z jakąś wyprawą na wschód, otwierała się możliwość opanowania nieobronnego chwilowo kraju przez małą armię, możliwość prawdopodobnie jedyna, nie do zmarnowania. Ale żeby ją wykorzystać, należało właśnie powiększać, nie zaś ograniczać liczbę oddziałów i wszelkie korzyści płynące z należenia do nich. Niedawno Dżauri kazał podsunąć Ludowi myśl, że dobrze by było, gdyby każdy mieszkaniec Wyspy miał przynajmniej jednego krewnego wśród Bohaterów Porządku. I Zanga doniósł mu wkrótce, że to spowodowało duży napływ chętnych. Wprawdzie w rzeczywistości Zanga nic takiego nie rozgłosił, bo dobrze rozumiał, że kasta uprzywilejowana nie może być zbyt liczna – ale Dżauri uwierzył i ucieszył się. Jego zdaniem Wyspa stawała się po prostu jednym wielkim obozem wojskowym przed bitwą – a w takich chwilach któż się przesadnie troszczy o cywilów? Mianował więc Zangę marszałkiem i nie wtrącał się zanadto w jego kłótnie ze starym radcą. Cuszir miał mu oczywiście za złe ten brak poparcia i tym więcej było w jego wypowiedziach gwałtowności i starczej goryczy. Wreszcie któregoś dnia wybuchnął.

– Jego Wysokość pan marszałek zapomina – krzyczał – że to na radach księcia, nie zaś jego, stało dotychczas całe przedsięwzięcie. I póki Tanu szedł za tymi radami, zmierzaliśmy do celu, wprawdzie powoli, ale pewnie. A teraz któż nam zaręczy, że Bohaterowie Porządku nie wpadną któregoś dnia na pomysł zrobienia porządku... tak właśnie, powiem raz wreszcie szczerze to, czego obawiam się od dawna: zrobienia

„porządku” i z nami?

Zanga zerwał się z oznakami najwyższego oburzenia.

– Tanu! – zaapelował do Dżauriego – Czy pozwolisz zarzucać zdradę najwierniejszemu swojemu słudze? Temu, na którego wierności oparte są twoje nadzieje?

– Nie pozwolę – odpadł Dżauri, nienaturalnie głośnym tonem pokrywając zmieszanie. Sam żywił podobne jak Czuszir obawy gdzieś na dnie serca, a w dodatku nie lubił upokarzać starego Dżugida wobec tubylców – ale przecież armia, jego armia, ta wymarzona armia! Dla jej zdobycia...

– Dostojny radca Czuszir – rzekł więc, starając się opanować swój głos i doprowadzić go do zwykłego brzmienia – niech i sam nie zapomina, że przyjechaliśmy tutaj nie po to, by dla mieszkańców tej wyspy otworzyć szkołę życia, ale po to, by jak największą ich liczbę zwerbować na wyprawę wojenną, która tak im, jak i nam przyniesie niewątpliwe korzyści. Pan marszałek wskazał nam skróconą drogę do tego celu, za co należy mu się nasza wdzięczność. Nie lekceważąc bynajmniej rad twoich i księcia Ungany, które zresztą też nie zawsze bywały zgodne, uznaję jego radę za najlepszą, a jego wierności ufam w pełni. I to są nienaruszalne podstawy mojej polityki! Mów, Zango, bo to, co masz do powiedzenia, zostanie z całą pewnością zaaprobowane przeze mnie i przez radę.

– Tylko twojej aprobaty pragnę, wielki Tanu – odpowiedział Zanga – I tylko na nią liczę. Dostojny radca Czuszir ulega bowiem ostatnio przejściowym (niewątpliwie) zaburzeniom nerwowym, typowym dla jego czcigodnego wieku, i z tej racji widzi niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie ma, ale go nie dostrzega tam, gdzie ono jest. Natomiast książę jest tym właśnie, przeciw komu jestem zmuszony dziś wreszcie wystąpić.

„Dziś wreszcie” było zwrotem równie patetycznym, co nieścisłym, bo Zanga występował już przeciw Unganie wiele razy, ale wszyscy uczestnicy rady przyjęli to po prostu jako zapowiedź zarzutów szczególnie ciężkich. I popłynęły rzeczywiście.

– Nieraz już nam wszystkim rzucało się w oczy – mówił marszałek – że Ungana występuje bezprawnie i bez upoważnienia w roli obrońcy rzekomo pokrzywdzonych wrogów porządku publicznego, a więc wrogów twoich, Tanu! Nieraz przy nas upominałeś go za to. Jak to się stało, że nie zmienił postępowania? Czyżby liczył na to, że jesteś tu samotny i nie będziesz wiedział? Ależ właśnie po to ja pokryłem całą Wyspę siecią swych agentów, żebyś nie był samotny, Tanu, żebyś mógł wiedzieć dobrze, co się dzieje w kraju! Wszystko, co teraz tu powiem, opiera się na sprawdzonych i poświadczonych zeznaniach i w każdej chwili mogą to powtórzyć przed tobą ci właśnie agenci, którzy sami na własne oczy to widzieli. Zacznę od punktu niby może najmniej ważnego, ale posiadającego głębokie symboliczne znaczenie. Przypominam sobie, jak sam dostojny radca Czuszir, któremu jakoś teraz te sprawy nie w głowie, strofował i prosił byłego księcia, żeby w swoich podróżach nie posługiwał się białym osłem. A jednak Ungana znów jeździ właśnie na zwierzęciu białym, wywołując przez to w umysłach ludności antyrządowe skojarzenia. Dalej...

– Pozwól, że ci przerwę – rzekł Dżauri. – Zwyczajem Dżugidów rozpatrywać będziemy każdy zarzut osobno. Ungano?

– Nie wiem, co będzie dalej – odpowiedział książę tonem, w którym brzmiało lekkie rozbawienie – ale w tej pierwszej sprawie chyba niekwestionowana wierność poniosła dostojnego marszałka zbyt daleko. Zaraz wytłumaczę. Posiadam wszystkiego dziewięć

osłów: na Wyspie uchodzi to za godne zazdrości bogactwo, ale ty, Tanu, przybywasz z Dżugne i możesz słusznie uważać mnie razem z moimi dziewięcioma osłami za nędzarza. Z tych dziewięciu osiem jest pociągowych, a tylko jeden, ten biały właśnie, wierzchowy. Na kupno nowego chwilowo mnie nie stać. Zgodnie z radą dostojnego Cuszira pomalowałem więc na jesieni tego białego na brązowo, farba jednak okazała się nietrwała i spelzła. Przez jakiś czas osioł był łaciaty i wyglądało to bardzo głupio. Dlatego teraz nie maluję go już ponownie. To wszystko.

Dżauri omal się nie roześmiał, a wysiłek potrzebny do zachowania powagi przeszkodził mu zauważyć, że jeśli Ungana usiłuje się bronić, to robi to bardzo niezgrabnie. Zaakcentował mianowicie jakoś dziwnie słowa „niekwestionowana wierność” i „godne zazdrości bogactwo”, czym wyraźnie rozdrażnił swego oskarżyciela. Zanga skurczył się cały i spytał bardzo powoli:

– Czy to kpiny?

– Ależ bynajmniej – odpowiedział Ungana. Dżauri, wciąż jeszcze rozbawiony, rozstrzygnął:

– Mów dalej, Zanga. Te osły zostawmy w spokoju.

– Twoja wola, Tanu! Pozwól jednak, bym cię przestrzegł przed znaną zdolnością Ungany do wykpiwania się z trudnych sytuacji. Przy twoim braku doświadczenia.

– Panie marszałku! – rzekł Dżauri urażony – Zechciej przejść do rzeczy. O co jeszcze oskarżasz księcia?

Zanga skłonił się na znak, że uznaje swój nietakt i żałuje za niego, a w ciągu tej chwili udało mu się opanować wzburzenie wywołane złościwością Ungany. Zaczął więc mówić zupełnie spokojnie, wytaczając kolejny zarzut: że mianowicie eksksiążę, krążąc po Wyspie, dobiera sobie w niejasnym celu jakby zwolenników czy współpracowników. Odbywa bowiem długie rozmowy z niektórymi z Ludu, poddaje ich jakimś próbom czy badaniom, do czegoś namawia. Właściwie tych rozmów nie udało się podsłuchać wywiadowcom... ale ich charakter i okoliczności obudziły najgorsze podejrzenia. Zanga byłby się rozwodził długo nad tymi podejrzeniami, ale przerwał mu sam Ungana, oświadczając najspokojniej, że oskarżenie zwiera „tym razem” sporo prawdy.

– Ty Tanu, jako Dżugid nie wiesz może – mówił – że nasz Lud posiada zdolność rozmawiania bez słów. Po prostu myślami. Ale nie wszyscy mają ją w jednakowym stopniu: jedni więcej, inni mniej, wielu wcale. Na ogół ci, którzy dawniej określali się jako „Szczęśliwi”, są w tym bieglejsi, a „Nieszczęśliwi” raczej tępi..., ale oczywiście zdarzają się wyjątki. Sam nie należę do najlepszych, toteż badanie tej sprawy jest dla mnie trudne i wymaga długich wysiłków. O ile mi wiadomo, Bohaterowie Porządku, których pan marszałek dobierał głównie spośród podobnych sobie, ograniczają się do zbierania dla ciebie tego, co się na Wyspie mówi głosem. Staram się uzupełnić tę lukę, nie tworząc przy tym żadnej konkurencji dla organów ustanowionych legalnie... przez pana marszałka. Bo nieprawda, żebym założył drugi wywiad czy kogokolwiek werbowałem. Badam wyłącznie sam.

– I cóż wykryłeś tą metodą?

– Jak dotąd nic godnego twojej uwagi, Tanu. Drobiazgi, które się zdarzały, przekazywałem miejscowym gubernatorom. Możesz wypytać o to wszystkich pięciu. Byli wielce radzi ci usłużyć...

Dżauri byłby może i gotów w to uwierzyć, Zanga jednak, który sam nie miał żadnych

zdolności telepatycznych i nie traktował ich poważnie, zarzucił natychmiast fałsz tym wyjaśnieniom. Dowodził, że maskują one jakiś rzeczywisty, wywrotowy cel poczynąń Ungany: był niewątpliwie na dobrym tropie, ale nie doceniając zręczności przeciwnika, uznał natychmiast, że tego celu należy szukać w czymś zupełnie niezwiązanym z tłumaczeniem, które podał książę. W rzeczywistości prawda leżała pod latarnią. Ungana istotnie odwiedzał lub wyszukiwał najsilniejszych na Wyspie telepatów, tylko nie po to oczywiście, żeby ich śledzić i oskarżać, ale dlatego, że mieli mu być potrzebni. Zanga jednakże sądził, że upatrzonym przez księcia narzędziem walki o władzę są nie jacyś nieuchwytni myślomówcy, ale buntowniczy ród Imanu; i przeciw temu rodowi wystąpił teraz z gwałtownym oskarżeniem.

– Póki on działa na Wyspie – wołał – porządek nigdy nie będzie zachowany. Wspomnienie starego Taguna jest wśród nich ciągle żywe, Dejno był głową jawnego buntu, a młody Tagun jego następcą. Agwen jako gubernator okazał się słaby, niezdolny do zapanowania nawet nad własną rodziną. Tylko protekcji Ungany zawdzięcza tę funkcję, a także to, że ją sprawuje nadal, mimo iż donosiłem tyle razy, że właśnie na jego terenie najwięcej jest konfliktów z organami porządku publicznego. Ale Ungana faworyzuje ten ród, podtrzymuje go i broni! Bywa tam niemal codziennie! A i to jeszcze nie wszystko. Wiedz, Tanu, że buntowniczej Nulani, której ty zakazałeś wstępu na Plac Wschodni, Ungana podarował dom przy Wschodnim Gościńcu, żeby mogła z okna patrzeć na drogę i uprawiać swoje gusła! Mieszka tam już od trzech tygodni, widać ją w oknie całymi dniami. Co gorsza, także i sam Ungana kręci się ciągle po Wschodnim Gościńcu na swoim białym... wybacz, Tanu, że do tej sprawy wracam! Czas, by się wreszcie wytłumaczył ze swego dwulicowego postępowania, a jeszcze bardziej czas położyć kres jego intrygom.

Ungana spojrział po uczestnikach rady. Zanga wprost dyszał wrogością, już teraz prawie nieukrywaną. Dżauri, któremu zasugerowano, że ktoś próbuje powtórzyć jego własny manewr, zdradzał już gniew wyraźny. Czuszir jednak wyglądał tylko na zakłopotanego... Wciąż jeszcze książę miał przeciwko sobie tych dwóch. Zaczął:

– Co do nieudolności Agwena Imanu...

Ale tu wpadł w jego mowę stary doradca:

– Pozwól, Tanu! Prawo Dżugidów chroni urzędnika królewskiego. Przewiduje ono, że gubernator oskarżony o złe wykonywanie swojej funkcji ma prawo, żeby rzecz została zbadana przez komisję złożoną z ośmiu sędziów. I dopiero po trzykrotnym przeczytaniu wszystkich zeznań i dwukrotnym przesłuchaniu...

– Dosyć! – przerwał z kolei Dżauri. – Nie chodzi nam o Agwena Imanu, tylko o ciężki zarzut wytoczony przeciw Unganie. Chcę wiedzieć, co on ma na swoją obronę!

– Zasadę – odrzekł spokojnie Ungana – że każdą rzecz lepiej wykorzystać niż zniszczyć. Dlatego to poświęcam tyle starań pozyskaniu rodu Imanu. A buntowniczkę Nulani można by oczywiście wygnać, sprzedać, w ostateczności nawet zabić – i takie metody zastosowałby najchętniej pan... marszałek. Moje są inne. Ja postanowiłem się z nią ożenić...

– Co takiego? – krzyknęli jednym chórem wszyscy trzej.

– ...A to – ciągnął Ungana – po pierwsze dla przełamania dawnego zwyczaju, który nie uznawał u nas powtórnych małżeństw, a po drugie dla odciążenia myśli dziewczyny od dziecinnych baśni. Czy mi się to uda, czas pokaże. Na razie umieściłem ją rzeczywiście

w starej kamiennej chacie, która należała do moich przodków, zanim jeszcze objęli tron książęcy. Zrobiłem to po to, by nie musiała się spotykać z moim synem, który jest prawnym dziedzicem Świerkowego Dworu, a który szczerze jej nienawidzi od czasu wspólnego pobytu na Placu Wschodnim. Prawda i to, że ta chata leży przy drodze... ale nie ja ją tam zbudowałem. A że jeżdżę tam często, nic dziwnego: mam prawo odwiedzać własną żonę.

– Więc już się z nią ożeniłeś? W tajemnicy?

– Nie robiłem z tego żadnej tajemnicy, Tanu. Było to przed trzema tygodniami, tuż przed odwilżą, i każdy kto akurat był w Ulladu, mógł oglądać moje zaślubiny. Dziwi mnie nawet, że dostojny marszałek o nich nie wie, ale widać jego agenci nie są aż tak wszechwiedzący, jak on sądzi...

W głosie księcia brzmiała już tym razem jawna kpina. Dżauri patrzył kolejno to na niego, to na Zangę i widać było, że podane przez nich obu wersje wypadków wydają mu się równie prawdopodobne i wybrać między nimi trudno. Ungana ciągnął:

– A że nie rozgłaszałem specjalnie o weselu, to po prostu dlatego, że jestem... obecnie... osobą prywatną...

I wreszcie w tym momencie Czuszir nagle zmienił front. Chyba tylko niechęć do parweniusza Zangi mogła na tak długo uśpić jego podejrzliwość w stosunku do księcia, ale może tym silniej ta podejrzliwość wybuchła teraz, gdy ją w końcu obudziło dziwne akcentowanie ostatnich słów przez Unganę.

– Obecnie! – zawołał – Tanu, zwróć uwagę na to „obecnie”! Często usta zdradzają niechcący to, co nawet myśli starają się ukryć. Obecnie Ungana Nile nie jest już władcą Wyspy, ale był nim kiedyś – i nie mówiłby o tym takim tonem, gdyby tej straty nie żałował! Obecnie jest twoim sługą, ale żeni się po cichu z fanatyczną buntowniczką, wiąże się z gniazdem zacofania i oporu. Obecnie jest nikiem, ale krąży po kraju i zdobywa sobie lud, udając protektora. Obecnie jest tak bardzo prywatną osobą, że robi to wszystko bez twojej wiedzy – ale kim będzie, kiedy jego intrygi się powiodą?

Teraz już byli przeciw niemu wszyscy trzej. Śmierć? Technicznie możliwe, oczywiście, nawet zaraz i na miejscu: wystarczyłoby wezwać z sąsiedniej sali Bohaterów Porządku, których Zanga sprowadził jako świadków, i dać im pierwszą lekcję zabijania. Ale dyplomatycznie nieprawdopodobne: Zanga i Czuszir tak wyolbrzymili popularność Ungany wśród Ludu, że sami w nią uwierzyli i teraz mu już nic nie mogli zrobić. Wobec rosnącego na Wyspie niezadowolenia obawialiby się wywołać bunt. I Dżauri najwyraźniej myślał tak samo. Siedzi oto w milczeniu, rozważając sprawę. Ungana raz jeszcze zabrał głos: tym dzieciakiem kręciło się bez trudu.

– Jak dotychczas – rzekł – nie dowiedziono mi żadnego czynu przestępczego. Cała moja rzekoma wina leży w przypisywanych mi intencjach, z których widać moi oskarżyciele lepiej zdają sobie sprawę niż ja sam. Ale czy prawo Dżugidów karze za nieudowodnione intencje?

Dżauri zwrócił oczy na Czuszira. Ten odpowiedział niechętnie:

– Z punktu widzenia paragrafów prawa oskarżony ma rację. My jednak musimy wziąć po uwagę także poszlaki, a te obciążają go bardzo wyraźnie!

Dżauri Tanu odetchnął z ulgą.

– Taki jest więc mój wyrok – rzekł. – Nie dopuściłeś się, Ungano Nile, jawnego przestępstwa, więc nie możesz być ukarany. Ale ponieważ są powody, by podejrzewać cię

o złe intencje, skazuję cię na trzy miesiące niełaski, podczas której nie będziesz dopuszczany przed moje oblicze. Sposób, w jaki ten czas spędzisz, rozstrzygnie o twoim dalszym losie. Zakazuję ci także podróży po Wyspie, wolno ci jednak co jakiś czas odwiedzać żonę, byleś jechał tam i wracał jak najkrótszą drogą. Powiedziałem.

Ungana skłonił się nisko.

– Dzięki ci, Tanu – rzekł. – Jesteś sprawiedliwy i łaskawy.

Po czym wyszedł nie czekając już na nic. Zyskał trzy miesiące wolnego czasu i śpieszno mu było je wykorzystać.



ROZDZIAŁ TRZECI

PUSTELNIA

Pierwszą rzeczą, jaką Ungana zrobił po przyjsciu do domu, było wyszukanie na strychu starej szentyjskiej kolczugi, którą włożył następnie pod suknię. Potem kazał osiodłać białego osła i zawołał do siebie Inutu. Uśmiechnął się porozumiewawczo do nadąsanego chłopca.

– Obiad zjesz dzisiaj beze mnie – powiedział – ale za to prawdopodobnie w towarzystwie gości. Bądź bardzo uprzejmy, ale i bardzo ostrożny. Muszę zacząć ci powierzać dyplomatyczne rozmowy. Ta będzie łatwa: chodzi tylko o uśpienie czujności wroga. Wypadłem z łaski, ale mimo to nadal chcę pracować dla Tanu, i tak dalej, rozumiesz.

– Rozumiem. Rozumiem także i to, że polityka przestaje cię obchodzić. Urządzasz sobie życie prywatne – w takiej chwili!

– O, to – to, to właśnie! To im podsuwaj. W sam raz dobre dla nich. No, bywaj, a spraw się mądrze!

Wskoczył na osła i uderzył go dłonią po zadzie, popędzając do biegu. Boczna ścieżką przez las zjechał ku drodze, która wiodła na południe, wawozem między Górą a sąsiadującym z nią wzniesieniem zwanym Medin Eszuddi, Pagórką Leśnym. Ten wawóz, chociaż leżał niewiele co wyżej niż reszta Wyspy, nazywano uroczyście Przełęczą; trakt idący tamtędy był główną drogą z osiedli północnych do południowych, toteż zwykle było na nim rojno. Ungana co chwila spotykał lub wyprzedzał grupki pieszych podróżnych. Zauważył też tego dnia po raz pierwszy, że jest wśród nich jedynym, który drogę odbywa samotnie.

– To robota Bohaterów – pomyślał – Lud nareszcie nauczył się strachu. Rok, dwa, a nauczy się też nienawiści.

I tak myśląc, uśmiechnął się łaskawie do zapłakanej kobiety, idącej z gromadą, wśród

której przeważali członkowie rodu Manwe z południowo-zachodniego wybrzeża.

– Co się stało, Saen? Krzywda czy żałoba?

Kobieta wybuchła głośnym płaczem.

– Krzywda, ogai! Krzywda taka, jakiej na Wyspie dotąd nie widziano!

– Om! Om! (niedola) – zawtórowały jej inne.

Okazało się, że jej ojca, starego Tehu Manwe, pobili Bohaterowie poprzedniego wieczora do utraty przytomności. Całą historię tego zdarzenia opowiedziano teraz księciu z najdrobniejszymi szczegółami. Słuchał w milczeniu i dopiero kiedy ktoś go zaczął prosić, żeby zawrócił i udał się z nimi do władcy, powiedział cicho:

– Tanu zakazał mi stawać przed sobą przez trzy miesiące.

– W takim razie jesteśmy zgubieni – stwierdził ponuro jeden z mężczyzn. – Teraz Bohaterowie roz Hulają się na dobre.

– Mówił mi Kei-Kei z Daweny – szepnął ksiązę – że zapłaciliby sporo za każdego silnego, wypasionego chłopaka, którego by mu dostarczono pijanego, żeby go mógł wywieźć i sprzedać...

Dawena był to mały port na zachodzie, gdzie mieszkało kilka rodzin fingajskich. Po słowach Ungany zrobiła się cisza.

– To bardzo trudne – powiedział najstarszy mężczyzna.

– A czemu by nie? – rzekła Saen twardo. – Ten gruby, który tak bije, kręci się koło mojej córki. Zaprosić by go potajemnie, nocą...

– Ja nic nie słyszałem – rzekł Ungana. – Bywajcie w zdrowiu!

– Bądź zdrów, ogai! Żyj długo, nasz obrońco!

O milę dalej ksiązę spotkał oddział Bohaterów Porządku wracających najwyraźniej z akcji podatkowej lub represyjnej. Inne grupy w milczeniu ustępowały im z drogi. Ungana chwycił niekontrolowane wybuchy ich myśli i kiwał głową z zadowoleniem. Na Wyspie wyraźnie wrzało.

Wkrótce potem, nie dojeżdżając do mostu na Janawie, skręcił w boczną ścieżkę i jechał czas jakiś pomiędzy lasem a rzeczką, obserwując tylko zza wody gościniec. Nieco dalej ścieżka zbaczała w las, który tutaj dochodził do biegnącego ku Janawie strumienia; a za brodem biegła skrajem łąki prosto na południowy wschód ku Drodze Ora. Było piękne południe. Gościńca stąd nie było już widać i tylko łąki – aż po widoczną w oddali grupę białych skał falowały zmiennymi blaskami to zielono, to srebrzyście. Tam, gdzie gęściej rósł rdest, żółty mlecz albo rumianki, fale jakby załamywały się o kolorowe skały. Było to wejście w inny świat i Ungana, jadąc samotnie, poddał się temu wrażeniu. Pozostawiwszy na chwilę na boku skomplikowane sprawy abalahinda, chłonał świeżość barw, światła i wiatru. A jednocześnie cierpiał udrękę, bezskutecznie usiłując znaleźć słowa, którymi by można było całe to piękno wyrazić dokładnie, a tym samym jakby ogrodzić je i przywłaszczyć.

Z mokradel nad Janawą zerwała się nagle z krzykiem chmura ptactwa. Ungana wyrwany z marzeń popędził osła. Nie wierzył w swoją starannie demonstrowaną nietykalność, zwłaszcza tam, gdzie wróg mógłby dokonać zabójstwa po cichu i upozorować je jako wypadek. Co spłoszyło te kaczki: zamachowiec? Szpieg? Cień orła? Ksiązę rozejrzał się starannie dookoła, ale nie było widać nic podejrzanego. Ruszył więc dalej, myśląc, że i on zna już dobrze strach, a nawet chyba uprzedza jego rozsądne przyczyny. Kiedy zniknie paru Bohaterów, to co innego: wówczas Zanga wpadnie w gniew, który go może

na jakiś czas pozbawić zwykłej używalności rozumu, a on, Ungana, będzie wtedy zmuszony nakładać drogi publicznym gościńcem. Na razie jednak nic mu jeszcze nie grozi na tej pięknej ścieżce.

Wreszcie zobaczył z daleka linię brzoźowego gaju, zamykającą horyzont na całej długości. Droga Ora! Ungana uśmiechnął się pogardliwie, popędzając raz jeszcze swojego białego osła. Zwycięstwo nad Zangą? Nad Dżaurim? Prawdziwie zwycięzcą poczuje się dopiero wtedy, kiedy odniesie triumf ostateczny nad stłumioną już wprawdzie, ale jeszcze nieunicestwioną, odwieczną tęsknotą Ludu.

Tuż za drogą wznosił się zalesiony pagórek Ked'Eszun – Czarny Las. Ta okolica, choć położona w samym środku Wyspy, była niemal pusta: można było jechać tędy przez kilka godzin, nie trafiając na żadne osiedle ani nawet na samotne dwory, tak charakterystyczne dla Gar'Ingawi. Wymarzone miejsce zbrodni... Ungana wzdrygnął się. Coś jednak szwankowało w jego planach. Jak mógł umieścić Nulani właśnie tutaj? Czy nie starczyłoby mu przemyślności na znalezienie bezpieczniejszego kąta? Zaraz, natychmiast należy ją stąd zabrać, zabrać dokądkolwiek: zanim Zanga w zaplanowanym dla siebie gniewie wpadnie na pomysł niezaplanowany a straszny! Ungana z trudem opanował chęć zeskokczenia ze zbyt wolno idącego wierzchowca i przebycia reszty drogi biegiem – jakby to, co na jej końcu znajdzie, już dziś zależało tylko od jego pośpiechu.

Ale biała chata, ledwo widoczna z drogi między pniami brzoź, była nadal siedzibą spokoju i ciszy. Meno Manwe, stary ogrodnik mieszkający w przybudówce, krzątał się po podwórku. Księżę podjeżdżał od zachodu, toteż nie mógł widzieć okna chaty, ale jego samego zauważono wcześniej i Nulani wyszła mu na spotkanie. Już z daleka odczuł tę radosną wdzięczność, z jaką dziewczyna witała go za każdym razem. I ukrył starannie swój głupi odruch rozczarowania, że tylko to, że nic więcej.

Był dla niej, jak dla wielu obecnie z Ludu, opiekunem i obrońcą. Zabrał ją z domu ojca, w którym jej było po powrocie tak bardzo źle, i pod pozorem małżeństwa urządził dla niej niemal drugi Plac Wschodni, w miejscu, przez które Or, gdyby się zjawił, musiał przechodzić koniecznie. A zrobił to niewątpliwie z wrodzonej dobroci po prostu, a także pewnie po to, żeby mogła poświęcić się bez reszty Oczekiwaniu, które po odstępstwie Ludu spadło teraz dziedzictwem i obowiązkiem na nią jedną. Niczego w zamian nie żądał. Kiedy przychodził, siedział zwykle w izbie milcząc i prawie nie przerywał jej skupienia. Mówił, że mu tam dobrze myśleć. Czasem ją prosił o pieśni: sam przywiózł dla niej piękny, stary szalán o wyjątkowo dźwięcznym tonie. W jakiś też tajemniczy sposób znalazł się w chacie cały zapas porzuconego na Placu paliwa: Ungana prosił tylko, żeby Znicza nie budowała na miejscu widocznym z zewnątrz. Nulani ustawiała więc co rano na kamiennej płycie podłogi maleńkie naśladownictwo dawnych Dejnowych konstrukcji, stosując jego kształty po staremu od kierunku wiatru, chociaż między ścianami nie było to już konieczne. O jej codzienne potrzeby dbali pilnie stary Meno i jego żona. A za oknami biegła Droga, niezbyt na tym odcinku uczęszczana, nieraz pusta całymi godzinami. Jeśli zaś kto i szedł tamtędy, nie zbaczał nigdy ku dawnej sadybie rodu Nile, nie wiedząc, że jest zamieszkana; zresztą wiedząc, mijalby ją pewnie tym prędzej. Była to idealna pustelnia.

Ta cisza i samotność miały z czasem zacząć sprawiać trudności, ale na początku działały kojąco. Gdzieś w dal, jakby nigdy nie istniał, odszedł strach i niepewność. Nulani od razu narzuciła sobie bardzo surowy i uregulowany tryb życia, taki, jaki niegdyś na czas

służby przyjmowali na Placu Słudzy Ognia. I zdawało się jej, że to tak zawsze było i zawsze będzie, i że nie mogłoby być inaczej. Rano skupiała się na Oczekiwaniu; kiedy skupienie mijało, sięgała po szalán i grała godzinami stare pieśni. To, jak czuła, utrzymywało ją we właściwym nastroju.

Bywały dni trudniejsze i łatwiejsze. Dobrze było myśleć o pierwszej spędzonej tu dobie. Więc wspominała, jak to po swym pośpiesznym i smutnym weselu jechała zapłakana za Ungawą na ojcowskim osła, prowadzonym przez stryja Olina Imanu i przez Hadona Nile. Mieli tylko sześć mil Drogą Ora, bo siedziba rodu Imanu leżała nieco na zachód od Ulladu, dużej wsi, tym się niegdyś chlubiącej, że do Placu Wschodniego było z niej najbliżej. Szli, dla uniknięcia rozgłosu, nocą; był mróz, gwiazdy świeciły obojętnie, śnieg skrzypiał pod kopytami osła. A jej łzy zamarzały na policzkach i wydawało się, że życie znowu traci sens, już ostatecznie i na zawsze. Rodzina miała odprowadzić ją do starej chaty rodu Nile, nie dalej, ale Nulani nie wątpiła, że jest to tylko pierwsza część drogi i że stamtąd czeka ją podróż do Świerkowego Dworu. Widziała go od środka raz jeden i nie miała ochoty oglądać go więcej... Był świt, kiedy dotarli na miejsce. Na progu wypito po kubku bengi, po czym pannę młodą pożegnał bezzwłocznie jej mały orszak weselny, a powitali jako panią starzy Manwe. Ungana przedłużał powitanie do chwili, w której Imanu zniknęli za drzewami. Wtedy, nie wchodząc, powiedział:

– To jest twój dom, Nulani. Zrozumiesz, kiedy zamieszkasz. Ja będę tu czasem gościem, jeśli pozwolisz.

A kiedy tak stała we drzwiach, osłupiała ze zdziwienia, on skłonił się z całą powagą, po czym odwrócił się i odszedł. Widziała, jak przesuwa się między drzewami; jak Hadon Nile człapie za nim, wyciągając ze śniegu długie nogi; jak nikną obaj na Drodze.

W chacie były kamienne sprzęty i proste poduszki zszywane ze słomianych warkoczy. Było ciepło, palił się ogień. Po raz pierwszy od powrotu z Placu Nulani nagle poczuła się w domu: bezpieczna, spokojna i u siebie. Zanim Amil Manwe przyszła z misą gorącej polewki, nowa księżna spała już na grubej macie tak głęboko, że staruszka postanowiła jej nie budzić. Przykryła ją tylko wielkim foczym futrem i wyszła na palcach z izby.

Toteż było już dobrze po południu, kiedy nareszcie Nulani zbudziła się sama, a właściwie kiedy zbudziło ją uczucie, że dzieje się coś ważnego. Rzuciła się do okna: tak, nie myli się, przyszło pierwsze wiosenne uderzenie południowego wiatru. Drzewa dookoła chaty gięły się pod nim, jakby próbując gałęziami uprzątnąć śnieg z jego drogi. Dziewczyna skoczyła w kąt, gdzie przy kominku leżał zapas drewna, i znalazła obok starą, kamienną siekierką zaczęła odłupywać białe szczapki. Wystarczy! Porwała się na nogi i stanęła na chwilę niepewna: gdzie? Później każe ociosać i ustawić odpowiedni kamień, ale teraz nie ma na to czasu, a trzeba szybko. Okno wychodzi na Drogę... Na parapecie okna zbudowała więc pośpiesznie małą Brzozę, a gdy dREWienka zapłonęły, upadła na kolana.

– Przyjdź! Przyjdź!

Wspomnieniem tej radości i pewności podtrzymywała się potem długo. Bo, jak powiada przysłowie, wiatr rzadko wieje z właściwej strony. Były dni pełne zapału i nadziei, ale były i trudne, i smutne, i coraz rzadziej pomagały szalán i pieśni. Najbardziej, jak się okazało, dokuczała jej właśnie ta zupełna samotność. Starzy Manwe służyli jej gorliwie, ale i schodzili z drogi, przejęci lękiem i szacunkiem wobec tajemniczej Służebnicy Ognia. Nikt z rodziny nie odwiedził jej ani razu. To było zrozumiałe i nie miała o to do nich żalu,

niemniej bywało jej ciężko, toteż ceniła sobie wizyty Ungany. To wtedy, czując przy sobie czyjąś życzliwą obecność, skupiała się najłatwiej na Oczekiwaniu i utwierdzała się najbardziej w woli wytrwania. Witła go więc zawsze z radością, a on, patrząc na jej harmonijne ruchy, czuł to samo, co na widok ukwieconej łąki: potrzebę przywłaszczenia sobie tego piękna, przywłaszczenia go w całości, tak żeby już nikt inny nie mógł o nim powiedzieć „moje”. Ale będąc dziedzicem tyłu pokoleń, które od wieków oczko po oczku spletały cierpliwie sieć mającą posłużyć dopiero jemu, prawie już nie potrafił dążyć do celu szybko, iść na skróty. Mawiał, że owoc jest smaczny dopiero jesienią. Nie dodawał, że bez potrzeby udziela tej rady, bo dziedzicząc nie tylko cierpliwość, ale i gromadzoną latami zachłanność swych przodków, zagarnia i tak cały plon dla siebie, i nie umiałby się już ani podzielić, ani tym bardziej czegokolwiek wyrzec.

A właśnie tego dnia stanął przed koniecznością zadbania, żeby mu całego plonu nie sprzątnięto jeszcze niedojrzałego. Uznał, że troska taka jest logiczna i że dobrze tłumaczy tamten poprzedni odruch panicznego strachu. Już jednak zanim odezwał się do dziewczyny, zauważył, że jest tym razem jakby zmęczona czy przygnębiona. Ostrożnie zadawanymi pytaniami nie mógł z niej z początku nic wyciągnąć. Nie, niczego jej nie brak. Nie, nikogo obcego tu nie widziała. Nic jej nie nastraszyło. Wszystko jest dobrze, jak zawsze.

Weszli do chaty i usiedli – Nulani na swym zwykłym miejscu na macie koło Znicza, Ungana na kamiennej ławie przeznaczonej dla gości. Amil podała drewniane kubki i dzban kwasu. Kiedy wyszła, Ungana odezwał się:

– Mam złe wieści tym razem, Nulani... Widzisz, popadłem w niełaszkę. Więc po pierwsze, zabroniono mi jeździć po Wyspie...

– A tutaj? – przerwała szybko.

– Tutaj mogę. Ale gdybym przyjeżdżał zbyt często, rozdrażniłbym... niechętnych. W dodatku...

Nie skończył. Chciał jej wytłumaczyć, że to samo niebezpieczeństwo zagraża i jej także, zwłaszcza gdy mieszka sama; ale urwał zdumiony, bo zobaczył, że w jej oczach zakręciły się łzy. Nie rozumiejąc nadal, o co chodzi – bo do jesiennej dojrzałości owocu było przecież jeszcze daleko – uczył niemal przerażenie.

– Co się stało, Nulani? Tehennen... omuni... (dziewuszkę, maleńką)?

Dziewczyna rozłożyła ręce bezradnym gestem.

– Jakże ci wytłumaczę, ogai? Nie zrozumiesz. Na to trzeba być Sługą Ognia.

– A zwykły rozum nie wystarczy? Mów, proszę: nie wiesz, jak wiele od tego zależy!

– Więc... Dejno mówił nam jeszcze na Placu, że tak będzie. Że przez to trzeba przejść. Ale dawniej bywało łatwiej. Służba była tylko co jakiś czas. I nigdy samotna. Ja ginę w pustce. To trwa i nie przechodzi. Nic dla oczu, nic dla uszu, nic dla myśli. Dzisiaj najgorzej! Nie mogłam... nie umiałam... Pusto. Czasem chwytam się tej ławy, żeby mieć w palcach cokolwiek!

– Ależ to straszne – szepnął zdumiony Ungana. – Dlaczego dotąd nie mówiłaś mi o tym?

– To narastało powoli, ogai. I nigdy nie było aż tak źle, jak dzisiaj. Pustka ssąca... dusząca... martwa...

I tu Ungana popełnił błąd, który zresztą na jego miejscu popełniłby każdy, kto nigdy nie służył Ogniewi. Zawołał:

– Na wszystkie wichry Północy, po cóż się dręczyć tak strasznie? Zostaw to wszystko, chodź ze mną! Pół świata złożę ci w dłonie!

Zerwał się z ławy, jak mógłby to zrobić ktoś młodszy o lat piętnaście i od dzieciństwa uczony skracania ścieżek. Ale Nulani cofnęła się za płomyk Znicza.

– Nie... Nie, ogai. Nie rozumiesz.

– Co tu takiego jest do rozumienia? Sprawa jest prosta! Ty cierpisz, męczysz się, a ja chcę zamiast tego dać ci szczęście. Dlaczego je odrzucasz?

– Nie chcę.

Ungana usiadł z powrotem na ławie. Nie ma dróg krótkich i nie ma jesieni wiosną. Tylko skąd ta udręka? Trzeba myśleć spokojnie i działać rozważnie.

– Czego ty chcesz, Nulani?

Odpowiedziała cicho:

– Wytrwać.

– Więc dlaczego się rozpląkałaś, kiedy ci mówiłem, że nie mogę odtąd bywać tu często?

– Wybacz mi to, ogai...

– Ale dlaczego?

– Bo jestem dzisiaj słabsza niż zwykle. Nie bierz tego do serca, panie, nie słuchaj. Byłabym podła, gdybym wymagała od ciebie, żebyś się narażał tylko dlatego, że mnie łatwiej, kiedy ty tu jesteś.

Więc tak. Wyzaczyła mu rolę jak w pieśni o Szlachetnym Timunie, który ukochanej dziewczynie pomógł zdobyć serce swojego rywala. Ungana zachnął się w duszy: cudzych drzew hodować nie przywykł ani nawet uznawać istnienia takich, które by nie były jego. Z drugiej strony był już jej najwyraźniej bardzo potrzebny – owoc już się zawiązał, już rośnie: tym staranniejszej wymaga pielęgnacji. Gdyby teraz Ungana napomknął choć słowem o konieczności zabrania jej z tej chaty, Nulani dodałaby to do jego poprzedniego nieopatrzego wybuchu – i zmarnowałyby się wszystko. Trzeba stłumić w sobie babskie lęki i wynaleźć jakiś inny sposób zapewnienia jej bezpieczeństwa. A przede wszystkim trzeba jej pokazać, że się przyjmuje wyznaczoną rolę.

– Nie martw się, nen. Tak się umówimy: będę odtąd przyjeżdżał co tydzień. A ty, jak ci będzie ciężko, mów sobie: „Tylko jeszcze ten tydzień wytrzymam”. To dobry sposób w trudnościach.

Spojrzała na niego z nagłą nadzieją.

– Tak, rzeczywiście! Dejno też mówił coś takiego. Skąd ty to wiesz, ogai?

– Nie tylko Słudzy Ognia mają swoje wtajemniczenie, tehennen. My także.

W drodze powrotnej porównywał te dwa rodzaje wtajemniczenia. Teraz już wiedział, że Nulani, by tak walczyć o dochowanie wierności choćby wbrew samej sobie, potrzebuje opanowania siebie nie mniejszego niż to, które wpajano książętom. Tylko cel był zupełnie inny: u nich władza, a u niej? Jak to określić? Jakieś właśnie poddanie się, ale komu? Czemu? Po co?! Tylko legenda o Powrotach mogła stworzyć coś tak nienormalnego i tak sprzecznego z naturą abalahinda! Jakże słuszna była wiekowa wrogość książęcych rodów dla tej legendy. Ungana, jak i jego przodkowie od dawna, nie był pewien, czy Or istnieje naprawdę, czy też jego Powroty (same przez się stanowiące fakt niezaprzeczalny) są po prostu okresowymi atakami zbiorowej hysterii. I normalnie nie zastanawiał się nad tym, skoro polityczną siłą Or nie był na pewno. Teraz jednak zapragnął nagle, żeby Or istniał, był żywy, mógł odczuć odniesioną porażkę. Bo już przegrał na całej linii, a Nulani to jego

bastion ostatni: wygrać jeszcze i ten pojedynek i upokorzyć wroga!

Ungana dotarł do domu późną nocą; nakładał drogi, podróżując gościńcem w towarzystwie spotkanej przypadkowo grupki pieszych, którym zwierzył się ze swych obaw o młodziutką żonę. Kilku chłopców z pobliskiego Bango zgłosiło natychmiast gotowość zaciągnięcia potajemnej straży wokół księżęcej chaty. To musiało wystarczyć na początek; a jutro trzeba będzie zatroszczyć się o protekcję jakiegoś Obcego, z tych, którzy mogli mieć na Zangę wpływ. Nowy marszałek nie był obojętny na korzyści finansowe swego stanowiska.

Inutu siedział w ojcowskim krześle, drzemiąc przy zagasłym palenisku, ale się spać nie położył: widać bardzo chciał opowiedzieć ojcu od razu, co zaszło w ciągu popołudnia.

– Jak tam, synku? Był ktoś?

– Był Omedon Ulawe i Kasse Damuru. Udawali zdziwionych, że ciebie nie ma, i wypytywali mnie bardzo chytrze. Mówiłem wszystko tak, jak mi kazałeś, tylko...

– Tak? ...

– Coś mnie skusiło powiedzieć, że dla przysłużenia się Tanu chcesz założyć szkołę języków obcych.

Ungana zaśmiał się.

– Czemu nie? Pomysł przedni. A co oni na to?

– Pokiwali głowami, stwierdzili głośno, że to bardzo pożyteczne, a cicho jeden do drugiego mruknął: „Ungana zawsze był o jeden krok z tyłu”. Co to znaczy?

– To znaczy, że Tanu dba już teraz tylko o to, żeby nazbierać jak najwięcej wojska i że gotów by w tym celu wykorzystać i przywrócić nawet tradycje, które sam obalił... gdyby mu to coś mogło pomóc.

– Więc będziemy je przywracać?

– On może. My nie. Dżauri Tanu to tylko krótka chwila, synku. Pokrzyżował mi plany ten Gordo: chciałem mu zrobić prezent z siostrzeńca już teraz, a on powędrował gdzieś na wschód. Trzeba trochę jeszcze poczekać... No, idź już spać.

– Zaraz. A kogo będziesz uczył w tej szkole?

– Myślomówców. Tych trzydziestu najlepszych, których już sobie znalazłem. To jest doskonały pretekst do trzymania ich tutaj. A potrzeba nam jeszcze wielu ćwiczeń.

– Ale jakiegoś języka też ich musisz uczyć.

– Oczywiście.

– Jakiego?

– Jak ciebie. Języka Tmutów.



ROZDZIAŁ CZWARTY

BARDOWIE NA WYSPIE

Tej zimy na Megni panowały takie mrozy, że morze zamarzło na wiele mil dookoła i przez blisko dwa miesiące czynna była droga po lodach aż na Wielki Łąd. Toteż bardowie, którzy postanowili jechać na Gar'Ingawi, nie czekali na porę żeglugi, ale po przebyciu morza na saniach i po uciążliwej podróży lądem na południe stanęli w Mandagoriwie w miesiąc po wiosennym zrównaniu dnia z nocą, czyli mniej więcej w czasie, w którym normalnie mogliby dopiero wypłynąć z Adongo.

Z Mandagoriwy płynęli dalej sentyjskim statkiem kupieckim. Bardów jechało czterech: Adun z Gehidy Megnita, Tsamonume wa Tsamonume Szentu, młody Tmut Hwa, Bard trzeciego stopnia, i Dżugid Derszen. Ten ostatni miał przy sobie swoich dwóch niewtajemniczonych towarzyszy, przed którymi musiał ukrywać cel podróży członków Bractwa. Wielcy Bardowie wieźli po dwóch uczniów obaj i tylko Hwa jechał sam. Przy wzmożonym, jak zwykle wczesną wiosną, ruchu w portach trudno im było znaleźć miejsce razem na jednym statku, toteż liczebność ich gromadki kosztowała ich nieco zmarnowanego czasu.

Jadąc, roztrząsali ponownie całą sprawę, szczegół po szczególe, co nie odbywało się bez sporów, ponieważ wszyscy z wyjątkiem Derszena mieli swoje teorie co do źródła zła, które stało się na Gar'Ingawi, i każdy składał inną całość z posiadanych informacji i domysłów. A to oczywiście powodowało także i różnice planów.

– Istota rzeczy tkwi w tym – mówił Tsamonume – że na Wyspie od pokoleń już zapomniano o samym nawet istnieniu sił Północy. Lud zasnął, było mu za dobrze. Toteż i nie rozpoznał zła, gdy przyszło: nie mógł rozpoznać! Bo w ogóle już nie wiedział, co to takiego zło. Jego senna szlachetność była w tej samej mierze słabością co siłą. Z tego punktu widzenia działalność Ungany można by uznać za błogosławioną, gdyby nie to, że lekarstwo okazało się za silne i może stać się gorsze od choroby. Jeżeli jednak zdołamy

zgubny wpływ tego lekarstwa przewyciężyć, to i choroba nie wróci: Lud uchwyci się znowu tego, co szlachetne, tylko już bardziej świadomie, i odtąd odporniejszy będzie na zgorzenie. Sądzę więc, że najważniejszą jest rzeczą usunąć z Wyspy gorszycieli, Dżauriego i Unganę. Jeśli nie wolno inaczej, to siłą perswazji, do jakiej jesteśmy zdolni; ale w każdym razie trzeba tego spróbować koniecznie.

– Zechciej darować, bracie Tsamonume – odpowiadał Adun – ale dziecinne wydaje mi się mniemanie, jakoby Lud musiał, czy choćby tylko mógł wrócić do dawnych szlachetnych obyczajów natychmiast, gdy ustanie zgorzenie, i tylko dlatego, że ustało. Nie! Korzeń zła tkwi właśnie w poznaniu zła. Kto raz stał się rekinem, już się zębów dobrowolnie nie wyrzeknie. Nieważne odtąd, czy Ludem rządzi Dżauri, czy Ungana lub ktokolwiek inny. Odtąd potrzebne jest prawo, prawo surowe i szczegółowe, które by zdolne było przywrócić siłą porządek. Władca zaś, jeśli dobrze rozumie swój interes, sam je powinien wprowadzić i utrwalić. Do nas należy pomóc mu w tym, umocnić go, doradzić!

Hwa zaś mówił:

– Skoro za łaską czcigodnych braci zostałem dopuszczony do ich towarzystwa, niech mi będzie wolno wtrącić się nieśmiało i do ich dyskusji! Istotą zła wydaje mi się nie tyle nawet odstępstwo od szlachetnych obyczajów, ile odstępstwo od tego, co niegdyś było własną, wyłączną cechą tego Ludu i stanowiło o jego tożsamości. Z tego punktu widzenia jest wszystko jedno, czy to było mitem tylko, czy nie! I wszystko jedno, ile w tym było siły, a ile słabości! Bo tak czy inaczej, to właśnie to ukształtowało ten Lud i pozwoliło mu przez wieki pozostawać sobą, a teraz, gdy mu to zabrano, przestał być sobą i czeka go nieuchronna zguba. Dlatego nic nie jest tak pilne i ważne, jak przywrócenie mu jego starych wierzeń: na tym dopiero będzie można odbudować resztę...

Derszen myślał sobie, że wszyscy trzej dostojni bracia mają po trosze rację, ale sam nie śmiał się wtrącać, ani tym bardziej próbować pogodzić ich racji. Zwłaszcza że ten problem nie jemu przecież zlecono. Prosił ich tylko, żeby zaraz po przyjeździe odbyli wstępną rozmowę z Dżaurim, bo sam ze względu na swych towarzyszy musiał natychmiast jechać dalej. Szentu Hiradaja, kapitan statku, na którym płynęli, na prośbę bardów zgodził się zostać w Durri kilka dni, ale nie mógł zostać dłużej.

Do Durri przybyli w trzy dni po przesileniu letnim. Kiedy zeszli na ląd, było już późne popołudnie i najpilniejszym problemem stało się znalezienie noclegu. Miasteczko było spore, ale złożone przede wszystkim z małych kamiennych domków, ledwo zdolnych pomieścić pojedyncze rodziny. Żadnych większych gmachów nie było widać, tylko u końca uliczki, którą bardowie szli od portu, rzucał się w oczy fronton niskiego, drewnianego domu o płaskim dachu, malowanych ścianach i wejściu opatrzonym wielkim napisem fingajskim: „Tegatuga, tłumacz przysięgły wielkiego Tanu”. Mniemając nie bez racji, że biuro tłumacza jest zarazem składnicą wszelkich pożytecznych wiadomości, bardowie zaszczytli ten dom swoją wizytą.

Nie mogli trafić lepiej. Stary Fingaj przyjął ich z całą należną czcią, pomieścił wygodnie w przestronnych pawilonach swojego obojścia, obsłużył osobiście i obiecał poinformować o wszystkim, o co raczą spytać. Pilnie też pytań oczekiwał, mając nadzieję wymiarkować z nich cel przybycia takich gości. Ale trafił na równych sobie graczy. Bardowie wdzięcznie przyjęli usługę, rozplýwali się w podziękowaniach, ale nie pytali o nic: nawet o to, jak długo mogą u niego pozostać. Nuno Lagmi opisał im Wyspę dokładnie, toteż nie wątpili, że do Dżauriego trafią sami; zresztą Din, Górę, jedyne wyższe wzniesienie na Wyspie, widać

było doskonale z Durri.

Toteż następnego rana, zostawiając na kwaterze uczniów i Dżugidów, trzej bardziej wyszli spacerowym krokiem poza miasteczko. Wśród pól srebrzących się wysokim już żytem przyśpieszyli nieco. Hwa, będąc bodajże pierwszym Tmutem, którego widziano (a przynajmniej zauważono) na Wyspie, ciągnął za sobą przez uliczki Durri całą chmurę gapiów wszelkiego wieku, i to go już zaczynało drażnić; ale na polnej drodze, wolny wreszcie od tej udręki, toczył się rażno na przedzie. W pewnej chwili, o milę może od miasteczka, minął ostry zakręt i niemal wpadł na siedzącego na brzegu drogi chłopca.

Chłopiec mógł mieć lat kilkanaście. Kończył właśnie zawijać chustką stopę, widocznie skaleczoną. Spojrzał uważnie na Tmuta i ku jego zdumieniu odezwał się:

– Ge-hek o-mdan cza!

Bard tak osłupiał, że przez dobrą chwilę nic nie odpowiadał.

– Radość mi robisz, zacne dziecię – rzekł wreszcie, powoli i wyraźnie wymawiając słowa, by miłemu tubylcowi ułatwić ich zrozumienie – Zechciej mi wyjawić, skąd znasz tak dobrze mój język i skąd wiedziałeś, że to właśnie do mnie przemawia się tym językiem? Bo rówieśnicy twoi, których dotąd tu spotykałem, nie byli nawet tego pewni, czy jestem istotą myślącą!

Chłopiec wsunął obwiązaną stopę w sandał i wstał pośpiesznie, niewątpliwie na znak szacunku.

– Czcigodny i dźwięczny twój język znam słabo, księżycowa postaci – odpowiedział równie powoli, ale z dobrym akcentem. – Od pół roku uczy mnie go mój ojciec. On także opisywał mi wygląd tych, którzy go używają.

Zza zakrętu wyszli Adun i Tsamonume. Hwa zwrócił się do nich radośnie.

– Zechciejcie spojrzeć, czcigodni bracia – zawołał po megnijsku. – Oto jest mały tubylec, który włada językiem Tmutów!

– Bracie Hwa – rzekł Tsamonume surowo w swojej własnej mowie. – Wczoraj jeszcze twierdziłeś, że wszelką obczyzną trzeba z tej Wyspy usunąć, a dziś radujesz się jej odkryciem!

Zanim Hwa zdążył odpowiedzieć, nieoczekiwanie odezwał się sam chłopiec.

– Wybacz, panie – powiedział w języku Wyspy – rozumiem także i mowę Weha, chociaż sam jej używać nie umiem.

– Dobrze to świadczy o tobie, że się od razu przyznajesz – odrzekł Tsamonume, pokrywając tą pochwałą swe zaskoczenie.

– Dlaczego miałbym ukrywać?

– Gdybyś na przykład był szpiegiem... Tsamonume użył tu megnijskiego słowa „mihru”.

– Co to takiego?

Tu wtrącił się Adun:

– Bracia, czas nagli. Jeżeli jednak ty, chłopcze, idziesz w tę samą stronę, to zechciej nam towarzyszyć, porozmawiamy.

– To zaszczyt dla mnie, ogai.

Mimo skaleczonej nogi dotrzymywał im kroku z łatwością. Na ich pytania odpowiadał z prostotą i najwyraźniej szczerze. Nazywa się Inutu Nile. Tak, właśnie syn Ungany. Tak, byłego księcia. Nie, ojca już obecnie całkiem odsunięto od spraw państwa, rządzi Dżauri Tanu. Nie, nie umiałby właściwie nic o tych rządach powiedzieć: ojciec wychowuje go z dala od takich rzeczy, a przede wszystkim nie pozwala mu na krytykę dorosłych. Tak, to

on był z Tagunem na Placu. Nie, nie poszedłby tam znowu, bo mu nie wolno. Ojciec boi się Władcy. Zwłaszcza teraz... Czcigodni goście, którzy są tak dobrze obznajomieni z dziejami Wyspy, zapewne mimo to jeszcze nie wiedzą, że ojciec przed paru miesiącami poślubił Nulani Imanu, po to tylko, żeby ją osłonić i umożliwić jej życie takie, jak na Placu Wschodnim. Wisi więc nad nim gniew Tanu i nie można ryzykować... O, daleko stąd, przy Drodze Ora. Ale do jej chatki, chociaż na sam Plac to już nie, on (Inutu) chętnie czcigodnych gości zaprowadzi, gdyby chcieli. Ojcu też wolno jeździć tam czasem. Ojciec teraz utrzymuje się z nauczania języków obcych. A... jeżeli czcigodni goście pozwolą... czy można zapytać: może widzieli Taguna? Czy żywy? Zdrowy? Co się z nim dzieje?

Opowiadał potem ojcu:

– Tmut i Szentu byli całkiem przekonani. Z Megnitą gorzej, chyba zachował jakieś wątpliwości. Oni mu coś mówili cicho, że jak widać po mnie, jest lepiej, niż myśleli; on na to: „Albo o wiele gorzej”.

– A cel?

– O ile zdołałem zrozumieć, Tagun po drodze napłótl coś bardom na Megni o straszliwym „upadku moralnym” na Wyspie. Co oni przez to rozumieją?

– Na ogół rozumie się przez to, że ktoś postępuje nie tak, jak myśmy mu kazali. Dalej?

– To wszystko. To im już wystarczyło, żeby przyjechać tutaj robić porządek. Jakie oni mają prawo się wtrącać?

– Prawo żadne, ale przyzwyczajenie długie. Ich tu jeszcze tylko brakowało, jakby i tak nie miał dość na głowie ze znalezieniem roboty dla każdego!

Inutu spojrział na ojca uważnie.

– Bawi cię to?

– Wszystko mnie, synku, bawi.

– Masz ich w garści?

– Niewykluczone. A czego chcą od Dżauriego?

– Nie było z czego wnioskować? Czy to ważne?

– Widzisz, Tegatuga doniósł, że są z nimi także jacyś trzej Dżugidowie. Więc może i oni chcieliby zahandlować Dżaurim, tylko chwilowo nie ma z kim? Cóż, chyba zdołam sam z nich to wyciągnąć, jak tu przyjdą jutro.

Ale jeszcze tego samego dnia przyniósł mu tę wiadomość nie kto inny, tylko sam Zanga Ulawe. Ungana przez cały czas swojej przedłużającej się niełaski nie widział marszałka (obecnie już Wielkiego Marszałka) ani razu i zdziwił się mile, choć bezgłośnie zmianami, jakie w nim dojrzał. Zanga utył bardzo, ale wyglądało to raczej jakby opuchł; w jego rysach utrwaliły się bruzdy niezaspokojenia i gniewu, a kosztowność jego stroju wzrosła w ciągu tych kilku miesięcy parokrotnie. Najwyraźniej prerogatywy władcy były dla niego władzą częścią najistotniejszą.

Ungana powitał go grzecznie, ale w taki sposób, żeby dać do zrozumienia, że uważa tę wizytę nie za łaskę sobie wyświadczoną, ale za okazję do zrobienia łaski gościowi. Zanga jakby tego nie widział, a może i naprawdę nie widział; bo przyszedł z prośbą i tak starannie udawał pokornego petenta, że nie mógł się nim nie stać, przynajmniej w pewnym stopniu i na krótko. Przystąpił też do rzeczy, zaledwie usiedli.

– Może dziwisz się, książę – zaczął – że w ciągu ostatnich miesięcy nie starałem się dać ci żadnych dowodów przyjaźni i uszanowania. Zapewniam cię, że to nie pochodziło z niedoceniań twojego znaczenia! Sądziłem jednak, że lepiej na razie wobec Obcych

udawać niechęć, czy nawet wrogość do ciebie, aby móc w chwili potrzeby połączyć siły niespodziewanie. I taka potrzeba jest teraz.

Urwał, spojrzawszy na Ungana w oczy znacząco, błazen uroczysty, i z naciskiem powtórzył:
– Jest teraz właśnie. Nareszcie.

A kiedy Ungana, nadal milcząc, gestem tylko okazał, że słucha, gość przeszedł do opowieści o wydarzeniach tego dnia. Książę może wie – to jest, przypuszczalnie wie – na pewno wie, że na Wyspę przyjechali trzej Obcy śpiewacy. Otóż ci śpiewacy, podobno zresztą sławni w swoich krajach wszyscy trzej, chociaż co prawda jeden jest jakimś dziwnym kulistym potworkiem – ci śpiewacy przywieźli Dżauriemu list od jakiegoś króla tanhu... tanhidyjskiego. Król nazywa się Kanum i proponuje Dżauriemu mediację między nim a królem Gordem. Nie wiadomo, co w tym ma. Podobno jego państwo jest tak daleko, że tą mediacją nie mógłby się zajmować osobiście, ale właśnie robiliby to z jego ramienia ci śpiewacy. Dżauriemu jednak już wcześniej doniesiono, że oni przybyli w towarzystwie trzech Dżugidów; niemniej jadą na pewno z zachodu, i zdaniem Czuszira list tego Kanuma jest autentyczny. Z tego wszystkiego Dżauri wysnuł wniosek, że to sam Gordo prosił owego odległego władcę o dyplomatyczną pomoc. I że widocznie on, Dżauri, jest już w oczach stryja uzurpatora potęgą polityczną, od której trzeba zabezpieczyć sobie tyły na czas kampanii wschodniej. Więc Dżauri odpowiedział śpiewakom coś takiego, żeby ich ani nie zrazić, ani nie uszczęśliwić zanadto, ale po ich wyjściu wyznaczył już nieodwołalnie termin wyprawy na pierwszą pełnię jesienną, po ostatnich zbiorach w Dżugne. Chce napaść na kraj syty i dostatni, uprzedzając jednak jeszcze o dobre półtora miesiąca przypuszczalny powrót zmęczonej armii Gordy ze wschodu. Liczy, że byle mu się powiodło na początku, to cały kraj opowie się za nim...

– A z tego, oczywiście, nic nie będzie i być nie może – Zanga zniżył tu głos do szeptu. – Nie po to przyjęliśmy przybłądę i daliśmy mu wszystko, cośmy mieli najlepszego, żeby nam w zamian za to wywoził co najdzielniejszą młodzież na jakąś awanturniczą wyprawę, z której mógłby nikt nie wrócić. Nasi podwładni potrzebni są nam, i to my mamy do nich większe prawo! Ty, czcigodny książę, rozumiesz to niewątpliwie równie dobrze jak ja. Zastanawiam się nieraz, i dotąd nie wiem, czemu pomimo to znosisz tak długo obecność i rządę przybłądów?

– A to proste – rzekł Ungana. – Jeśli nasz Lud raz ośmieli się zabić jednego władcę, zawsze odtąd będzie mógł zrobić to samo z drugim.

– Podziwiam twoją przezorność. Nie pomyślałem o tym... rzeczywiście, o tym nie pomyślałem...

Wpatrzył się w Unganę takim wzrokiem, jakim głodny pies patrzy na kość, od której w ostatniej chwili odgrodził go bat rzeźnika. Tyleż strachu, co i zawodu.

– Ale jednak zgodzisz się ze mną – podjął po chwili – że czas by już pozbyć się tego intruza.

– Przekup w takim razie Fingajów, żeby go sprzątnęli.

– Próbowałem. Odmawiają. Że niby skrytobójstwo to nie ich specjalność. Gdyby go sprzedać jak Taguna... ale mógłby go jakiś władca kupić po to, żeby go tu znów wprowadzić. Fingaje mówią, że takie rzeczy bywały... Po tym, co powiedziałaś, moim chłopcom też nie pozwoliłbym go tknąć... Im zwłaszcza... Więc jak? Przyjdzie uwięzić go tylko?

Ungana obliczył w myśli. Około trzech lat pozostawało jeszcze do nadejścia Tmutów,

a przynajmniej kilka miesięcy – do spodziewanego powrotu Gorda z jego dziwacznej wyprawy do Puszczy Nieprzebrodzonej. Gdyby Gordo był w domu, byłoby łatwo nie dopuścić do niego posłów Zangi i sprzedać mu samego tylko Dżauriego; Zangę zostawić w roli chwilowego władcy, aż póki ostatecznie nie sprzykrzy się Ludowi, a samemu pozostać na miejscu. Bo gdyby to Zanga miał handlować skórami przybłądów, ani chybi dodałby do towaru jeszcze i książęcą. Teraz będzie próbował pozbyć się naraz i Dżauriego, i Ungany, choćby dlatego, żeby nie musieć wymyślać dwóch zamachów stanu, skoro wystarczyłby jeden. Jeśli to zrobi szybko, trzeba będzie spędzić w więzieniu przy Dżaurim całe trzy lata. Nie, lepiej nieco opóźnić bieg wypadków.

– Czemu zwracasz się z tym do mnie?

– Ależ, książę... Nie jestem aż tak ślepy jak Tanu! Wiem, że masz większy ode mnie mir wśród Ludu, zwłaszcza u tych, którzy po cichu żałują starych porządków. A jest ich dużo, może nawet coraz więcej... Żaden przewrót nie mógłby się udać bez twojego poparcia. Chciałbym sprzymierzyć się z tobą.

– Więc dam ci radę. Z Dżugidami nie pertraktuj: mogliby się zanadto zainteresować Wyspą. A do sprzątnięcia Tanu użyj bardów. Na przykład tego szentyjskiego kłoca, co?

– Kiedy bardowie podobno nie zabijają.

– Nie? To pytanie! Panie... marszałku, każdy zabija tak lub inaczej, byle miał po co. No, może jeszcze jakiś prostak z naszego Ludu, który wie tylko, że dotąd nikt na Wyspie nikogo nie zabił, nie odważyłby się być pierwszy... Ale ci mędracy... daj im tylko dość silny motyw i popracuj nad nimi dość długo!

– Nie mamy czasu. Jesienią...

– To przekup Fingajów, żeby Dżauriemu donieśli, że Gordo już wrócił z całą potęgą, ale następną wyprawę gotuje na przyszły rok, dalszą i dłuższą. Zyskasz rok na przygotowania.

– Ty, książę, lubisz zmierzać do celu powoli a pewnie... Ale tym razem chyba nie ma innej drogi. Możę być jednak...

Tu Zanga zmarszczył się, usiłując nie dać znać po sobie, że do tego, co za chwilę powie, przykładą szczególną wagę.

– Czy nie mógłbyś, książę, sam donieść mu o tym? Przestrzec, żeby nie wpadł w zasadzkę Gorda? Ty umiesz tak to zrobić, żeby ci uwierzył: i przy tym wróciłbyś do łaski, wzmocniłbyś swoją pozycję...

Oczywiście po to, żeby tym łatwiej upaść razem z Dżaurim jako jego sprzymierzeniec w oczach Ludu. Ungana udał jednak, że tego nie rozumie, i skłonił się grzecznie.

– Czekałem na tę propozycję – rzekł. – Dobrze: działajmy razem. Przede wszystkim zajmiemy się bardami...

Bardowie zaś w miesiąc później, po obejrzeniu prawie całej Wyspy i odwiedzeniu wszystkich co znamienitszych jej mieszkańców, stanęli przed koniecznością pozbierania swoich spostrzeżeń i ułożenia jakiegoś planu działań. I znowu się okazało, że każdy z nich ma o tym inne zdanie.

– Obecni władcy tego ludu – mówił Tsamonume – uchwycili Wyspę w ręce tak mocno, że nie można liczyć na obalenie ich wszystkich: zresztą następca mógłby nie być lepszy. Trzeba więc wybrać jednego z nich: tego, który najmniejszą ma winę, a więc niewątpliwie Zangę Ulawe. Już z nim mówiłem: skłania się do przywrócenia dawnych obyczajów, o ile tylko uda mu się uwolnić Wyspę od tych, co je obalili. Zważcie też, bracia, że on chce to

zrobić w sposób bezkrwawy, co dowodzi szczerości intencji i szlachetności serca. Nie pozostaje nam nic innego, jak poprzeć Zangę Ulawe.

– Zechciej darować, bracie Tsamonume – odpowiadał Adun – ale dziecinne wydaje mi się mniemanie, jakoby Zanga dał dowody szczerości i szlachetności. Ty jako Szentu nie znasz się na istotach mojej rasy, ale ja widzę dobrze, że ma on w sobie wszelkie zadatki na opilego i wszetecznego tyrana, takiego, jakim jest Gabi u nas w Chaonie. Ungana zaś to chytrus, w którego obecności czuję dreszcze. Nie! Z nich wszystkich jedynie Dżauri to szlachetny młodzieniec z królewskiego rodu, który, dobrze pokierowany, zrezygnuje na pewno z marzeń o podbojach, a obróci wszystkie siły ku zrozumieniu i uszczęśliwieniu Ludu, którym włada. Jego, i tylko jego, powinniśmy poprzeć.

Hwa zaś mówił:

– Skoro za łaską czcigodnych braci zostałem dopuszczony do ich towarzystwa, niechaj mi będzie wolno wtrącić się nieśmiało i do ich dyskusji! Wszyscy zgadzamy się, że powrót dawnych obyczajów jest najpilniejszą potrzebą Ludu: ale właśnie, kto z możliwych Wyspy najbliższy jest temu dążeniu? Nic nie ujmując znajomości psychiki Megnitów, której to znajomości czcigodny brat Adun dał tak wyraźne dowody, chciałbym się oprzeć w tej sprawie nie na krótkich obserwacjach przybysza, ale na zdaniu tubylców. A ci wiążą nadzieje na powrót dawnego ładu z jednym tylko imieniem: imieniem Ungany. On to jest mężem i obrońcą jedynej ich pozostałej kapłanki, on dał się poznać jako potajemny czciciel świętych tradycji. On w swoim domu – sam mi pokazywał! – przechowuje iskrę dawnego znicza. Jego to wysiłkom powinniśmy sprzyjać...

Derszen, który niedawno powrócił nie zastawszy w Dżug-byr swego króla, myślał sobie, że chyba żaden z trzech czcigodnych braci nie ma racji; ale sam nie śmiał się wtrącać, ani tym bardziej szukać czwartego wyjścia, zwłaszcza że ten problem nie jemu przecież zlecono. Rozmawiał natomiast często z Dżaurim, usiłując bez powodzenia pozyskać go dla planów Kanuma. I tak doszło do tego, że się rozdzielili: Hwa zamieszkał w Świerkowym Dworze, Adun u Dżauriego na Zamku, a Tsamonume w Ulwi jako gość Zangi Ulawe.



ROZDZIAŁ PIĄTY

WYSPA BARDZO NIESZCZĘŚLIWA

Nulani obudziła się w środku nocy ze świadomością, że coś jeszcze pozostaje do zrobienia, po czym dopiero można by zasnąć spokojnie. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, co to takiego, i w głębi serca była z tego zadowolona: nie musi, dopóki nie wie, wychodzić spod ciepłej skóry na zimną, kamienną podłogę, na której już pewno zamarzła chlapnięta wczoraj nieuważnie woda. Ta zima – czwarta już zima jej samotnego strażowania w chacie rodu Nile – jest znowu tak mroźna, jak była pierwsza. W dodatku ogień na kominku zgasł zupełnie, widocznie Amil zapomniała z wieczora – ach, tak, teraz już i ona wie, czego sama zapomniała z wieczora: zabezpieczyć Znicz na noc. Który to już raz... Właściwie co by jej szkodziło wstać teraz i zrobić to szybko, ale czy warto? Powroty nigdy nie zaczynały się nocą, przynajmniej chyba nigdy, a podłoga jest zimna, woda na niej na pewno już zamarzła. Już zamarzła, już zamarzła... Słowa, jak gdyby ktoś je obok powtarzał, zaczęły kręcić się przy niej, tracąc sens. Nulani usnęła.

Rano zapaliła Znicz od nowa i wróciła pod skórę. Tak było najwygodniej. Może zaśnie... a jeśli nie, mogłaby zastanowić się nad tym, co wczoraj mówił jej Ungana i co ona sama powie dzisiaj bardom... O ile uda się nie słuchać lamentów Amil, która od czasu tej historii z Saen Manwe nie przestaje zanudzać wszystkich dookoła swoimi żalami. Nulani zresztą nie wiedziałyby nawet, o co chodzi, gdyby jej nie wyjaśnił Ungana: Amil w swym oburzeniu nie potrafiła w ogóle dobrać zrozumiałych słów. Otóż Saen przed kilku laty sprzedała Fingajom dwóch czy trzech nieopatrznych osiłków spośród Bohaterów Porządku, zwabiwszy ich do domu urodą swojej córki. Potem zaprzestała tego procederu ze strachu, kiedy Zanga Ulawe zarządził śledztwo; ale równocześnie wyszło na jaw, że córka Saen, przynajmniej wedle dotychczasowych pojęć Ludu, już do małżeństwa nie ma prawa. Saen wtedy zaczęła do niej spraszać Bohaterów nie po to, żeby ich po kryjomu sprzedawać, ale w zamian za różne korzyści i przysługi, wreszcie i za pieniądze. Część

Ludu – w tym większość rodu Manwe – uważała to za obrzydliwość, za dno hańby. Inni jednak uznali to za jeden więcej nowy, barwny obyczaj. Ktoś nawet podobno naśladował. I jakoś tak się stało, że kiedy zeszłej wiosny wybuchł bunt w obronie dawnych wierzeń i po raz pierwszy (przynajmniej od śmierci Dejna) krew się polała na Wyspie, nic się złego nie stało pomimo rozruchów ani samej Saen, ani jej naśladowczyniom. Ich nowy rodzaj handlu wrastał w życie Wyspy podobnie jak coraz powszechniejszy handel wyrokami sądowymi i jak handel życiem, czy raczej nagłą śmiercią, prowadzony tej zimy półoficjalnie przez Kassego Damuru. To wszystko także jedni potępiali, inni chwalili.

I tak z niedoli rosła jeszcze większa niedola; ale najtrudniej było zrozumieć, jak i dlaczego rosła ona także i z prób zaradzenia niedoli. Starcy rodu Imanu, młodszy kuzyni rzadko już na Wyspie wspomnianych Taguna i Dejna, kiwali głowami bezradnie i pytali: jak to się stało, że pierwsi rzucili się zabijać ci właśnie, którzy chcieli powrotu do świata bez zabijania? Raz wreszcie otrząsnęli się i rzekli: Tak dłużej być nie może – więc jakże to się stało, że nie panując już nad sobą z oburzenia, popełnili to wszystko, przeciw czemu protestowali? Do tego stopnia, że potem, kiedy ich bunt stłumiono, przed srogą śmiercią przyznawali sami, że zasłużyli za nią! Wtedy właśnie, kiedy czar nowości już przygasł, a ukazały się wyraźnie wszystkie ciężary i biedy barwnego bytowania – wtedy właśnie, kiedy rozczarowanie mogło wzrosnąć w niechęć, a niechęć zaowocować tęsknotą za utraconym ładem – wtedy właśnie nie wiedzieć kto i gdzie rzucił na nich, jak na suchy mech, iskierkę buntu: i wybuchł gwałt zamiast tęsknoty, szął zamiast uzdrowienia. A potem Lud dziękował Tanu, Zandze i Bohaterom, że krew krwią ugasił. I tylko coraz bardziej ścisnęły się serca, bo już nie było ratunku. Om! Om! Niedola!

Dziwili się starcy z rodu Imanu, dziwili się i bardowie. Przychodzili czasem do Nulani, siadali w koło, kłaniali się płomieniowi Znicza. Częściej jednak przychodzili w pojedynkę, pytali, mówili – szybko straciła orientację w plątaniu ich pojęć i planów. Ungana, zawsze niezawodny, chętnie służył wyjaśnieniami: powiesz im tak a tak. To było proste i nie trzeba się było samej zastanawiać. Ułatwiało życie. Właściwie wiele rzeczy, nawet niechcący, ułatwiało życie. Ungana miesiąc temu dotkliwie ukarał syna za to, że ten nasłał gromadę wyrostków, by obrzucili macochę kamieniami podczas przechadzki. Odtąd nie wychodziła już z chaty: jeden wysiłek mniej. Nawet nienawiść Inutu mogła ułatwić życie.

Bardowie natomiast utrudniali je tak bardzo, że zamknęłyby drzwi przed nimi, gdyby jej o cierpliwość nie prosił Ungana.

– Nie można, tehennen – tłumaczył. – Oni są wielcy i są nam potrzebni. Dużo dobrego mogą jeszcze zrobić. Po to tu przyjechali. Trzeba ich tylko namówić umiejętnie. Ot, powiesz im to i to... tylko..., a potem prosz, żeby śpiewali. Tobie nie mogą odmówić. Będziesz miała miły wieczór.

A ona wstydziła się wyznać, że właśnie te pieśni są dla niej największą męką. Przypominały jej dawne, śpiewane na Placu. Ale co z tego? Czyż nie ona jedna na całej Wyspie ma prawo ich słuchać bez drżenia? Ona jedna stróżuje nadal, poświęciła wszystko... Niby tak. Ale jakoś jakby przez sen stróżuje i woli się nie budzić, nie wysilać. A jednocześnie gdzieś w głębi narasta rozpacz: nie tak miało być, coś się tu zawaliło, coś – nie wiedzieć jak i kiedy – przepadło. I nie ma ratunku. Niedola!

Więc też Hwa był dla niej spośród bardów gościem najmilszym, bo śpiewał pieśni proste: obrzędowe pieśni kulistego ludu Tmutów albo poetyckie refleksje jego mędrców.

A najgorzej widzianym był Derszen, który znał tylko bohaterские eposy góralskie, dręczące ją myślami o poświęceniu i męstwie. Na szczęście Derszen zniknął już bardzo dawno i długo nie wiadano, gdzie się podział. Bardowie uważali, że wrócił do ojczyzny, ale potem się jakoś dowiedzieli, że nie wrócił, i rozpoczęli gorączkowe poszukiwania. Członek Bractwa! Któż się mógł ośmielić w cywilizowanym świecie podnieść rękę na członka Bractwa Bardów?

Ungana mówił jej spokojnie:

– Ja się ośmieliłem. Nic mu się oczywiście nie stało i będzie mógł zaświadczyć choćby w samym Larri, że nie został nawet draśnięty... Urządziliśmy z Zangą na Placu Zachodnim miejsce do przetrzymywania takich, którzy powinni zniknąć. Widzisz, nie chcemy, żeby Tanu dowiedział się od niego, co się dzieje w Dżugne, bo mógłby rozpocząć wojnę, która nam nie jest wcale potrzebna. A tylko Derszen mógłby mu o tym powiedzieć. Jest pilnowany dobrze... Zaraz ci wytłumaczę.

– Nie, ogai. To mnie męczy. I on mnie także męczył. Cieszę się, że go zabrałeś.

Kilka razy był u niej i Tegatuga, ten zawsze po prośbie.

– Zechciej, wasza wysokość, uprosić księcia, żeby już w tym roku pozwolił nam budować bazy zaopatrzeniowe...

– Co takiego?

– Duże spichrze, wasza wysokość. Oczywiście pod pozorem normalnego handlu, na razie tylko wokół Tengy.

Nulani nie rozumiała, dlaczego Fingajom potrzebne są jakieś pozory, ale przekazywała prośbę Unganie.

– Dobrze, tehennen. Mądry jest, że ciebie prosi. Za tę mądrość niech mu będzie.

Uśmiechała się, ale gdy odszedł, siadywała godzinami jak martwa, wpatrując się niewidzącymi oczyma w dogasający żar Znicza. Czy po to tu zamieszkała, by pośredniczyć w sprawach państwa między Obcymi a księciem? Raz wreszcie trzeba się otrząsnąć, tak dalej być nie może!

Ale było.

Weszła Amil, postąpiła i wyszła, widząc zamknięte oczy księżnej. Zaraz potem, albo może i w parę godzin potem, bo Nulani udając sen zasnęła rzeczywiście, staruszka weszła znowu i przykucnęła przy jej macie.

– Bard przyszedł, pani.

Tak wcześniej? Nulani niechętnie wysunęła się z posłania, otuliła się w ciepły biały płaszcz, poprawiła nieco Znicz i kazała wprowadzić gościa. W myśli już przygotowała słowa powitalne w języku Tmutów, których nauczyła się od Ungany, chcąc zrobić przyjemność ulubieńcowi, i które trzeba było teraz wypowiedzieć, mimo że przyszedł tak niepotrzebnie wcześniej. Niemal już układając do nich usta, skierowała oczy na to miejsce o trzy stopy nad posadzką, w którym po odchyleniu zasłony powinna się była ukazać „twarz” Tmuta. Zamiast tego była tam jednak jakaś niebieskożółta pasiasta plama. Nulani przesuwiała po niej wzrok coraz wyżej i wyżej... Musiała podnieść głowę, żeby wreszcie zobaczyć twarz: Dżugid. Derszen.

Jak cięcie po zablizniającej się już ranie, jak nagły nawrót bólu, o którym już prawie zdołała zapomnieć.

– Witaj – powiedziała cicho w odpowiedzi na niemy ukłon barda, odruchowo usiłując schować swoje uczucia pod niewyraźną mową. – Czy wiesz, że grozi ci tu

niebezpieczeństwo?

– Wiem, pani – ciągle stał w drzwiach. – Ale skoro udało mi się uciec właśnie dzisiaj, gdzie indziej mógłbym przyjść tej nocy?

– Wejdz... ogrzej ręce. Może i dobrze się składa. Księcia nie będzie tu dzisiaj, ale będą wszyscy twoi bracia.

Bard przykląkł w progę i pokłonił się, najpierw Zniczowi, potem jego strażniczce. Następnie usiadł przy ogniu, ale na słowa Nulani nie odpowiedział. Powtórzyła więc po chwili:

– Dobrze się składa. Opowiesz im, pomogą ci...

Chciała dodać, że go szukali, ale się powstrzymała, żeby nie doszło do wyjaśnień; wstyd jej było przyznać, że wiedziała dobrze o jego losie, a nic dla niego nie zrobiła. Derszen rzekł cicho:

– Zechciej, wasza wysokość, ukryć mnie przed ich wzrokiem...

– Rozumiem. Nie chcesz ich narażać?

– Nie. Boję się ich... nawet ich już...

Dopiero teraz, z jego głosu, Nulani zdołała odczytać to, czego jej nie mógł powiedzieć sam tylko wygląd Obcego: znużenie, zaszczucie, udrękę. Zwróciła myśli ku jego myślom, a wtedy wydało jej się, że patrzy na własne odbicie w misie wody albo w fingajskim gładzonym zwierciadle. Serce zadrżało w niej z litości – tyleż nad sobą samą, co i nad bardem.

– Tutaj nic ci nie grozi! – zawołała. – Ja cię ukryję i obronię!

– Nie śmiałybym z tego korzystać długo, wasza wysokość. Przyszedłem tylko na tę jedną noc. Dzięki niech będą Panu Południa, że pozwolił mi się wyrwać z więzienia dziś właśnie!

– Nie rozumiem. Czym różni się ta noc od innych nocy?

Derszen spojrzał na nią równie zdziwiony.

– Przecież dziś mamy święte Przesilenie, pani.

Tak, zapomniała zupełnie. Dawniej Lud Wyspy w tym właśnie dniu obchodził swoje najuroczystsze święto, chociaż nikt chyba nie wiedział, jak i dlaczego ma się to wiązać z Oczekiwaniem. Składano sobie wzajemnie życzenia: „Ilgu telenni!”. Obyś doczekał Powrotu! Potem ucztowano, a wreszcie śpiewano przez całą noc. Och, wrócić do tych czasów, stać się znowu dzieckiem, cieszyć się, czekać...

Powiedziała nieśmiało:

– Jak dobrze. Będziemy więc obchodzić dzisiaj świętą noc. Ale dlaczego nie ufasz Wielkim Bardom? Oni także mogliby ją obchodzić z nami.

– Błagam! Nie! – Derszen wybuchnął krzykiem tak nagłym i ostrym, że Nulani nieco się nawet przestraszyła. – Pani, ty nie wiesz chyba, czym się już stała ta wyspa! Jedno wielkie przekłete królestwo Haldira, gdzie już nikt nikogo nie może być pewny! Widziałem i słyszałem rzeczy straszne!

Myśląc, że mówi o swych przeżyciach więziennych, Nulani zapytała:

– Jakże więc zdołałeś uciec?

– Zaiste cudem! Zdolność wymykania się wrogom bez szkody i krzywdy niczyjej bywa nam udzielana dopiero na najwyższych stopniach wtajemniczenia. Mnie jednak dziś przed świtem udzielono jej niespodziewanie we śnie, i to bez posługi Starszych Bractwa: jakby sam Hallor uznał, że już dłużej nie zniosę tej męki, jeżeli świętej nocy nie spędzę w miejscu świętym. Więc jestem tutaj: i jeśli kogo się boję, to właśnie braci moich,

wtajemniczonych głębiej jeszcze, bo dzisiaj oni jedni mogliby mnie obezwładnić. Widziałem i słyszałem rzeczy straszne! Widziałem Barda pierwszego stopnia, który zaszedł tak daleko w służbie Zangi, małego tyrana, że podczas buntu podniecał pieśnią do walki jego oddziały, a podczas kary śpiewał ścinającym katom! Widziałem Barda trzeciego stopnia, który tak uległ Unganie, że kłamał – moje serce wyczuło, że kłamie! – kiedy księżę mu kłamać nakazał. Widziałem na tej przeklętej, nieszczęśliwej wyspie wszystko to, czego nigdy w życiu nie spodziewałem się zobaczyć!

– Jakże to mogłeś widzieć zamknięty na Placu Zachodnim?

– Na ogół nie tam mnie trzymano, a w każdym razie przenoszono często. Od roku wiele już jest takich placów, a każdy pełny... Teraz, pani, pozwól mi się ukryć. Idą bardowie.

– Nawet ja ich jeszcze nie słyszę.

– Mnie zostało to dane dziś właśnie. Wiem, że na krótko: może tylko na tę jedną świętą noc! Ale czuję wszystko, co się dzieje dookoła, i wiem, komu zaufać mogę, a komu nie mogę.

Więc wymknął się do izby Mena Manwe, a zaraz potem przyszli bardowie i Nulani mogła się zająć szukaniem w ich słowach i obliczach – bo myśli mieli ci wielcy zawsze przesłonięte – oznak tego upadku, o którym mówił Derszen. Mogło w tym być sporo przesady – inaczej sama zauważyłaby już dawno – ale i było coś z prawdy. Adun stał się jeszcze bardziej niż przedtem ostrożny i podejrzliwy: mówił mało, prawie wcale, i chyba także nie ufał pozostałym. Tsamonume, szorstki i władczy, robił się coraz podobniejszy do dzikiego wojownika z sentyjskich pieśni. Mały Hwa, dobroduszny i okrągły, był jak ucieleśnienie gładkiej nieprzeniknioności Ungany. Nagle Nulani zdała sobie sprawę, że w jednym przynajmniej Derszen się nie mylił: ci trzej mimo zaprzysiężonej wspólnoty brackiej rozchodzili się coraz dalej. Może nie byli jeszcze sobie wrogami, ale i sprzymierzeńcami nie byli już na pewno. A więc podzielili się i skłócili nawet bardowie! Om, om, omena!

A pozornie nic się nie zmieniło i wszyscy oni jak dawniej mówili o potrzebie zwrócenia Ludu znowu ku ciszy i bieli, tylko że mówili o tym chytrze i niedobrze, dla swoich ukrytych celów, innych u każdego, ale w tym przecież zbieżnych, że ciszy i bieli od korzenia obcych. Nulani przytakiwała ze świadomością, że naprawdę chciałyby ich raczej zapytać, dlaczego od paru lat robią, co tylko mogą, aby Ludowi taki zwrot uniemożliwić. Ale bała się, że nie zdoła zetrzeć się z nimi na słowa, nie zdradzając jakoś obecności Derszena. Więc musiała udawać.

Wreszcie poszli, a ona wtedy przypomniała sobie, że im nie powiedziała tego, co zlecił Ungana. Trudno. Będzie musiał wybaczyć. Da sobie radę i tak. A ona teraz chce mieć trochę spokoju i święto, święto takie, jak kiedyś w dzieciństwie.

Więc ona i oboje starzy, i Derszen (Obcy na święcie, rzecz kiedyś niesłychana, ale kto jeszcze odróżnia rzeczy słychane od niesłychanych?) złożyli sobie nawzajem życzenia: „Ilgu telenni!”, potem zaczęli śpiewać. Derszen wtórował na szalanie pieśniom Wyspy, których słów nie znał; starzy Manwe nucili cicho, śpiewała głównie Nulani. A z każdą pieśnią jakby spadały z niej więzy, jakby nareszcie otwierały się jakieś dawno zaryglowane drzwi: tylko wejść, tylko przekroczyć leżące na ziemi sznury. Bo każda pieśń była jak wielka kropla pieniącego się życiem soku, spływająca żółtawym śladem między zgrubieniami kory do pustego jeszcze przed chwilą kubka. Wokół nadal brudne płyty śniegu na zrudziałej zeszłorocznej trawie, nad głową sieć czarnych witek, żadnego jeszcze

przeczcucia zieleni – a jednak sok już pulsuje i tryska, i pustka nie tak już dławi.

Później śpiewał i Derszen na zmianę z nią – nie bohaterskie legendy tym razem, ale pieśni światła, życia i południowego wiatru. Objaśniał:

– Tego mnie nauczono, przyjmując do Bractwa... To śpiewaliśmy zawsze w tę noc w Daggesz, my bardowie, bo reszta Dżugidów prawie już zapomniała o Dwóch Braciach... A tej pieśni mnie nauczył obcy bard z dalekiego kraju, ten, co potem zginął ratując Taguna. Przekładałem ją na wasz język nocami na Placu Zachodnim, żeby zająć myśli czymś świętym i nie oszaleć.

– Pieśń o stworzeniu świata? – zapytała Nulani, bo bard zaczął przygrywkę melodii niepodobnej do żadnej innej.

– Tak! Więc tu była znana?

– Nie wiedziałam, że w ogóle ma słowa. U nas to była tylko melodia, najświętsza i w tę jedną jedyną noc śpiewana, i to wyłącznie przez starców.

– W naszych górach nie znano nawet i melodii. Nie słyszałem jej także na Megni, co o wiele dziwniejsze. Widać ten bard z zaginionego ludu był potokiem najstarszych mieszkańców świata. Zaśpiewam ci, pani...

Jeszcze przez chwilę ciągnął tylko melodię, potem zaczął cicho:

*Gdy w górze nic nie istniało, nie było światła ni mroku,
a w dole wody ni suszy, ni cień niosących obłoków,
gdy jeszcze sobą nie było co małe ni co olbrzymie –
Ten, który nie ma imienia, powstał i wyrzekł swe Imię.
Od grzmotu tego Imienia zadrżała Nicość do głębi;
pękła na drobne okruchy, lotne jak stado gołębi,
a te rozprysły się wokół na drogi bezkresnej jazdy
i grzmot je ogniem rozżarzył: w ten sposób powstały gwiazdy.
Gdy nic prócz nich nie zostało po rozgromionym Nie-bycie,
Ten, który nie ma imienia, umilkł – i stało się życie.
Od blasku tego milczenia rozgrzane ruszyły światy,
przestrzeń zakłęta doliną, czas ją otulił skrzydlaty.
Już słońce liczy dni ziemi, już księżyc rośnie i chudnie –
a tak ze wszystkich najpierwsze stworzone było Południe.
Gdy ciepło wszystko ogrzało, a jasność wszystko objęła,
Ten, który nie ma imienia, zaczął nazywać swe dzieła.
A każda rzecz, raz nazwana, spełniona w głębi swej treści,
powoli w mrok odchodziła: tam odtąd Przeszłość się mieści.
Śmierć wy płynęła na morza, by wszystko zgarniać w swe czółno –
a tak ze wszystkich ostatnia stworzona została Północ.
To dwoje jedno stanowi i splata się nieskończenie,
jakoby bieg i spoczynek, jakoby pieśń i milczenie:
braterską władzę nad światem, ład cały jego porządku
Ten, który nie ma imienia, powierzył im na początku.
I to ogłosił do uszu rozumnych i niemych stworzeń:
„Hallor was szczęściem nawodni, Haldir was bólem przeorze”.
A kiedy one odeszły, by kwitnąć i owocować,*

*Ten, który nie ma imienia, rzekł braciom Tajemne Słowa.
Te skoro Haldir postłyszał, powstał, by bratu śmierć zadać:
od mocy tego ataku zadrżały góry w posadach,
lecz kiedy oni walczyli wśród zmagania wicheru i burzy,
Ten, który nie ma imienia, Tajemne Słowa powtórzył.
I Haldir umknął ze wstydem w krainy zimne i mroczne;
tam knuje swoje intrygi i po wiek wieków nie spocznie.
A tak już odtąd jest wrogiem i jego imię zmazane
i ramię jego przekłete, i tylko Hallor jest panem.
Jakieś to Słowa Tajemne pchnęły Haldira do zbrodni?
Słowa przed nami zakryte, bośmy ich słyszeć niegodni.
Jakież to Słowa Tajemne uratowały krew brata?
Słowa przed nami zakryte, ale wpisane w bieg świata!*

Derszen zakończył pieśń triumfalnym akordem, jakby te Słowa znał i ogłaszał wielkiemu zgromadzeniu. Nulani szepnęła:

– Więc ten, który do nas przychodzi...

Bard rozejrzał się po izbie. Oboje staruszkowie dawno już twardo zasnęli w swoim kącie. Odszepnął:

– Tak mówiono w Larri. Współrzędca świata, Jasny Brat.

– A myśmy się wydali w moc Ciemnego! Om, om, omena!

– Jest północ właśnie...

– Co z tego?

– Godzina zwycięstwa, pani. Godzina najgęstszych ciemności, po której już wraca światło. Może i dla Wyspy jest teraz właśnie północ?

– Raczej zmrok dopiero! Oni wszyscy ledwo zaczęli, nieprędko skończą – a kiedy skończą, kiedy swoje do skutku doprowadzą, niech Nienazwany zlituje się nad Wyspą! Nie pozostało już na niej ani jedno miejsce, gdzie Or mógłby stopę postawić.

– Jeszcze ty jesteś, pani.

– Ja?! – Nulani rzuciła się gwałtownie, aż uderzyła głową o kamienną ścianę za sobą. Następne jej słowa przysłyż zaraz potem i Derszen nie wiedział, że między tamtym krzykiem a nimi przeżyła w jednej chwili długie lata widzenia. Jak Tagun na świętej górze, tak ona w swojej strażnicy zobaczyła nagle tajemną grę mocy, wobec których wszystkie intrygi władców, na Wyspie czy na całej ziemi prowadzone, były jak pokrzykiwania dzieci bawiących się w bitwę na pokładzie okrętu wojennego. Olśnienie, pragnienie – i zarazem świadomość bezwładu, niemocy takiej, że nie tylko oczu otworzyć, podnieść powiek, ale nawet zapragnąć spojrzeć nie potrafi. Kropla po kropli wycieka złocisty płyn z dziurawego kubka: nie zapełni się pustka pieśniami, nie zapełni się i wiedzą. Czym w takim razie? Po co się zastanawiać, po co wiedzieć. Ona i tak nic tu już nie poradzi. Zmęczenie rosło przez lata, rosła próżnia. Gdybyż można ją było przeciąć czymkolwiek uchwytnym, widzialnym! Tymczasem światło już gaśnie, a zresztą promień to nie miecz, by można było chwycić go, ciąć nim, rozciąć. Pozostanie jedno więcej raniące wspomnienie. Może zresztą niesłusznie. Nocne śpiewy mają to do siebie, że w istotach myślących budzą niepokoje i pokazują im to, czego nie ma. Lepiej będzie przemyśleć tę sprawę za dnia, a wtedy ukaże się ona we właściwych rozmiarach i w rzetelnym świetle.

Bez całej tej przesady, którą wprowadził Derszen. Może nawet dobrze byłoby poradzić się Ungany? On zawsze mówi jasno i przekonująco, tak że wiadomo, czego się trzymać. I nie męczy, nie żąda niemożliwego.

Powiedziała:

– Północ minęła, święto skończone. Idź już.

I Derszen odszedł w śnieżną noc. I wszystko pozostało tak jak przedtem. Bo i nie mogło być inaczej; a zresztą nie jest tak znów bardzo źle, chociaż tej nocy można było niemal w to uwierzyć. Nie jest wcale aż tak bardzo źle...

Om, om, omena!



ROZDZIAŁ SZÓSTY PRZEWRÓT

Tej wiosny jednak wypadki nagle potoczyły się szybko.

Najpierw – było to zaraz po pierwszej odwilży – obwieszczono na Wyspie, że poszukuje się zbiegłego z Zamku sługi, Dżugida o imieniu Derszen. Ponieważ każdy gubernator miał w ciągu tygodnia przysiąc, że zbieg nie ukrywa się na jego terenie, a przedtem musieli to samo zrobić starsi gmin i rodów wobec gubernatora – Lud ruszył przetrząsać oszronione lasy i białe skały nadmorskie, czyli jedyne nieliczne miejsca, gdzie ktoś od biedy mógłby się ukrywać. Nikogo jednak nie znaleziono i wkrótce sprawa poszła w zapomnienie; nikt się nigdy nie dowiedział, że w rzeczywistości poszukiwanym był nie Derszen, tylko sam... Dżauri. Ungana i Zanga liczyli słusznie na to, że mało kto na Wyspie umiał odróżnić jednego Dżugida od drugiego.

Fingaje zaś zapewniali, że Adun z Gehidy wypłynął na morze zupełnie sam – on chyba śmierci szukał, wasza wysokość, o tej porze roku! Wynajął w Tengi łódkę i zaraz też wsiadł do niej, bez żadnych zapasów ani broni, nic – i potem właściciel tej łódki, Akogi syn Takewamy, widział własnymi oczyma, jak odpływ znosił barda ku wylotowi zatoki i więcej już nie zobaczył swojej łodzi, co jest dla niego wielką stratą. A ponieważ bard był gościem Władcy, więc biedny, uszkodzony Akogi syn Takewamy może chyba liczyć na jakieś wynagrodzenie mu straty?

– Raczej na surową karę – odpowiedział Zanga – Akogi syn Takewamy, zwabiony zyskiem, nie ostrzegł ogai Aduna przed niebezpieczeństwem wypływania na morze w czasie pierwszej odwilży, toteż ponosi winę za śmierć Wielkiego Barda. I wszyscy, którzy byli świadkami tej transakcji, wy wszyscy, jak tu stoicie, dzielcie z nim tę winę. Czemuście nie zatrzymali barda?

– Próbowaliśmy, wasza dostojność! Tłumaczyliśmy!

– Nieskutecznie. Nie liczy się bezowocne działanie. Zapłacicie grzywnę i będziecie

zawsze gotowi zeznać przed każdym Obcym to, co zeznaliście przede mną o swojej winie.

Później znalazł się jednak jakiś pastuch z Ame, który twierdził, że tego samego wieczoru był w lesie na cyplu Północno-Wschodnim i widział niewyraźnie między drzewami, jak od brzegu odbija łódka. Nie jest jednak zupełnie pewien, czy to była łódka, czy duża foka, ponieważ sztorm południowy targał gałęziami drzew i nie było dobrze widać, a zanim dotarł do brzegu, to coś już dawno przesłoniły fale. Po co szedł do brzegu? Z ciekawości, żeby zobaczyć. Śladów na piasku chyba żadnych nie było, zresztą nie wie, nie szukał.

– A jednak były – meldował jeszcze tego wieczoru Inutu ojcu. – Na skraju lasu zupełnie wyraźne: deszcz je zalał, potem zamarzły, i są. Jakiś Dżugid wchodził w morze i nie ma żadnego znaku, żeby wychodził. Wymknął się, przechera!

– Niedaleko – powiedział gniewnie Ungana. – Przy takiej fali musieli utonąć obaj.

Inutu chciał o coś spytać, ale zrezygnował. Ojciec najwyraźniej był wściekły: nie na niego wprawdzie tym razem, i starał się panować nad sobą, ale lepiej było uważać. Tylko czy taki drobiazg wart był aż takiego gniewu? Dżauri utonął na miesiąc przed planowanym zabiciem go przez Tsamonumego: co za różnica?

Otóż różnicy może i nie było, ale Ungana tak przywykł uważać odwieczny Zamyśl Władców za nieomylny i nienaruszalny, że nieprzewidziane odstępstwa od tego Zamyślu rosły w jego oczach do rozmiaru błędów i zwiastunów klęski. Pierwszy taki wypadek – odejście Gorda na Wschód – jeszcze zlekceważył: uznał, że kraj Dżugidów tym łatwiejszy będzie przez to do podbicia, więc chociaż trzeba było to i owo w planach zmienić, w ostateczności rzecz się opłacała, a sytuacja pozostawała nadal w jego ręku. Następną niespodzianką było przybycie bardów na Wyspę; tym razem, chociaż księżę szybko unieszkodliwił ich wpływy, a nawet zdołał wykorzystać ich obecność, pozostał mu stały niepokój. Co będzie, jeżeli Bractwo – w Zamyśle jakoś nie wzięte pod uwagę – znowu da znać o sobie i zacznie bruździć? I te obawy zdołał jednak przynajmniej ukryć przed synem: dlaczego tym razem, chociaż odstępstwo od planu jest tak nieznaczne, pozwala, by Inutu się domyślił, że go to gnębi? Zmęczenie – czy przeczucie?

A może Dżauri nie zginie? Wiatr południowy jest nieobliczalny. W takim razie trafi na bezludzia zachodniego cypla Starego Lądu. Z Wyspy już znikł tak czy siak; z Dżugidami tu nie wróci. A jeśli? Gordo zniknął bez wieści. Syn Tanmuka może zdobyć zwolenników. Co z tego? Zanim kraj zdobędzie, lata musiałyby upłynąć, a tymczasem już tej jesieni przyjdą Tmutowie.

Ungana zwrócił się do syna:

– Chciałeś zapytać, jak to było możliwe? Głupota Zangi, nic więcej! Zapamiętaj sobie: głupcy bywają potrzebni, ale na każdym kroku trzeba ich pilnować. Choćby i ten niedowarzony bard! Uciekł z Placu Zachodniego tuż przed Zimowym Przesileniem, jakimś cudem przemknął się między strażami i dostał się do Zamku. Tam musiał opowiedzieć Dżauriemu wszystko o wyprawie Gorda i o tym, że my przed nim już od paru lat ukrywamy nieobronność Dżugne. Dżauri z Czuszirem do spółki wyciągnęli z tego na pewno wszystkie wnioski. I niby wszystko jedno, bo i tak mieli zginąć przed wiosennym otwarciem żeglugi – ale patrz, co się dzieje, jak się znajdzie na twojej drodze ktoś rodem z pieśni, a nie z życia!

– Jeszcze nie rozumiem – rzekł Inutu.

– A znasz szentyjską balladę o Ahorahinie, bardzie króla Ninumy? Pamiętasz:

Królu Ninumo, w tej wieży

– tak, tak, tak –

Królu Ninumo, w tej wieży

trzech nas już tylko zostało:

weź moją lutnię, idź śmiało,

a ja zostanę w tej wieży,

– tak, tak, tak –

a ja zostanę w tej wieży.

Włóż mi na głowę koronę

– tak, tak, tak –

włóż mi na głowę koronę

i zamień ze mną odzienie:

w króla przez śmierć się przemienię,

za krew zakupię koronę,

– tak, tak, tak –

za krew zakupię koronę.

– Niesłychane – powiedział Inutu. – Więc myślisz, że ten Derszen zaproponował Dżauriemu zamianę? Po co? Dlaczego?

– Po co i dlaczego, trzeba być drugim bardem z pieśni rodem, żeby zrozumieć. Odtwarzam to tak: on rzuca tę propozycję, Cuszir opracowuje plan. Nie mogą uciekać wszyscy, bobyśmy się spostrzegli. Więc reszta Dżugidów, poruszona przykładem barda, postanawia też zostać i zginąć, byleby zabezpieczyć ucieczkę tego swojego ksiązątka. Derszen zostaje jako Tanu, Dżauri w przebraniu żołnierza idzie na cypel Północno-Wschodni, niby posłany w jakiejś sprawie. Nikt nie podejrzewa samotnego Dżugida, Lud oczywiście czci w nim sługę Władcy. Adun bierze w Tengi łódź, przy pływa po niego. Tyle.

– A Zanga?

– Zanga dwa razy gadał z bardem, myśląc, że to ten sam Tanu co dawniej. Dopiero ja go poznałem. Za późno.

– Tak czy siak zginie – zaryzykował Inutu.

– Albo nie. Według Zamysłu Ksiąząt fałszywy Or powinien był zginąć na Wyspie.

– Fingaje nie zgodziliby się ścigać?

Ungana milczał przez chwilę.

– Zgodzili się – powiedział wreszcie. – Zobaczymy za jakiś tydzień, z czym wrócą.

Nie wrócili wcale, co księcia nieco podniosło na duchu. Odczekał jeszcze drugi tydzień dla pewności, po czym, niemal już przekonany, że tak ścigani jak i ścigający leżą na dnie morza, a więc odstępstwo od Zamysłu było prawie żadne, dał sygnał do przewrotu.

Następnego dnia rano Inutu stanął przed Zangą.

– Mój ojciec przysłał mnie do ciebie, ogai – powiedział – z wiadomością, że już zaczyna. Wczoraj wieczorem poszedł na Połąc Wschodnią i stamtąd podburza Lud do buntu.

– Dobrze – powiedział Zanga. – Zostaniesz ze mną.

– Mam iść do ojca.

– Tu zostaniesz, mówię.

Inutu nie opierał się, kiedy Bohaterowie zamykali go w celi więziennej. Nie chciał szamotać się z hołotą, zresztą miał instrukcje od ojca. Wprawdzie z początku nie wiedział,

jak je zdoła w odosobnieniu wypełnić, ale ten kłopot szybko minął: w pół godziny później Zanga sam zjawił się u chłopca, przynosząc mu własnoręcznie misę przysmaków i dzban bengi. Inutu nie był pewien, czemu to przypisać: może marszałek chciał udaną dobrocią wyciągnąć z niego jakieś wiadomości, może sądził, że nawet walcząc z Unganą należało pamiętać o popularności rodu Nile na Wyspie? A może – ta myśl była zupełnie nowa i uderzyła chłopcu do głowy bardziej niż bengi – może on sam zaczynał się już liczyć jako samodzielny polityk?

– Tak, tak – powiedział Zanga, sadowiac się przy nim na wąskiej, dość poszarpanej macie. Bardzo mi przykro. Niestety muszę cię zatrzymać jako zakładnika, rozumiesz. Twój ojciec okazał mi już tyle razy kompletny brak zaufania, że i ja nie mogę mu zaufać bez poręki. Ale tobie samemu nic nie grozi, książę. Nazywam cię tak, bo gdyby nie Tanu, byłbyś już w tym wieku współrządcą przy ojcu co najmniej od roku.

– Tanu niedługo upadnie – rzekł Inutu.

– Tanu niewątpliwie upadnie, tak... – Tu Zanga wygłosił dłuższą tyradę o zgubnych skutkach, jakie mógłby mieć dalszy pobyt Dżugidów na Wyspie. Inutu potakiwał, ilekroć wypadało.

– Tak więc Tanu niewątpliwie upadnie – powtórzył marszałek na zakończenie – Ale co dalej? Kto obejmie władzę?

– Ojciec oczywiście! – zawołał Inutu tonem dziecinnej pewności.

– No, to nie jest takie oczywiste dzisiaj jak dawniej. Ród książęcy, tak... Ale obecnie, żeby rządzić, trzeba mieć kwalifikacje. Trzeba umieć wykorzystać nastroje...

Chłopiec pochwycił okazję do powiedzenia tego, z czym go naprawdę przysłało:

– Ależ ojciec to umie! Wcale nie wzywa do podjęcia na nowo Oczekiwania! Podburza Lud tylko we własnym imieniu...

Urwał i zakrył ręką usta, jak ktoś, kto powiedział za dużo. Zanga pomimo tuszy zerwał się z maty jednym susem.

– Głupiec! Ach, jaki głupiec! – krzyknął – Sam oddaje mi Wyspę w ręce, od razu, za jednym przewrotem! Hej, Muki!

Wpadł do celi pilnujący jej od zewnątrz strażnik.

– Muki, natychmiast każ Jaminowi wydać dla wszystkich Bohaterów białe płaszcze. I wszystkich postaw pod broń. A tu przyślij Tsamonumego – ruszaj!

Chodził po celi z podniecenia; byłby biegał, gdyby było miejsce, ale cela miała tylko cztery kroki długości. Inutu śledził go wzrokiem, niepewny, czy ma się bać, czy nie. Ojciec wprawdzie twierdził, że jego życiu nic nie grozi, a jego pobyt na dworze Zangi jest z wielu względów konieczny. Inaczej by go nie wysłał. Ale jednak w ruchach Zangi było coś takiego – ojciec nigdy się nie myli – ale jednak...

Wszedł Tsamonume: potężny, barczysty, już w białym płaszczu, ale spod tego płaszcza wystawały dwa krzywe szentyjskie szabliska, jak na scenach wojennych zdobiących tę wielką wazę z Mandagoriwy, co stoi w sypialni ojca. Zapełnił sobą całe drzwi; to sprawiło, że Inutu poczuł nieprzepartą chęć ucieczki. Po prostu strach. Natężył całą dumę, żeby tego nie okazać, ale czuł, że tej dumy może nie starczyć na długo.

– Co rozkaże mój władca? – głos barda zdawał się także napełniać całą szczupłą przestrzeń celi. Zanga zatrzymał się w najdalszym kącie, jak ten, kto boi się dotknąć czegoś obrzydliwego. Ruchem oczu pokazał mu chłopca.

– Jesteś Weha – powiedział trochę niewyraźnie, jakby się jeszcze czegoś wstydził –

Zrobisz to sprawniej ode mnie.

Natychmiast potężna ręka chwyciła Inutu za kark, naciskając jakoś tak dziwnie, że chłopiec stracił zupełnie panowanie nad swymi mięśniami: poczuł tylko, że jak bezwładną kukłę kładą go na wznak na ziemi. Stała tam wprawdzie przyniesiona przez Zangę misa, ale Szentu nie zatroszczył się nawet, żeby ją usunąć; Inutu poczuł ją pod plecami – nieznośny ból – podczas gdy ciężka ręka przytrzymywała go za gardło. Po chwili poczuł także ostre ukłucie między żebrami: to Tsamonume drugą ręką przytykał mu do piersi sztylet.

– Pytaj, władco – powiedział.

Coś ciepłego płynęło strugą po żebrach. Krew, pomyślał Inutu. I dopiero teraz krzyknął:

– Czego chcecie ode mnie?

Jakby z oddali przyszedł głos Zangi:

– Tylko dwóch rzeczy: całej prawdy i zupełnego posłuszeństwa.

– Nie macie prawa – och!

To Tsamonume nacisnął mocniej ostrze.

– Prawa? – zdziwił się Zanga. (Czemu tak przewlekał? Och, kiedyś w przyszłości Inutu będzie też przewlekał: każe naciskać za każdym razem o włos głębiej przez te zwały tłuszczu!).

– Prawo – zastanawiał się Zanga głośno – mamy takie samo, jak jeden rekin nad drugim rekinem. Nie sądzisz?

Inutu milczał, więc Tsamonume nacisnął znowu. Chłopiec jęknął.

– Do serca niedaleko – powiedział Szentu. – Bardzoś chudy.

– Czego chcecie?

Zanga, gdzieś z oddali, z niewidzialnego kąta:

– Czyś aby nie zełgał? Dlaczego twój ojciec nie powołuje się na tradycje Wyspy, kiedy wzywa Lud do powstania?

– Bo ich nienawidzi.

– To nie ma nic do rzeczy w polityce. No więc?

Inutu szarpnął się pod ręką barda, gliniana misa pod jego plecami pękła – ostre skorupy wbiły się w ciało. Chłopiec poczuł wściekłość: na wrogów i na ojca jednakowo, ojciec go tutaj przysłał! Sam siedzi teraz pewnie u Nulani – może myśli, że jeszcze będzie miał syna, może jego już spisał na straty?

Inutu sprężył wszystkie mięśnie, jakby się zbierał do skoku. Czyż nie może opanować tej odrobiny fizycznego bólu i pomyśleć jasno? On, dziedzic tylu pokoleń władców, dziedzic ich wtajemniczenia? Może, i robi to właśnie, tak jak go uczył ojciec. Widzi już znowu, czego chce i co ma powiedzieć. Grać naraz przeciw ojcu i przeciw Zandze nie może, ojcu odpłaci przy okazji potem: bo tylko jako jego dziedzic ma szansę na władzę. Więc teraz trzeba nabajać to wszystko, co ojciec zlecił: ale z pewnymi dodatkami: pospłaca stare rachunki.

Zaczął, umyślnie przerywanym głosem, zeznawać tak, by utrwalić Zangę w przekonaniu, że to on właśnie może i powinien wystąpić teraz w imię starożytnych tradycji Wyspy. Na własną rękę wplątał w to także Agwena Imanu; żałował, że nie może wplątać i Nulani, ale przedstawienie jedynej na Wyspie strażniczki Ognia jako potajemnego wroga Powrotów byłoby już zbyt grubo szyte.

– Tak, tak – powiedział wreszcie Zanga. – Więc to Agwen ma mnie zabić? Tak się

i spodziewałem. Rada prosta...

W tej chwili wszedł do celi strażnik Muki.

– Ogai – zaraportował – zamek Tanu jest otoczony przez zbuntowany tłum.

– Co mają na sobie? – spytał szybko Zanga.

– Zwyczajne kolorowe odzienie.

– Więc chłopak prawdę powiedział. Przyciśnij no go lepiej, Tsamonume, żeby nie myślał, że na tym koniec. Muki, osiodłaj oba białe osły. Kasse Damuru tu jest?

– Tak jest, ogai.

– Wyślij go na poszukiwanie Agwena Imanu. Ma go zabić natychmiast, gdziekolwiek go spotka. Idź! A ty, mały: daję ci teraz do wyboru. Potrzebny mi jest Tanu z twojego rodu, ale taki Tanu jak poprzedni: żebym ja rządził, nie on. Możesz nim zostać pod warunkiem, że będziesz mnie słuchał jak pies. Ręką ani nogą bez mojego pozwolenia nie ruszysz, rozumiesz? Nie każę ci przysięgać, bo słowo dym: twój ojciec przysięgłby, ale by nie dotrzymał. Ty nie przysięgniesz, a dotrzymasz: póty ci życia, póki dotrzymania. A jak nie chcesz, to powiedz od razu: Tsamonume wbije sztylet, i po kłopocie.

– Co zrobicie z moim ojcem? – spytał Inutu.

– Powiem ci całkiem otwarcie: nie stać mnie na to, żeby go zabić, nawet rękami przybysza, nawet rękami barda. Schowam go tak, żeby go nikt już więcej nie oglądał, ale Lud będzie wiedział, że on żyje i że krew władców wyspy, rodzimych władców, jest święta. Więc?

Dlaczego w takim razie groził śmiercią synowi Ungany, nie wyjaśnił; trzeba było udawać, że się tę groźbę bierze na serio.

– Nie zabijaj mnie – jęknął Inutu.

– Nie mam w tym interesu, dopóki nie zdradzisz. Puść go, Tsamonume.

W godzinę później jechali już na czele pieszych zastępów Bohaterów: Zanga i Inutu, obaj na białych osłach w białych szatach. Na skrzyżowaniu dróg, skąd było już dobrze widać Świerkowy Dwór na stoku Góry, spotkali dużą gromadę mężczyzn z osad północnych. Zanga mruknął:

– Ledwo dwanaście godzin, a już cały Lud tu ściągnięty. Dobra robota. Może by się mniej starał, gdyby wiedział, jak to się skończy.

Po czym kazał zatrąbić w róg i wysunął się naprzód.

– W imię Powrotów! – zawołał. – W imię szczęścia i oczekiwania Ludu! W imię tradycji naszych ojców!

Miał teraz przed sobą chmurę ciemnych twarzy, milczących i uważnych.

– W imię Powrotów! – powtórzył. – Oczyszcmy Wyspę z Obcych, z przybłędów, z nieszczęścia! Oto tutaj jest książę prawowierny z rodu Nile: stawajcie przy nim!

Odpowiedział mu krzyk radości. Las rąk uniósł się w górę. Potem znowu krzyk, kiedy coś jak biały ptak przeleciało nad głowami: drugi, trzeci... To słudzy Zangi, wiozący na tyłach oddziału wielkie toboły, zaczęli z nich wydobywać białe płaszcze i rzucać ochotnikom. Po chwili cały pochód, niemal podwojony, ruszył dalej. Jeszcze kilka razy natykali się na podobne gromady i wcielali je w ten sam sposób do swych szeregów. Tsamonume, który szedł przy osle Zangi, grał i śpiewał coś, co było niby nutą Pieśni Szczęśliwych, tak jednak przemienioną przez skoczny, ostry rytm, że pobudzała już nie do radosnej zadumy, ale do bitwy. Słowa też były podniosłe i groźne. W imię Powrotów, do broni! W imię Powrotów, śmierć!

Pod zamkiem także stał tłum: w miarę groźny, w miarę niezdecydowany. Przywódców żadnych nie było widać, toteż Zanga bez trudu stanął na czele. Zaraz też kazał odtrąbić pod bramą wezwanie do poddania. I widać Obcy sami już na to czekali, bo ledwo przebrzmiało wezwanie, powoli otwarła się brama. Wyszli przed nią, spokojnie i godnie, wszyscy Dżugidowie: czterej żołnierze, stary Czuszir, wreszcie wysoka postać w złotej szacie: sam Tanu. Na jego widok tłum krzyknął coś nieskładnie, postąpił naprzód, przystanął znowu. Tsamonume mruknął:

– Te wasze mięczaki jeszcze w życiu nikogo nie rozszarpały.

– A ty od czego tu jesteś? – odwarknął Zanga, po czym krzyknął raz jeszcze: – W imię Powrotów!

Tłum zrobił drugi krok naprzód. Żołnierze nastawili włócznie.

– Dobrze – rzekł Tsamonume – będzie walka. Wy – tamtych, ja – Tanu.

Trzymał już w każdej ręce po szabli, jak jest w zwyczaju u wojowników sentyjskich. Tłum postąpił jeszcze o krok. Teraz już i Inutu krzyknął: „W imię Powrotów!”. On sam i Zanga na swoich osłach byli obecnie o kilka kroków za pierwszą linią ataku. Za chwilę krew się poleje, nastąpi zbiorowy mord. Inutu wiedział, że to jest początek ostatniego, decydującego ciosu, jaki jego ojciec zadaje dawnym tradycjom Ludu: przez te kilka miesięcy, które jeszcze pozostały do przybycia Tmutów, będą się „w imię Powrotów” działy na Wyspie – rękami Zangi – rzeczy takie, że odtąd wstręt i przerażenie ogarnie każdego na samą myśl o Oczekiwaniu. Warto się było dać trochę pokaleczyć, żeby oglądać początek. Zresztą Tsamonume opatrzył mu już rany równie wprawnie, jak je zadał. Kiedyż ten tłum dojdzie wreszcie?

Nim doszedł, nagle przed szereg żołnierzy wysunęła się złocista postać, dotąd stojąca za nimi. Derszen nie miał żadnej broni; założył ręce za pas i powiedział spokojnie:

– Poddajemy się bez walki. – A do żołnierzy: – Odrzućcie włócznie i topory.

Trzask żelaza zabrzmiał donośnie w zapadłej nagle ciszy.

– To bard – rzekł Tsamonume. – Gdzie jest prawdziwy Tanu?

– Czyż ci nie wszystko jedno?

– Weha nie zabijają bardów. Dużo bym zrobił dla ciebie, władco, ale tego nie. Zachowasz go żywego albo moją pomoc utracisz.

Zanga zsunął się z osła i przedarł się do pierwszego szeregu. Po drodze wyrwał topór z ręki któregoś z Bohaterów. Miał obłąd w oczach. Najbliżej niego stał Czuszir: Zanga zamachnął się niewprawnie – niewiele istot myślących dotąd zabił – i ciał toporem na oslep jak popadło. Trysnęła krew. Stary radca zwałił się na ziemię; żył jeszcze, umarł w parę chwil później zdeptany. To Bohaterowie rzucili się do ataku śladem swojego przywódcy. A za Bohaterami ruszył wreszcie i pozostały Lud, napierając na ich tylne szeregi coraz mocniej w wąskim przejściu. Zanga i jego najbliżsi, częściowo w zdobywczym zapale, a częściowo dlatego, że ich tamci pchali – wpadli do zamku i nie oparli się aż na wielkim dziedzińcu tronowym. Tymczasem pod bramą wdzierający się do środka tłum nie czuł już prawie pod nogami pięciu miękkich oślizgłych pagórków – a właściwie wkrótce już pięciu kałuż tylko. Dżugidów rozdeptano na miazgę.

Na stopniach tronu Zanga nareszcie się opamiętał. Kiedy wszedł tam Inutu, zastał już sytuację opanowaną i na tyle podobną do zwykłej dworskiej ceremonii, że wszyscy znajdowali się na swoich miejscach: Zanga stał obok pustego tronu, Bohaterowie wokół niego i w bocznych galeriach, lud stłoczony pośrodku. Ale nad całym tym tłumem unosił

się wciąż jeszcze jak gdyby pomruk czy jęk, nie wiadomo: wściekłości czy zgrozy. Oczy były jeszcze dzikie, a płaszcze wstrętne poplamione krwią. Inutu (wraz z pilną go dziesiątką Bohaterów) usunął się był na bok podczas ataku i teraz wchodził do zamku ostatni, ostrożnie omijając krwawe ślady. Doszedł do wniosku, że takie rzeczy wprawdzie trzeba robić, ale nie samemu, jak Zanga, tylko jak ojciec: z daleka i przez zbirów, którymi się gardzi.

Ale i Zanga panował już nad sobą na tyle, że kiedy Tsamonume zjawił się przed nim, prowadząc Derszena, ciężko wprawdzie poturbowanego, ale żywego – wielki marszałek na ten widok wygłosił płomienną mowę o świętości krwi władców, których życia sam los najwyraźniej strzeże, po czym kazał „byłego Tanu” zamknąć w lochu: o śmierci nie było już mowy. Następnie wystąpił z drugą, równie płomienną mową ku czci dawnych obyczajów Ludu; Inutu wiedział, że tę mowę ułożyli kiedyś bardowie, gdy jeszcze działali razem, a przeznaczona była dla Dżauriego. Teraz Zanga przeplatał ją tylko aktualnymi wstawkami: podczas niej to wprowadził na tron „prawowiernego księcia z rodu Nile”, ogłosił wyjęcie spod prawa „byłego księcia Ungany, najżaartszego wroga Powrotów” i uznanie Placu Wschodniego za miejsce święte. O Placu Zachodnim nie wspomniał; już to samo, pomyślał Inutu, dowodzi, że Zanga nie spodziewa się, żeby Przejście mogło się dokonać rzeczywiście. Ale jakoś nikt z obecnych tego nie zauważył.

– ... W imieniu księcia Inutu Nile – mówił dalej Zanga – wyjmujemy także spod prawa cały ród Imanu, mężczyzn i kobiety, a to za ich nieszczerą sprzyjanie świętym tradycjom. Każdy, kto ich spotka, może ich zabić albo ująć i sprzedać, albo przyprowadzić na zamek i oddać w ręce władcy. Jako jedyny wyjątek ogłaszamy Nulani Imanu, niezłomną strażniczkę Ognia, osobą na Wyspie świętą: każdy, kto ją spotka, winien jej oddać pokłon, i ma być czczona jako dożywotnia zwierzchniczka Sług Ognia, a jej chata ma być również miejscem świętym...

Właśnie, pomyślał Inutu: ojciec tylko na to liczy. Przesiedzi tam sobie spokojnie aż do inwazji Tmutów. A przecież i jego życiu nic nie grozi; i nic by mu nie zaszkodziło, gdyby te kilka miesięcy, zamiast na czułym gruchaniu z Nulani, spędził razem z Derszenem w podziemiu. Albo na Placu Zachodnim: sam kiedyś mówił, że tam najporęczniej byłoby czekać na Tmutów. Jako więzień Zangi tym droższy byłby później Ludowi... no i nauczyłby się przy okazji szafować nieco ostrożniej losem swojego następcy. A ta bezczelna Nulani – dotąd nie urodziła wprawdzie żadnego konkurenta do tronu, ale głupi, kto broni się dopiero wtedy, kiedy wróg już oblega miasto!

Decyzja zapadła błyskawicznie; Inutu niemal nie zauważył, kiedy. Zanga wymieniał właśnie obowiązki Ludu, nakazując pod srogimi karami przestrzegać pilnie wszystkich dawnych świąt i zwyczajów, zniszczyć wszelkie przedmioty obcego pochodzenia, wyrzucić z pamięci obce języki, a nawet pojedyncze słowa...

– ...Każdy ród Szczęśliwych dostarczy raz na trzy pokolenia jednego Sługę Ognia i poniesie koszty jego służby. Każdy ród Nieszczęśliwych dostarczy w każdym pokoleniu dwóch Bohaterów Porządku...

I tu nagle przerwał mu Inutu, księżę prawowierny:

– Zapomniałeś powiedzieć, panie marszałku, że miejsca święte mają być odtąd tak święte, że ich nie może skalać obecność przestępcy. Przestają więc być miejscami azyłu. Mów dalej.

Zanga spojrział na niego zdumiony. Ten smarkacz jednym zdaniem rozwiązał

największą jego trudność – a jednocześnie wydał mu w ręce własnego ojca. Czy jest aż tak mądry, czy aż tak głupi? Zdecydował się służyć, czy też może próbuje grać sam?

A Inutu obojętnie spuścił oczy. Życiu ojca ani wielkiemu Zamysłowi nic nie grozi... a Zanga, jeśli będzie z niego zadowolony, może mu pozwoli pod nieobecność ojca rozprawić się cichaczem z Nulani. I wtedy już nie będzie na Wyspie żadnego świadka jego niewydarzonych miesięcy na Placu Wschodnim.

Na swoim prawym bucie zauważył rudą plamę. Skrzywił się: tak uważał, a jednak którejs kałuży nie zdołał w tłoku ominąć.



ROZDZIAŁ SIÓDMY W NIEWOLI

Nulani tego rana widziała tłum ciągnący drogą, ale nie wpadło jej do głowy zapytać, co to się dzieje. Prawdę mówiąc, było jej wszystko jedno. Ungana miał być u niej wczoraj, ale nie był; przysłał tylko wiadomość przez jakąś dziewczynę z Ulladu, że nie może zdążyć i przyjdzie następnego dnia koło południa. Czekala więc na niego, bawiąc się ustawianiem Skały na wygasłym palenisku Znicza. Lekki północny wiatr uderzał gęstą łapą świerkowej gałęzi o błonę okna: przebija igły czy nie przebija? Ungana nie przychodził. Nulani po raz trzeci ustawiała Skałę i nie miała ochoty ustawiać po raz czwarty: podpaliła Znicz. Ungana nie przychodził.

Przed południem przyszedł ojciec. Śpieszył się bardzo, chciał zdążyć pod zamek; mówił, po co, ale Nulani nie zapamiętała. Zresztą owszem: mówił o jakimś przewrocie. O księciu natomiast powiedział, że wyszedł on z Ulladu rano i poszedł Drogą Ora, ale nie na zachód, tylko na Plac Wschodni. Agwen nie wiedział, po co. Pozostawało czekać. Płynęły godziny. Nulani kładła patyczki na podłodze i patrzyła, jak plama słońca, wpadająca przez drzwi, dopęła do nich po kolei. Potem przypomniała sobie, że przecież Ungana jest sprawcą nieszczęść Wyspy i wrogiem świętych Powrotów. Więc właściwie na co czekać?

Niemal równocześnie i Ungana zadawał sobie podobne pytanie. Przez całą noc, wśród rozgardiaszu odbieranych meldunków i wydawanych rozkazów rosło w nim przekonanie, że musi rano stawić się na Placu Wschodnim. Skąd się wzięło, nie wiedział: ziemia je zrodziła, wiatr je przywiał. Ale było tak oczywiste, że nie zakwestionował go ani razu i gdy tylko skończył rozsyłać gońców, posłusznie poszedł.

Na Placu oczywiście nie było nikogo. Robiąc to spostrzeżenie, Ungana zauważył jednocześnie, że on sam usiadł już – rzecz też najzupełniej oczywista – w progu rozwalonego domu Sług Ognia i patrzy w morze. Cóż innego mógłby tu robić?

Więc siedział i patrzył. Po wczorajszym sztormie morze było jeszcze wzburzone,

z północy szły powoli ciężkie chmury, wysokie jak samo niebo: krzyczały to jaskrawą białą, to niemal granatową szarością na zimnym błękicie. Ungana patrzył i czekał, patrzył i czekał. Na co właściwie? Przecież nie na Ora! Zaśmiał się, bo to jedno było pewne. W morzu, daleko od brzegu, pokazała się głowa foki. Dejno Imanu, gdyby tu siedział jeszcze, podskoczyłby z radości i podbiegłby zwoływać Lud. Pewnie w ten sposób zaczynały się dawniej Powroty.

Foka była coraz bliżej. I to nie była foka. Z morza ktoś szedł, ot tak sobie prosto z wody, wynurzając się powoli. Księżca ogarnęła złość: ktokolwiek to jest, skoro wychodzi z wody, musiał do niej przedtem wejść, przypuszczalnie o parę kroków stąd na północ, w szerokiej zatoce. Powroty mogły więc być i oszustwem, a on przyszedł tu po to tylko, żeby asystować przy czyjejs kolejnej próbie dokonania tego oszustwa.

Ten ktoś stanął już na suchym piasku i szedł powoli w stronę Ungany. Od razu było jasne, że nie jest to ktoś z Ludu, ani w ogóle Megnita, ani Dzugid czy Fingaj, choć podobny był raczej do któregoś z tych ras niż do takich na przykład Tmutów. To, co miał na sobie, zbyt ociekało wodą, żeby można było rozpoznać krój i jakoś to nazwać. Ungana przypomniał sobie, jak to kiedyś zapragnął, żeby Or istniał naprawdę i odczuł swoją porażkę. Nie sądził jednak ani przez chwilę, że to pragnienie teraz się spełnia. Po pierwsze, Obcy był zbrojny – włócznia w ręce, łuk przez plecy, kołczan u pasa – a Or w legendach nigdy wojownikiem nie był. Po drugie... Dejno Imanu, gdyby żył i siedział tu jeszcze, na widok Obcego alboby się rzucił gołymi rękami przeciw ostrzu włóczni, zabronić mu wstępu na Wyspę... alboby umarł z przerażenia. Ungana czuł, że stać go na to, by siedzieć spokojnie i patrzeć bez strachu, ale też po raz pierwszy w życiu miał przed sobą wroga, którym już nie mógł gardzić. Powiedział, gdy tamten był już blisko:

– Oszustwo.

– Dobrze cię wychowali – odrzekł Obcy protekcyjnym tonem i usiadł także. Był bardzo wysoki. Lepiej było myśleć o tym niż o jego podobieństwie do granatowo-białych chmur i do zimnego błękitu. I lepiej było nie słuchać jego milczenia.

– Chciałeś ze mną mówić, jestem – rzekł Ungana. – Śpiesz się: nie mam dużo czasu. Czego chcesz?

Obcy skrzywił usta w uśmiechu.

– Powiedzmy, że przynoszę ci wieści od Tmutów – odpowiedział. – Pierwsza ich flota ma tu dotrzeć o drugiej pełni po letnim przesileniu. Na razie umacniają się na zdobytych wyspach Małego Archipelagu.

– To samo donieśli mi Fingaje tydzień temu. Czyżbyś o tym nie wiedział?

– Niecierpliwość... niecierpliwość! Tyle set lat pracy nad każdym waszym rodem, a księżę Wyspy jeszcze jest niecierpliwy?

Ungana zaciął usta. Miał tysiąc przyczyn do pośpiechu, ale nie miał obowiązku tłumaczyć ich temu Obcemu... ktokolwiek to był.

– Tak już lepiej – powiedział Obcy. – No i słuszniej jest, żebyś to ty czekał, aż ja zechcę mówić, a nie odwrotnie. Że jednak chwila jest ważna, przyznaję ci prawo do pośpiechu i będę mówił krótko. Prowadzę wojnę z Orem. Nie, nie, mylisz się: nie jestem twoim sprzymierzeńcem ani ty moim. Ty jesteś spadkobiercą i wykonawcą Zamysłu Książąt, podobnie jak Ahohoi syn Emomego jest wykonawcą Zemsty Fehine, a Kneh Pierwszy – Godziny Tmutów. Ale to ja wyznaczyłem te wszystkie godziny, ustaliłem plany, splotłem zamysły. W mojej wojnie są one wszystkie tylko jak poszczególne kroki żołnierzy wielkiej

armii. Nie jesteś moim sprzymierzeńcem, ale sługą. I dzisiaj musisz to uznać.

– Tak mówisz – rzekł Ungana tonem umyślnie tak grzecznym, żeby aż znaczył niedowierzanie. – Ale czy zażądałeś tego także od Kneha i od syna Emomego? I co oni na to?

Chciał dodać: „I kto mnie o tym przekona?”, ale już się nie ośmielił. Czuł, że nieznajomy mówił prawdę. To było równie pewne, jak poranne wezwanie. I równie pewne jak to, że książę chętnie uznałby się nie tylko za sługę, ale za ostatniego niewolnika tego Obcego za jedną cenę: za uwolnienie się jak najszybciej od jego obecności. Z drugiej strony to właśnie było dowodem, że jest to naprawdę Wróg Ora, a więc ktoś, kto wprawdzie zjawił się nagle spoza wszelkich planów i zamysłów, ale kogo należało mieć po swojej stronie. Teraz milczy: nie ma obowiązku odpowiadać. Ungana rzekł ni to twierdząco, ni pytająco:

– Więc Or istnieje rzeczywiście...

Obcy zaśmiał się.

– Czyż ci to nie dodaje tylko smaku? Ale pytałeś o tamtych: nie, od nich nie żądałem niczego. Oni mi służą bezwiednie. Od ciebie żądam więcej, bo i daję więcej... jeżeli...

Właśnie: jeżeli. Ungana wie doskonale, że taki Kneh uważa go tylko za drobnego wykonawcę swojej woli i sługę przyszłego imperium Tmutów. Ahoi syn Emomego, mimo czołobitnego stylu swoich listów, niewątpliwie także zamierza wskrzesić imperium Fehine, do czego Wyspa i jej książę są mu tylko na krótko potrzebni. Przeciw tym dwóm potęgom, chwilowo pozornie sprzymierzonym, on ma jedynie siłę psychiczną swoich myślomówców; ową rosnącą od wieków moc duchową Wyspy, którą teraz zamierza wyzwolić przez uderzenie rozpacz. Będzie to jakby wybuch wulkanu i tych trzydziestu – a może i wielu innych z nimi – uzyska przynajmniej na jakiś czas zdolność narzucania swej woli wszelkim istotom myślącym. Znając język Tmutów, podporządkują sobie przede wszystkim ich armię i na jej czele ruszą na Dżugne: to będzie początek nowego Imperium. Taki jest Zamysł Książąt. I to się może udać; ale czy musi, jeśli Wróg Ora odmówi poparcia?

– Właśnie – rzekł Obcy – Nie musi. Umyślnie zostawiłem w waszych planach tę lukę. Rozstrzygnie o wszystkim twoja dzisiejsza decyzja. Przyszedłem tu po twój hołd.

Oczywiście: mógłby jeszcze zmienić plany i dać imperium któremuś z tamtych dwóch. Do Ungany jednak przyszedł najpierw. Dlaczego? Książę nie ma złudzeń: nie z racji jakichś jego szczególnych zalet, tylko dlatego, że Wróg Ora chce panować najpełniej właśnie na Wyspie Ora. Tu chce mieć sługi najoddańsze. I właściwie już ma. Pozostaje tylko uznać fakt.

Tak jak siedział na piętach, nie wstając, Ungana schylił się nisko, dotknął czołem kamiennej płyty. Powiedział:

– Prawdę powiedziałeś, Władco. Jestem twoim sługą najniższym, jak i wszyscy moi przodkowie.

Usłyszał zimny głos:

– Masz moją łaskę. O co prosisz?

Pułapka oczywiście, ale Ungana znał się na pułapkach.

– O warunki służby – odpowiedział.

– Dobrze! Zrozumiałeś. Dam ci imperium, zgodnie z Zamysłem, który wykonujesz. I dam tobie i twoim znajomość umysłów i władzę nad sercami, abyś je niewolił. Nie czekaj natomiast szczęścia! Tym towarem ja nie handluję: gardzę nim. Ty także masz nim

gardzić, choćby ci w ręce samo szło, choćby ścigało cię po drogach: inaczej stałbyś się niezdolny do mojej służby...

– Rzekłeś, Władco – Ungana skłonił się znowu. – Twój sługa będzie posłuszny.

Patrzył teraz w twarz Obcego, nie czując ani strachu, ani nawet wielkiego obrzydzenia: było mu tylko trochę mdło. Obcy musiał wiedzieć o tym i dlatego przedłużał to spotkanie, rozkoszując się swoją absolutną władzą nad duszą Ungany. Tak przynajmniej odczuwał to sam Ungana, chociaż później zorientował się, że w rzeczywistości to ostateczne milczenie trwało zaledwie parę chwil. Potem Władca po prostu znikł, nie trudząc się zachowywaniem pozorów i wchodzenie z powrotem w morze. Pozostała na kamieniach kałuża wody, która ściekała z jego szat. Ungana na wszelki wypadek skłonił się jeszcze raz przed tą kałużą, po czym wstał i odszedł.

Maszerował szybko, bo był trochę zziębnięty, chociaż dochodziło południe. Wiedział, że pierwsze zbuntowane grupy zbierają się już pod zamkiem, a Inutu jest od paru godzin u Zangi: niedługo i Zanga wyruszy. Ale nawet gdyby, co mało prawdopodobne, posłał swoich zbirów po księcia prosto z Ulwi, a nie dopiero po formalnym objęciu rządów, to i tak będą mieli za daleko, żeby mu odciąć drogę do chatki Nulani. A chatka musi zostać ogłoszona miejscem świętym: za takie od dawna uważają ją bardowie. Tsamonume tego przypilnuje, mówił Hwa.

Inutu – co się może w tej chwili dzieć z Inutu? Mimo pewnego ryzyka niebezpieczniejszy jest tam, gdzie jest: dlatego tam został wysłany. Ungana poczuł nagle strach o syna, tęsknotę za nim; opanował je myślą o Władcy. „Będziesz gardził szczęściem”. Będę, Władco: choćbym i syna stracił w służbie Wielkiego Zamysłu, ani się nie obejrzę. Mogę jeszcze mieć synów, którym przekażę imperium. Mogą mieć wiele żon, jak królowie Szentów i Dżugidów. Nulani nie jest ważna. Nią także będę gardził.

Tego wieczoru siedzieli naprzeciw siebie znowu jak obcy, chociaż Ungana jej powiedział, że jest w niebezpieczeństwie i że musi szukać u niej azylu i schronienia. Dla Nulani była to okazja do odwzięczenia mu się za ratunek i opiekę w czasach, kiedy to ona była przesładowana, a on potężny. Byłaby też tę możliwość powitała z radością, gdyby nie coś niepokojącego w zachowaniu Ungany. Był jakiś jakby inny niż zawsze. Doszła w końcu do wniosku, że on się pewnie po prostu boi. Na to nie miała już rady, zwłaszcza że nie wiedziała dobrze, co mu grozi i z czyjej strony. Jeżeli Wyspa wraca naprawdę do starych obyczajów, to nikomu nic poważnego grozić nie może, zwłaszcza księciu z rodu Nile. Nulani uznała, że przede wszystkim powinna nie zauważać strachu Ungany. Ale rozmowa szła przez to tym niezręcznie.

Było już dobrze po zachodzie słońca, kiedy oboje usłyszeli daleki śpiew. Wtedy to urwała się i ta bezsensowna rozmowa: milczeli odtąd i słuchali. Śpiew zbliżał się bardzo powoli: widocznie szedł wielki tłum, który słyhać było z dużej odległości. Ungana zauważył, że najczęściej powraca nuta Nieszczęśliwych: niewątpliwie trzon pochodni stanowili Bohaterowie. Nastrają się długo wokół chaty!

Ale było coś groźnego w tym śpiewie.

Doszli wreszcie i zapełnili polanę, do drzwi jednak przez dłuższą chwilę nikt nie podchodził. Ungana spojrział na dziewczynę i nagle zrobiło mu się jej żal.

– Nie bój się, tehennen – szepnął. – Przyszli do ciebie z pokłonem.

W tej chwili do izby wtoczył się pędem Hwa, krzycząc: „Tar!”, co w języku Tmutów znaczy: „zdrada”, ale zanim zdążył wyjaśnić, jaka i czyja, weszli ze szczękiem broni

z tupaniem Tsamonume, Kasse Damuru i kilkunastu młodszych Bohaterów. Większość z nich niosła pochodnie: rude blaski i czarne cienie rozpełzły się po kamiennych ścianach.

– W imieniu Inutu Nile, księcia prawowiernego! – przemówił Tsamonume i znów powtórzył: – W imieniu Inutu Nile!

Nikt mu nie odpowiedział. Wyraz twarzy Ungany, na której krzyżowały się lotne światła i cienie tyłu pochodni, był nie do odczytania. Tsamonume ciągnął:

– Inutu Nile, książę prawowierny, oraz Zanga Ulawe, wielki dziedziczny minister, ślę tobie, świątobliwa pani, wyrazy głębokiej czci. Po obaleniu niesławnej pamięci Dżauriego, zwanego Tanu, który był przyczyną tyłu nieszczęść Wyspy, uznali oni za najpilniejsze i najpotrzebniejsze przywrócić wszystkie dawne prawa i porządki, których zachowanie było niegdyś i znowu będzie od dzisiaj trwałą podstawą pokoju i powodzenia Ludu. Jest ono bowiem niezbywalnym warunkiem jego niezniszczalnych osiągnięć. Ty właśnie, pani, wiesz o tym dobrze: twój świetlany przykład zachęcał Lud przez te wszystkie lata do stawiania słusznego oporu wrogim siłom. Ze względu na te zasługi książę Inutu Nile oraz wielki dziedziczny minister Zanga Ulawe mianują cię dożywotnią przełożoną Sług Ognia, a dom ten, w którym mieszkasz, uznają za miejsce święte na równi z Placem Wschodnim.

Tu bard po raz pierwszy pokłonił się Zniczowi i umilkł; widocznie czekał na odpowiedź. Nulani wiedziała oczywiście, że powinna wyrazić radość. Powinna ją też czuć. Zamiast tego jednak czuła głębokie rozczarowanie i zniechęcenie. Czy po to trwała tutaj samotnie przez lata, czy po to wyrzekła się rodziców, domu, w końcu i szczęścia – tak szczęścia! Wiedziała już teraz, gdzie ono było – żeby to, czemu służyła, rozsypało się w pustych słowach obmierzłego Szentu? A jednak musiała coś odpowiedzieć, i to tak, żeby nie drażnić zwycięskich łotrów: winna to była Unganie.

– Dziękuję księciu i jego ministrowi – zaczęła, przełamując opór własnych warg. – Dziękuję także wam, obaj bardowie, i tobie, starszy rodu Damuru, że zechcieliście przynieść mi tę nowinę. Pozostańcie dziś u mnie, wy i wszyscy Słudzy Ognia, którzy mogą znaleźć się w tym tłumie: bo ważne sprawy są do narady. Inni niech się rozejdą do siebie, bo jestem za uboga, żeby mieć czym przyjąć tak wielu.

Tsamonume i Kasse skłonili się w odpowiedzi, ale Nulani nagle wyczuła w tym ukłonie coś z drapieżności pająka, który się kurczy i spręża, zanim wyskoczy z zasadzki. I coś z triumfu pająka, który widzi, jak zdobycz rzuca się w siatce. Hwa – dopiero teraz to spostrzegła – przycupnął w kącie za Zniczem jak błagalnik. Zanim jednak zdążyła zadać choćby sobie samej pytanie, co to może znaczyć, przemówił znów Tsamonume.

– Nie z takimi jak my, świątobliwa pani, będziesz odtąd prowadzić narady, ale z tymi, którzy mają moc rozstrzygać i rządzić. Nie będziemy nadużywać twojej gościnności. Mamy jednak jeszcze jeden dekret do ogłoszenia. Z woli Inutu Nile, księcia prawowiernego, oraz Zangi Ulawe, wielkiego dziedzicznego ministra, miejsca święte mają być odtąd tak święte, że ich nie może kalać obecność przestępcy. Przystają więc być miejscami azylu. Dlatego nie będzie już więcej plamić tego domu obecność Ungany Nile, którego mamy rozkaz uwięzić. Ani go też nie będzie plamić obecność przeniewierczego barda Hwa, który służył Unganie. Ponieważ krew władców Wyspy, zarówno jak krew bardów, jest święta, nie zostaną oni zabici, ale zostaną okuci w kajdany i odprowadzeni w miejsce bezpieczne, którego odtąd nie będą już mogli opuścić. Te są słowa księcia prawowiernego i wielkiego dziedzicznego ministra: teraz spełnią je na twoich oczach

Bohaterowie Porządku.

Nulani zerwała się z ziemi.

– Zabraniam! – krzyknęła.

W nagłym chaosie oburzenia i rzuconych przez Kassego rozkazów dobiegł ją z bliska szept Ungany:

– Cicho, tehennen. Nic nie poradzisz. Za dużo ich.

Odwróciła się, by odpowiedzieć – i zobaczyła, jak trzech osiłków pochwyciło księcia, a czwarty już podchodził z łańcuchem. Ten czwarty popchnął ją tak, że zatoczyła się prosto na Znicz, za którym już czterej inni oplątywali Tmuta w coś w rodzaju drucianej siatki. Nulani odskoczyła od ognia; brzeg jej białego płaszcza zapłonął. Krzyknęła rozpaczliwie:

– Stójcie! Słuchajcie!

Było coś takiego w jej głosie, że umilkli rzeczywiście i znieruchomieli patrząc na nią. A ją przeniknęła nagła radość. To było wyzwolenie, rozcięcie więzów, wyjście na światło. Dożyła, doczekała!

W milczeniu, już spokojna i zdecydowana, zdjęła tłący się na brzegu płaszcz. Miała pod nim grubą tunikę z ciemnej koziej sierści, którą włożyła tego rana dlatego, że było zimno. Zwinęła płaszcz i złożyła go na palenisku: niechże spłonie! Powiedziała:

– Książę Ungana, którego stąd zabieracie, jest moim mężem. Muszę więc odejść od Znicza, a iść za nim.

– Nulani Imanu – rzekł surowo Kasse – nie igraj ze śmiercią. Twój ojciec już nie żyje i cały twój ród został proskrybowany; dla ciebie jednej zrobiono wyjątek, ponieważ służysz Zniczowi. Jeśli odejdziesz od niego, jesteś zgubiona.

Odpowiedziała:

– Odrzekam się waszego Znicza, waszych Powrotów, waszego Oczekiwania. I nie nazywam się Nulani Imanu, ale Nulani Nile. Zabić mnie nie możecie, bo krew rodu Nile jest święta. Idę za moim mężem.

Wybuchł ogólny krzyk. Zabić ją zaraz, zmusić, żeby została, zabrać na Plac Zachodni. Książę Inutu byłby rad. Nie Inutu jest ważny, durniu, tylko marszałek. Minister! Nie wolno zabierać od Ognia. Głupstwo Ogień. Posłać do Zangi. Zabić. Zostawić. To pobiegnie. Zabrać. Zanga nie pozwoliłby zabić.

Ungana milczał. Po raz pierwszy w życiu nie był już pewny niczego, nawet własnego losu. Najpewniej zadrwił sobie z niego Władca Rozpaczy i wymusiwszy hołd, natychmiast odrzucił. Jest więc wrakiem bez nadziei albo z nadzieją bardzo nikłą. Tego to wraka teraz uczepliła się Nulani, aby utonąć z nim razem. Polecą za nim, głupia, prosto w ciemność. Wiedział już dobrze, komu to pokłon oddał – wystarczyło jednego spotkania! – ale nie umiałby zawrócić z raz obranej drogi, z drogi Książąt Wyspy. Może natomiast mógłby jeszcze zawrócić z tej drogi dziewczynę...

Teraz? W tej właśnie chwili, na którą cierpliwie pracował przez lata?

Jak łąka falująca w słońcu są twoje włosy, o Nulani... Jak ciepły powiew południowego wiatru są twoje oczy... Jak białe skały wytryskujące znad świerkowego lasu... Szczęśliwy, kto taką wyspą włada, choćby przez krótkie już dni...

Stukały młoty, z pochodni sypały się węgielki. Skuto ich oboje do jednego łańcucha. Potem wieziono ich na zachód na rozklekotanym wózku. Wiatr już ucichł, była gęsta mgła.

Jak wielkie władztwo jest twoja twarz, o Nulani, jak niezmierna kraina, posłuszna swojemu panu... Jak morze, co unosi daleko zdobywcą flotę...

Jeden z Bohaterów człapiących na osłach obok wózka, ogromny drab, zbliżył się we mgle i powiedział cicho:

– Nazywam się Szemi Ulawe. Może księżna pani zechce wziąć mój płaszcz: mgła bardzo ziębi.

Ten woli zabezpieczyć się na obie strony, pomyślał Ungana. Może i racja: za wcześnie poddałem się poczuciu klęski. W rzeczywistości nic jeszcze nie jest stracone: cały Zamyśl nadal jest do wykonania. Trzeba wrócić z gwiazd na ziemię do roboty. Śmieszne: przez całe życie nigdy nie byłem tak szczęśliwy, jak przez te kilka godzin, kiedy mi się zdawało, że wszystko wzięło już w łeb...

Odwrócił głowę i szepnął w ciemność:

– Władco, to przecież nie tyle moje szczęście, co wielki triumf dla ciebie!



ROZDZIAŁ ÓSMY

PIEŚŃ O DRODZE DŻUGIDÓW

Kera pochodziła z Daggesz. Gordo pojął ją za żonę jeszcze przed podbojem, a że w Górach panowało jednożeństwo, była przez długie lata jedyną jego miłością; właściwie przez całe życie. Była matką Almuka, a chociaż potem rodziła już tylko córki, Gordo nie miał do niej o to żalu. Kilku synów doczekał się później w Dżug-byr, urodzili się niemal równocześnie, tuż przed wyprawą, z żon pojętych w Srebrzysto-Złotym Pałacu; ale to było co innego, królewski obowiązek raczej niż potrzeba serca, i jak Almuk był niewątpliwym następcą, tak niewątpliwą królową była Kera.

Jej też Gordo pozostawił rządy w kraju. I widać udęczone Państwo Równin potrzebowało właśnie kobiecej, matczynej ręki, bo zapanował w nim względny spokój. Co nie znaczy, że ta matczyzna ręka nie bywała twarda. Energiczna góralka wypowiedziała na przykład zdecydowaną wojnę bandytom i gdy udało się któregoś schwytać, osobiście dozorowała egzekucję, bynajmniej niehumanitarną. Do innych wojen natomiast nie czuła pociągu, jak gospodyni tępiąca wprawdzie w razie potrzeby szkodniki domowe, ale głównie zajęta karmieniem czeladzi i uprawą grządek. Kera kochała rolnictwo i wiedziała, czego potrzeba rolnikom. To było myślą przewodnią jej rządów.

A na dyplomacji nie znała się zupełnie. Kiedy wkrótce po odejściu Gordona na wschód zjawilo się u niej kilku Feinu i w największej tajemnicy zaproponowało, w imieniu nieznanego wyspiarskiego księcia, że w zamian za jakieś koncesje (ki lichy?) wydadzą jej kryjówkę poszukiwanego Gordowego siostrzeńca – Kera odrzekła oburzona, że głowami sierot nie handluje, i kazała ich z bramy pałacu poszczuć psami. A kiedy później Derszen, w imieniu jeszcze innego zamorskiego władcy, proponował jej ugodę z Dżaurim, kazała mu z tym czekać na powrót królewski, bo sama co innego ma na głowie. Potem się okazało, że Gordo jesienią nie wrócił; i nie dogonił go już ani nie odnalazł żaden wysłany za nim zwiadowca ni goniec. Zimą stało się jasne, że zginął bez wieści razem z całym

swym wojskiem. Kera opłakała męża i syna, ale tym usilniej – i jeśli to możliwe, tym gospodarniej – zabrała się do rządów. Kraj potrzebował przecież matki.

Ale potrzebował także zabezpieczenia ciągłości dynastii. Kera patrzyła z pogardą na raczkujących synów młodszych żon Gordowych, a z niesmakiem – na niezgrabne zabiegi tych żon, starających się zdobyć, każda dla swego, tytuł następcy tronu. Niezgrabne, bo te lalki dżugbyrskie umiałyby doskonale rozgrywać swoje intrygi, gdyby chodziło o przypodobanie się mężczyźnie, ale zgoła nie potrafiły prowadzić walki o względy kobiety, w dodatku starszej o wiele. Kera opędzała się od nich, jak mogła, i nawet swoje córki chroniła przed ich towarzystwem.

A z tych córek najstarsza, Balit, kończyła właśnie piętnaście lat i należało się rozejrzeć za stosownym mężem dla niej. I tu którejs nocy przyszła królowej myśl genialna, by odsunąć od następstwa tronu niewydarzone pędraki młodszych żon, a przekazać władzę córce i zięciowi. Aby zaś sprawę przeprowadzić łatwiej, wbrew dżugbyrskim zwyczajom nieuznającym dziedzictwa dla kobiet, można było Balicie dać za męża wygnanego Gordowego siostrzeńca, który wszak pewne prawa do tronu posiadał. Kerze tak się spodobał ten pomysł, że chciała zabrać się do jego przeprowadzenia jeszcze tego samego rana; okazało się jednak, że nie tak łatwo będzie Dżauriego odnaleźć. Derszena nie było w kraju – gdzie ten włóczęga pojechał? – a feineńskich agentów nie pozwalała Kerze wezwać duma. Pozostawało tylko czekać na jakąś inną okazję lub na powrót młodego barda. Kera należała do osób, które przymusowa zwłoka utwierdza tylko w powziętym postanowieniu; lubiła nawet zwłokę, bo mogła dzięki niej dopracowywać plany szczegółowo. Przypilnowała więc któregoś dnia, by wydane przed laty listy gończe za Dżaurim, synem Tanmuka, zmienić na nowe, w których nakazywała dostawić go na dwór królewski koniecznie „żywego i zdrowego”, nie zaś jak poprzednio „żywego lub umarłego”. Zastanawiała się przez jakiś czas, czyby nie ogłosić jawnie, po co jej potrzebny siostrzeniec męża; ale doszła do wniosku, że sam poszukiwany i tak by nie uwierzył, zaś młodsze żony Gordowe mogłyby wszcząć jakieś intrygi w obronie swoich interesów, komplikując przez to życie i tak już trudne. Zostało więc tak, jak było. Nieliczne wolne chwile poświęcała odtąd królowa na zastanawianie się nad dalszymi szczegółami planu i na wtajemniczenie w nie Bality. Bywało, że szeptały o tym ze sobą podczas wieczerzy, nawet podczas pieśni, nawet jeśli to była pieśń o nieszczęśliwej wyprawie Gorda, syna Dżauriego Zdobywcy. Kera kochała męża i czciła jego pamięć, ale życie musiało iść naprzód.

*...I rzekł król do barda Łazęgi,
do barda zdrajcy,
do tego, którego imię
wykluczyli później bardowie z Bractwa:
„Ukazujesz mi drogę bez końca,
drogę godną mojego imienia”.
I poszedł król na wschód za radą zdrajcy,
aby tam zginąć...*

Tak śpiewał bard, z Kera przechyliła się do córki i szepnęła:

– Przypomniałam sobie właśnie, że Tanmuk służył kiedyś jako najpiękniejszy mężczyzna wśród Dżugidów. Hagrit też była całkiem możliwa. Co?

Balit zaśmiała się, a bard uderzył w struny z całej siły, bo tylko tak mógł dać wyraz

swojemu zgorszeniu z niewczesnej wesołości królowny. Po czym przeszedł do zwrotek wyliczających po imieniu wszystkich grandów, którzy poszli za Gordem, dodając oczywiście także ich rodowody i parantele. Balit porozumiała się oczami z matką: te zwrotki nie skończą się nigdy, trzeba wysłuchać kilku dla etykiety i dać znak na wstawanie od stołu.

A tymczasem daleko na wschodzie rosła także pieśń bez końca.

*...I przyszedli nad rzekę leśną, płynącą między wierzbami,
i z powodu mnogości wierzb nazwali ją Kermut-Gał.
I rozbili obóz nad Kermut-Gał.
I wyruszyli znad Kermut-Gał,
i przyszedli na Łysy Pagórek. Były tam skały.
I wyruszyli z Łysego Pagórka, spomiędzy skał,
i doszli do innej rzeki: nazwali ją Meszti,
ponieważ w jej rozlewiskach żył lud rybaczy.
Lud rybaczy uciekł przed nimi,
a oni przeszli przez jego siedziby
i rozbili obóz za rzeką Meszti,
i tam przezimowali.
I wyruszyli znad rzeki Meszti...*

Rosła za nimi przebyta już dal i rosła pieśń o Drodze Dżugidów, ciągnięta wieczorami przy ogniskach, długa i monotonna. Któż kiedy zechce ją śpiewać oprócz nich samych? To dla nich i tylko dla nich każde jej słowo było zapisem trudu i bólu: grzbietu napiętego, kiedy pnie drzew toczyli ku trzęsawiskom, stóp palących pod wieczór, jakby je w ogień włożono, obwisłych ramion. Niegdyś ich zapomniani już niemal przodkowie odbyli podobną drogę w odwrotnym kierunku, tylko krótszą o wiele – o wiele! – i dlatego pieśń o tej drodze była nadal znana Dżugidom Górskim. Tej nowej pieśni nikt się nigdy uczyć nie będzie, bo jest za długa. Jeszcze nad Kermut-Gał obliczyli, że, sądząc po zwrotekach pieśni, mają już za sobą drogę dwakroć taką, jak droga ich przodków; a końca ani celu nie było widać.

Ale szli i więcej się nie buntowali. Im bardziej rosła dal przebyta za nimi, im bardziej rosła pieśń sławiąca ich drogę, tym bardziej byli przekonani, że jest to jakieś dzieło wielkie i wzniosłe w swej bezcelowości, im tylko przeznaczone, święte. Tytuł największy do chwały Dżugidów, nawet chociaż tej chwały nikt nie będzie śpiewał, bo i komu mogą ją przekazać? Ich żony i dzieci pozostały daleko w ojczyźnie, więc oni sami, gdy dojdą – dokąd? – nie będą nawet mieli komu podać wieści o swoich przewagach, chociażby w skrócie. Że mogliby powrócić, od początku było wykluczone. Nie, takiej drogi nie przebywa się dwa razy, nie idzie się nią po raz drugi, nawet do domu, do swoich. Tylko naprzód.

*...A od Słonego Jeziora ciągnęli brzegiem puszczy,
mając puszcze po lewej ręce, a step po prawej.
Liczne rzeki wypływały z puszczy,
ale przez wiele z nich można było przejść w bród,*

*nie budując dla Dżugidów mostów.
Szli więc Dżugidowie szybko,
aż spotkali na skraju lasu koczownicze plemię tubylców,
które inni tubylcy wygnali z jego siedzib rodzinnych.
I rzekli im Dżugidowie: Chodźcie z nami.
Ale koczownicy nie chcieli iść.
Pouczyli jednak Dżugidów o mocy ziół, które tam rosną,
a mają moc życia i śmierci
dla istot rozumnych i nierozumnych.
Wtedy Dżugidowie zboczyli z drogi
i poszli wzdłuż Szerokiej Rzeki na południe:
zboczyli ze swojej drogi o pięć dni marszu,
i napadli na zwycięskie plemię, i pobili je,
i przywrócili swym dobroczyńcom ich dawne siedziby,
a ich krainie przywrócili dawnego pana...*

A tak się złożyło, że było to tej samej wiosny, chyba nawet w tym samym miesiącu, kiedy doniesiono Kerze o schwytaniu dwóch półżywych z głodu i trudu włóczęgów, czy może rozbitków, których majaczenia pozwoliły ustalić niezbiecie ich tożsamość: jeden jest mianowicie bardem z dalekiej wyspy Megni, drugi zaś – poszukiwanym księciem Dżaurim synem Tanmuka. Kera natychmiast posłała tam Balit, po czym ruszyła i sama – powoli, dostojnie, z wielkim dworem i załatwiając po drodze liczne sprawy sądowe i sporne. Od niej samej też wkrótce dowiedział się Dżauri, że wrogowie stali się nagle przyjaciółmi, uzurpatorzy – wiernymi sługami, a on sam z banity – jedynym prawnym następcą tronu. I że śliczna pielęgniarka, której właśnie chciał zaproponować wspólną ucieczkę, jest jego bliską krewną i przyszlą żoną.

Adun ułożył pieśń sławiącą powrót i triumf prawowitego władcy. Użył w niej pewnych zwrotów zapożyczonych z pojęć Ludu Wyspy Niczyjej (w tamtejszej mitologii pojęcie powrotu było szczególnie ważne), ale poza tym i on, i Dżauri woleli nie wracać nawet myślą do tego okresu pomyłek, cierpień i strachu, jakim dla obu był pobyt na Wyspie. Adun zresztą chciał jechać do ojczyzny pierwszym niefeineńskim statkiem, jaki by się nadarzył; w oczekiwaniu na tę możliwość układał tymczasem dla Dżauriego uroczyste pieśni weselne.

A jednocześnie na dalekim stepie Łazęga w wesołej śpiewce sławił powrót w ojczyste pielesze Gordowego druha, króla-zielarza o niemożliwym do wymówienia imieniu. Zaraz po trzydniowej triumfalnej uczcie Dżugidowie pociągnęli jednak z powrotem ku skrajowi puszczy.

*...I doszli do innej wielkiej rzeki, rzeki głębokiej,
której drugi brzeg tylko z trudem mogli zobaczyć.
I nazwali ją Morzem Płynącym.
Tam obozowali przez miesiąc, budując tratwy.
I przeprawili się przez Morze Płynące na tratwach.
A na drugim brzegu Morza Płynącego
umarł król Gordo, syn Dżauriego Zdobywcy,
umarł król Gordo Daleko – Wiodący*

*i pochowano go tam, nad brzegiem rzeki,
a brat jego młodszy Harka objął dowództwo
i poprowadził Dżugidów dalej na wschód.*

To jedno zlecił Gordo Harce przed śmiercią: iść dalej. Nie mówił nic o Łazędzie: to była śmiercionośna tajemnica i Gordo nie był pewien, czy brat dokonałby w tej sprawie takiego jak on wyboru. Ale sam nie miał innej drogi. Przebiegając myślą przeszłe lata, nie potrafił znaleźć wyraźnych momentów zwrotnych w historii swojej przyjaźni z Łazęgą – a przecież musiały być, skoro koniec tej przyjaźni tak bardzo był różny od początku. Musiały być jakieś chwile, w których już ostatecznie bard zmienił się dla niego najpierw z błazna tolerowanego z konieczności w mile widzianego pieśniarza, niemal brata, jak brat umiłowanego. W ciągu ostatniego roku przemiana poszła dalej jeszcze: coraz wyraźniej król wyczuwał w bardzie jakąś tajemnicę, przed którą czuł lęk, ale zarazem rosnący szacunek i wdzięczność. Nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że tych uczuć nie dzielą z nimi inni; najwyraźniej jednak nie dzielili, nie rozumieli nic. Łazęga także w niczym nie zmieniał sposobu bycia, jakby mu zależało na zachowaniu swej tajemnicy dla siebie; i Gordo czuł się czasem jak zły sługa, który zdradziecko podpatrzył sekret pana i zasługuje na karę. Toteż i robił co mógł, żeby nic po sobie nie pokazać. W obecności żołnierzy szło mu to dość łatwo, z przyzwyczajenia; ale ilekroć zostawał sam z bardem, czuł, że już odruchowo schyla głowę, że ścisza głos, że walczy sam ze sobą, by nie poprosić – jak o największą łaskę – aby mu było wolno uklęknąć.

Teraz Łazęgi nie ma: znikł, jak to on, na kilka dni. Gordo stoi na drugim brzegu rzeki nazwanej przez Dżugidów Morzem Płynącym i obserwuje przeprawę ostatniej flotylli tratow. Upał dławi ziemię, powietrze drga. Nad wodą jest chyba chłodniej, bo wiosłujący nie pozdejmowali koszul, ale tu na wzgórzu nie ma czym oddychać. W lesie jeszcze gorzej, duszno pomimo cienia. Póki te skwary nie miną, trzeba będzie iść nocą – myśli król i natychmiast, skojarzeniem przywołana, staje mu w oczach chwila, kiedy to nad Meszti po raz pierwszy zadał Łazędzie pytanie:

– Ktoś ty jest?

Księżyc, śnieg, powykręcane gałęzie nagich dębów. Odległy szum obozowiska. Bard parska śmiechem:

– Toć wiecie!

Ale znad tego uśmiechu oczy patrzą na króla czujnie. Wspomnienie tego spojrzenia sprawiło, że Gordo przez kilka miesięcy pytania nie powtórzył. Później jednak zadał je znowu, zadawał je wiele razy, coraz pokorniej i coraz żarliwiej, mimo wykrętnych, niecierpliwych odpowiedzi barda. Wreszcie na stepie podczas potyczki usłyszał to, czego pragnął.

Potyczka była niezamierzona. Gordo rozesłał swoje oddziały tak, by otoczyć horde wrogów zielarskiego ludu, ale sam ze swą ciężkozbrojną gwardią pozostał na uboczu, w przekonaniu, że przeciwnik nie jest godzien jego ręki. Czy to przypadek jednak, czy może podstęp wojenny wroga sprawił, że właśnie na oddział królewski wpadła nagle ogromna wataha jeźdźców na małych, zwinnych konikach, którzy nie podchodząc pod zasięg toporów i włóczni zasypali Dżugidów gradem strzał. Zaraz potem tropem tej watahy zjawily się lekkie oddziały Gordowe i otoczyły ją tak, że zwycięstwo po chwili było już pewne; ale właśnie na początku, gdy zbita gęsto wokół króla gwardia topniała od

pocisków, na które nie było czym odpowiedzieć – właśnie wtedy padły te słowa. Łazęga swoją tarczę uniósł nad głowę króla i Gordo słyszał, jak uderzały w nią strzały. Krzyknął wśród zgiełku:

– A ty? Chroń siebie!

I znowu śmiech, i znowu ta sama odpowiedź:

– Toć wiecie!

Ale tym razem te słowa znaczyły już zupełnie co innego. Jakby we mgłę się rozpląnęły szeregi gwardii, jakby zza mgły dochodził krzyk napastników. Jakby serce stanęło na chwilę. Król szepnął:

– Wiem i nie wiem. Wiem, żeś nieśmiertelny. Ale nie wiem, kim jestem?

– Za tę wiedzę wielu życiem płaci.

– Wszyscy?

– Nie, nie wszyscy.

– Tedy ja nie chciałbym jej za mniejszą cenę.

Biało, biało, nic już nie widać ani nie słychać. Tylko słowa:

– Kiedy zapragniesz, przyjdiesz.

Nagły zgiełk bije w uszy, obok kurzawy na stepie: to dopada wrogiej watahy lekka jazda Dżugidów. Łazęga cofa tarczę, nuci znowu jakąś swoją kpiącą śpiewkę:

Oj, czy śnieg to, czy w zamieci

chmura strzał okrutnych leci?

Oj, nie strzały to, nie burze:

to czmychają pędem tchórze!

Po bitwie, jakby nigdy nic, śpiewał znowu i Gordo zrozumiał, że nie wolno mu pytać dalej, dopóki tego, co już usłyszał, nie pojmie. A nie pojmował i w myślach spierał się z bardem:

Powiedziałeś: „Przyjdiesz”. Jakże mam przyjść i dokąd? Toć jestem, toć idę cały czas: idę tam, dokąd prowadzisz. Jakże mam jeszcze przyjść?

Powiedziałeś: „Kiedy zapragniesz”. Toż pragnę, pragnę od dawna. Rzekłem ci i nie cofam, zem gotów życiem płacić, i jeszcze będę rozumiał, że nabywam tanio. Jakże mam pragnąć więcej?

Tak mówił w sercu podczas trzydniowej uczty zwycięzców i podczas dalszego marszu, i podczas całej przeprawy przez rzekę nazwaną Morzem Płynącym. Aż kiedy ostatnia tratwa dobiła do brzegu, król nagle przetarł oczy jak ktoś obudzony ze snu.

– Almuk! – zawołał.

– Słucham, ojcie.

– Wydadź dowódcom rozkazy. Odtąd będziemy iść nocą, ale tej nocy spoczynek. Hufiec rybaków na wodę, hufiec koniuchów na step, hufiec drwali rozstawi czaty. Jeżeli ryb będzie dużo, postoiemy tu z tydzień i zrobimy zapas suszonych. Worki na wodę wyszorować piaskiem i natłuścić, każdy swój. Przegląd broni jutro o świcie. To wszystko, ruszaj.

Chłopiec odjechał. Król zaśmiał się: nie mógł powstrzymać radości. Obejrzał się z kolei za bratem.

– Harka!

– Słucham.

– Uważaj. Gdybym ja umarł tej nocy, ty poprowadzisz Dżugidów dalej na wschód...

– Ależ, Gordo...

– Słuchaj! Wiem, co mówię. Almurk za rok dopiero będzie pełnoletni. Przez ten rok ty będziesz dowodził. Pod żadnym pozorem nie wolno wam zawracać ani się osiedlać. Póki chociaż dziesięciu trzyma się na nogach, idźcie dalej na wschód. Jutro o świcie zrobisz przegląd broni, jak zapowiedziałem. I... nie martw się. Nieważne, ja czy ty. Ważne, żeby Dżugidowie doszli.

– Dokąd?

– Nie wiem. Zobaczycie na końcu. To wszystko.

– Bracie – rzekł Harka – jeśli czujesz się chory, odpocznij w namiocie, a ja zawołam lekarzy. Słońce dziś okrutnie pali.

– Wołaj kogo chcesz, byleś pamiętał do jutra, com ci powiedział.

Więc ułożyli go w namiocie i napiili wywarami z krzepiących ziół, i zarządzili ciszę dookoła. Pozwalał robić ze sobą to wszystko, prawie już nie słuchając, co mówią dookoła niego. Swoją radością nie podzielił się nawet z Almurkiem, uśmiechał się tylko bez słów do syna: może i on kiedyś dostąpi szczęścia takiego wezwania, ale na razie nie wiedziałby nawet, że to jest szczęście. Biedni oni wszyscy... A szczęście jest tuż, w zasięgu ręki. I takie to było proste! Jeżeli tak już pragnę, że bardziej pragnąć nie mogę, to znaczy, że nadszedł czas. A jeśli rzekł mi „przyjdiesz”, a potem znikł i nie wraca, to po to właśnie, żebym ja mógł iść do niego. Dokąd iść? I to też proste: w tę stronę, w którą on nas prowadzi...

Nocą, gdy ognie pogasły, król wymknął się z namiotu i z obozowiska i poszedł skrajem puszczy na wschód. Wypoczęty i wzmocniony ziołami szedł z początku szybko; przynajmniej tak mu się wydawało aż do chwili, w której zdał sobie sprawę, że stoi trzymając się z drzewa, i to już chyba od dłuższego czasu tak stoi, wpatrzony w ledwie widoczną poświatę dalekiego ogniska. Naprzód, to tam! – powiedział sobie. Ale nie poszedł naprzód. Ogarnął go strach.

Strach, nieomal paraliż! Czuł, że musi iść naprzód i że nie może; umrze za karę, jeśli pójdzie, ale też umrze z rozpaczy, jeżeli nie pójdzie. Czuł, że przewróci się i już nie wstanie, jeżeli puści pień drzewa. Zrobił mimo to krok naprzód i rzeczywiście zaraz upadł. Zmacał jednak na ziemi jakąś suchą gałąź i podpierając się nią, pełznął powoli na kolanach. Ognisko było coraz bliżej, strach i radość rosły, napełniając noc, tak że już w niej nie było miejsca nawet na samą ciemność.

Polana. Ogieńki mały, maleńki, ledwo oświetla znajomą postać, podniesioną twarz, wyciągnięte ręce. Gdzieś w połowie polany kij wypadł z ręki Gordy, król czołgał się dalej na rękach, na twarzy.

Dotarł wreszcie. Już nie śmiał patrzeć. Przywarł tylko twarzą do stóp, które w trawie zmacał. Poczul na głowie dotknięcie ręki. Usłyszał głos.

I tak go rano znaleźli Dżugidowie.

I był dnia tego na stepie wielki lament. A w Dżugne jednocześnie była wielka radość, taka, jakiej kraj dawno nie pamiętał: bo właśnie tego dnia Dżauri poślubił Balit i został ogłoszony współrządcą i następcą królowej Kery. Gdy Adun skończył pieśń sławiącą te wydarzenia, młody król własnoręcznie włożył mu na głowę drogocenny diadem. I szepnął:

– Prawdę powiedziałeś: uzyskałem wszystko, czegom pragnął. A jednak czuję tęsknotę

jeszcze za czymś, czego nawet nazwać nie umiem, choć wiem, że oddałbym za to nawet tron mojego ojca.

– To ślad Wyspy na twoim sercu – mruknął Adun – Nie myślałem, że wy, Dzugidowie, tak na to jesteście wrażliwi.

Na Wyspie zaś w tym czasie szalała rzeź bratobójcza.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY DŹAURI IDZIE W GÓRY

Ahohoi syn Emomego niewątpliwie przedobrzył, toteż sam sobie był winien, jeśli w ostatecznym rozrachunku mógł tylko zdobycze terytorialne wpisać na zysk, a zemstę i krwawą rzeź Dżugidów niestety na straty. Do końca niesławnego żywota (bo Imperator oczywiście zdjął go z urzędu na nieudolność) na każde wspomnienie o tym roku klął na czym świat stoi Dżugidów, Tmutów i wszystkie w ogóle ludy i rasy na ziemi, własnej nie wyłączając. Był wprawdzie zawsze dość przytomny, żeby nie objąć tym generalnym złorzeczeniem Imperatora i Możnych; ale powetował sobie to na bardach, ponieważ – jak twierdził – do zarządzenia blokady portów dżugidzkich namówił go jakiś nieznany bard. Czy też może przyniósł mu wiadomość, na której podstawie Starszy taką blokadę zarządził; to nie było jasne, zwłaszcza że tego barda nikt poza samym Starszym na oczy nie widział.

A było tak. Wiosną tego samego roku, w którym nastąpił przewrót na Kagi-Ogana, Ahohoi przebywał już od wielu miesięcy w Mano-Mena-Mujana czyli Porcie Wielkich Nadziei: tak Fehine nazywali swoją tymczasową bazę na skraju pustyni Ba-szem, nad bezimienną zatoką. Kamienisty płaskowyż opadał tam nagle ku morzu, zostawiając pas przybrzeżnej niziny zaledwie na milę lub dwie szeroki. Gorące źródła o przykrym zapachu były u stóp urwiska; na rudych zboczach pagórków rosła rzadka, kłująca trawa. Mimo tak trudnych warunków jakieś istoty dawno zapomniane żyły tu kiedyś: kto wie, może za ich czasów klimat był łagodniejszy albo źródła słodsze? Cały ten pas wybrzeża usiany był dość gęsto starymi zwaliskami, które od biedy mogły jeszcze dostarczyć jeżeli nie dachu nad głową, to przynajmniej dużej ilości cienia. Fehine przez dwa ostatnie lata gromadzili tam rodziny osadników, zwożąc dla nich żywność głównie z baz na Kagi-Ogana. Wodę ubożsi pili miejscową – czego się nie robi dla narodowej idei; zresztą nie była niezdrowa, tylko niesmaczna. Bogatsi zaś kupowali tę, którą z zamorskich źródeł przywoziły statki.

Z każdym tygodniem osada rosła i wzrastał się ruch w tymczasowym porcie.

Ahohoi kazał ustawić swój namiot wśród bazaltowych płyt będących prawdopodobnie resztkami jakiejś archaicznej świątyni. W wolnych chwilach (jeżeli władcy miewali wolne chwile) zastanawiał się, jakich też bogów tu czczono oraz jak wkalkulować ten bazalt do ceny, za jaką zamierzał sprzedać Tmutom całe Mano-Mena-Mujana. Port był niewygodny, za to płyty – świetnie zachowane. Podczas dusznych nocy chłodził o nie obolałe czoło między jedną a drugą rozmową. Wydał rozkaz, by meldowali się u niego osobiście dowódcy wszystkich statków i łodzi wpływających do zatoki; wypytywał ich sam szczegółowo o każdą spotkaną na morzu obcą łajbę, nawet jeśli siedział w niej tylko jeden Dżugid łowiący kraby. (Wielu takich samotnych rybaków z południowych kresów Dżugne nie wróciło tej zimy do domu). Doniesienia były wciąż pomyślne i zgodne: w portach dżugidzkich ruch normalny, żadnych podejrzeń, żadnego niepokoju ani tym bardziej przygotowań obronnych nie widać. Potwierdzały to także relacje szpiegów, których Ahohoi miał kilku w Srebrzysto-Złotym Pałacu: Kera nie wie o niczym. Wszystko przebiega jak najlepiej i jak najzgodniej z planami.

Po paru miesiącach takich krzepiących meldunków Ahohoi, zamiast się ostatecznie uspokoić, zaczął się właśnie niepokoić tym bardziej. Doświadczenie mu mówiło, że doskonałość jest nieosiągalna, że nawet najlepiej prowadzona akcja zawsze w którymś, tym czy innym, miejscu przecieka, i że nieraz od znalezienia na czas tego miejsca może zależeć całe powodzenie. Zimą dostojni członkowie Wielkiej Rady Ludu Fehine zaczęli sobie szeptać na ucho, że ich czcigodny Starszy szuka dziury w całym; wczesną wiosną powtarzali to już głośno wszyscy żeglarze.

Aż wreszcie, na krótko przed porą, w której na wodach Dżugne rozpoczyna się dalekomorska żegluga, Ahohoi – jakoby pod wpływem owego barda, którego jakoś nikt oprócz niego nie widział – zarządził nagle utworzenie specjalnej floty, która by zapewniła całkowitą blokadę dżugidzkich portów. Miało to zapobiec przyniesieniu przez obcych kupców choćby plotki o rozpoczętej już (niewątpliwie) wyprawie Tmutów. Rzecz była łatwa do wykonania, zważywszy ogromną liczbę feineńskich statków różnego rodzaju zgromadzonych w przystaniach obok Mano-Mena-Mujana lub krążących w bliskości Starego Łądu. Fehine posiadali też sztukę szepiania wielu łodzi, tak że tworzyły one rodzaj pływającego atolu, w którym można było (przy jako tako sprzyjającej pogodzie) przeładowywać spokojnie wprowadzone do środka statki. Toteż już pierwsi kupcy z Wielkiego Łądu, głównie Wehowie, którzy dotarli na te wody wiosną, zastali tam feineńskie eskadry; te ich grzecznie, ale stanowczo zmuszały do wyładunku w takich pływających portach, po czym płacono im za towar gotówką i odsyłano z powrotem. Akcję tę prowadzono z całą żeglarską zręcznością i kupiecką uczciwością pajęczego ludu; i znowu, jakby na utrapienie Starszego, popłynęły z początku meldunki o pełnym powodzeniu, doskonałym wykonaniu, o całkowitym spokoju w Dżug-byr i tak dalej. W trzy miesiące jednak po pierwszym takim doniesieniu nadeszło ze Srebrzysto-Złotego Pałacu zupełnie inne, świadczące o tym, że blokadę – o dziwo – zauważono i że wywołała niepokój; a pod koniec lata Starszy wiedział już, że popełnił piramidalne głupstwo. Tymczasem Tmutów nadal nie było widać: i odtąd każdy dzień ich zwłoki był na rękę Dżugidom, nie żeglarzom.

A w Dżugne pewnie by i nie zwrócono uwagi na brak w portach kraju wszelkich poza feineńskimi statków, zwłaszcza że nie towarzyszył mu brak towarów, gdyby nie

przypadek: obecność Aduna. Ten, wiedząc o związkach Feinu z Unganą, chciał koniecznie wracać na Megni z istotami jakiejś innej rasy, bał się bowiem słusznie, że pajęczonodzy żeglarze mogliby go dostawić z powrotem na Gar'Ingawi. Ale ani w Dzug-byr, ani w żadnym sąsiednim porcie nie mógł znaleźć dla siebie odpowiedniego statku; usłyszał natomiast podczas tych wędrówek rzeczy tak niepokojące, że zaalarmowany przez niego Dżauri przystąpił natychmiast do akcji. Kazał aresztować dowódców wszystkich feineńskich łodzi i zamknąć porty tak, żeby nikt nie mógł wypłynąć; jednocześnie postawił pod broń małą (ale istniejącą) flotę wojenną Dżugidów i posłał ją na wyprawę zwiadowczą. Tej flocie udało się przez zaskoczenie nie tylko dotrzeć do jednego ze sztucznych atoli, gdzie właśnie odbywał się w najlepsze przeładunek kilkunastu szentyjskich statków, ale i stamtąd prawie bez szwanku powrócić. Meldunek dowódcy floty i zeznania wziętych na tortury jeńców były zgodne: blokada portów, nieoglądana od wieków koncentracja floty feineńskiej na wodach Dżugne, a wszystko to w oczekiwaniu jakiejś ogromnej inwazji wielu narodów na Państwo Równin.

Było to w czasie drugiego zbioru pszenicy; bo w Dżugne przy dobrej pogodzie (a tego roku była wyjątkowo dobra) zdarzał się czasem nawet i trzykrotny w roku siew i zbiory. Kraina wyglądała jak jeden wielki spichlerz, dostatnia, spokojna i syta. Jak okiem sięgnąć, z górnego tarasu Srebrzysto-Złotego Pałacu widać było liliowe rżyska lub ciemnobrunatne pola, bronowane już pod trzeci zasiew. Na zboczach łagodnie wydymających się pagórków połyskiwały zielenią winnice; kępy sadów otaczały wioski. Dla Kery widok ten – choć rzadko miała czas przychodzić tutaj – był radością i nagrodą taką, jaką jest widok noworodka dla matki w połogu. Brała całą tę krainę w ręce, jak dziecko po raz pierwszy przykładane do piersi. Pochylała się nad nią nucąc cicho; mogła równocześnie myśleć o jakiejś umowie handlowej albo o nowym prawie nakazującym obmurowywać źródła – o rzeczach mniej praktycznych w ogóle by nie potrafiła myśleć: ale to wszystko było jak kołysanka śpiewana temu ogromnemu, ukochanemu dziecku. Ze wschodniej strony tarasu przechodziła potem na zachodnią: tam leżało miasto. Już znowu zagospodarowane, jako tako odbudowane, żywe. Już znowu nikt się w nim nie obawiał przyznać do zamożności, kupować, sprzedawać, zdobić. Znowu kobiety się stroiły i więcej było na ulicach śmiechu niż krzyku, a po domach śpiewu niż szeptania.

A teraz miał powrócić czas grozy, czas wrzasku lub martwej ciszy. Gdyby Kera miała choć odrobinę wyobraźni, prawdopodobnie uciekłyby przed tą myślą w świat pragnień i marzeń. Powiedziałyby sobie: „To niemożliwe, to się nie stanie” – i w tej nadziei albo nie przedsięwzięłyby niczego, albo zwlekałyby tak długo, że już potem nie byłoby czasu nic przedsięwziąć. Ale ona była tylko gospodynią, a fakt, że jej gospodarstwo miało rozmiary całej krainy, niczego tu nie zmieniał. I była matką, która chroni przede wszystkim życie. I już się wtedy na cenę nie ogląda. Wojna to wojna, konieczność to konieczność – a co nieuniknione, to trzeba zrobić jak najszybciej.

Gordo byłby postanowił obronę, choćby i beznadziejną, choćby i przeciw stokrotnej przemocy, i byłby zginął razem z całym ludem. Kerze to nawet nie przyszło do głowy. Dla niej istniało tylko jedno wyjście: ewakuacja całej ludności z Równin w Góry. Widać kraina dzieciństwa kojarzyła jej się nieuchronnie z poczuciem bezpieczeństwa; przy tym Kera wiedziała doskonale, że kraj za rzeką Czun może cały ten lud bez trudu zmieścić, a przy dużym wysiłku – jako tako i wyżywić. W razie konieczności można też pomału zasiedlać brzegi Puszczy Nieprzebrodzonej; lepszy już los osadnika niż oddanie gardła pod nóż!

Natychmiast po wysłuchaniu meldunku dowódcy floty – to znaczy godzinę temu – królowa wydała rozkaz. Właśnie w mieście zagrzmiały rogi: Kera widziała z tarasu, jak lud gromadzi się na placach wokół obwoływaczy. W parę chwil później ze strony portu doleciał gwar wzmożony: to na rozkaz Dźauriego brano do niewoli wszystkich feineńskich żeglarzy i kupców. Zaraz zapłoną ich statki... A z bramy pałacu już się wysuwa lektyka Balit w otoczeniu oddziału straży. Balit była już w ciąży i ją pierwszą należało odesłać do Daggesz. Jednak, zabezpieczywszy w ten sposób ciągłość dynastii, Kera nie pomyślała nawet o jakimś czułym pożegnaniu z córką. Nie dała na nie czasu nawet i zięciowi: wezwała go na taras pylonu na poufną naradę.

Teraz, patrząc na miasto, westchnęła – raz jeden – nad latami zmarnowanych trudów, po czym odwróciła się od balustrady. Dźauri siedział na kamiennej ławie w cieniu rozbitego na tarasie namiotu, bo w Dżug-byr latem wiatr południowy naprawdę potrafił palić. Ten namiot był jak władztwo Kery: atłasowy i niegdyś świetny, potem zrudziały i podarty, ale ostatnio starannie załatany, mógłby jeszcze długo służyć. Dookoła, na ławie, na stole i na posadzce leżały całe zwoje lub luźne szmaty poznaczonego drobno jedwabiu. Dźauri gromadził je, skąd tylko mógł, od samej chwili powrotu i narzekał zawsze, że ich ma za mało. Spojrzał teraz na świekrę znad takiej szmatki i mruknął:

– Ot, bieda: przydałby się stary Czuszir! Ten wszystko to na pamięć wiedział.

Kera rzekła:

– Już grają. Wyznaczyłam nadzorców ruchu na drogach i posłałam do Daggesz nadzorców osiedlenia. Daj mi dwa miesiące czasu, a przeniosę cały lud.

– Ten pierwszy miesiąc da wam pewnie sam nieprzyjaciel – odpowiedział. – Nad tym drugim będę się teraz. Tu mam, znalazłem: „Traktat z naocznej eksperencji pisany o sztuce wojennej Tmutów” – odczytał tytuł z dumą i zamyślił się znowu.

Kera czuła nie mniejszą dumę z tego, że ten uczony i energiczny młodzieniec jest jej zięciem. Jakże! Przecież umyśliła to sama i przeprowadziła wbrew wszelkim dworskim intrygom: a teraz dzięki komu to wykryto na czas plan napaści? Kto, samą swoją obecnością, tak wzmógł autorytet władzy królewskiej, że przypuszczalnie większość ludu bez szemrania pociągnie na wezwanie w góry i ocali życie? Kto podjął się tak długo zabezpieczać tyły, aż ostatnia gromada Dżugidów przeprawi się przez rzekę Czun?

– A Feinu, synku? – spytała. – O ich sztuce wojennej też znalazłeś takie znaki?

– Feinu nie mają żadnej sztuki poza żeglarską – odrzekł Dźauri. – Ale dobry wódz będzie wiedział, jak ich użyć, zwłaszcza że pcha ich zemsta. Mogą być straszni... Tmutowie walczą falangą, której rozerwać nie sposób: ciężka jest i powolna, ale jak zamek niezdobyta. Wszakże aby się mogła rozwinąć, potrzebuje równej i pustej przestrzeni. Więc w walnej bitwie oni to próbowaliby nas skruszyć; ale na podjazdy, na boki, w wąskie przejścia i tam wszędzie, gdzie trzeba dobić, co pozostało po falandze, tam pošlą Feinu. A gdzie potrzeba uderzyć nagle, szybko a potężnie, jak dzidą, tam najlepsi są Szentu, i każdy wódz się stara mieć ich choć parę oddziałów najemników.

– Dziw, ile to mądrości – rzekła Kera. – Całkiem to jak przy orce, gdzie musisz miarkować ucisk radła do gleby i do nachylenia pola, i do siły wołów...

– To, matko, cała sztuka! Wieleż to lat uczył mnie mój wychowawca, jak się formuje oddziały, który szyk do czego służy, jak się buduje linie obronne w górach, a jak na równinach; jak się umacnia rzeki, a jak miasta... Ot, tutaj, patrzcie, już sobie wyrysowałem: pierwsza linia obrony pójdzie skosem od morza na południowy wschód,

tędy... bo tu się da wykorzystać fortyfikacje Dżug-byru, a tutaj bagna bronią, a zaraz dalej jar rzeki Wagmak może ich wstrzymać choćby i na tydzień. Póki będzie ruch na Drodze Królewskiej, musimy jej bronić. Potem już trzeba będzie skracać front, to wycofamy się ot tak, ku Kerak-Gał...

– Ja kresy południowe najpierw ruszę – rzekła Kera. – Bo oni mogą wkroczyć także i od pustyni. Gońcy już poleciecieli, za trzy dni najdalej wyjdą pierwsze gromady.

– Dobrze. A niech za sobą palą wszystko, czego się zabrać nie da. Zostawimy im ziemię i niebo, więcej nic. A i to z trudem dostaną!

– Synku – powiedziała Kera z większą szczerością niż delikatnością – lepiej ci teraz obmyślać obronę tej ziemi, niż było myśleć, jak ją napaść!

Dżauri zmarszczył się: to wspomnienie ciążyło mu rzeczywiście. Wszystko nie tak się obróciło, jak miało i jak według rozsądnego spodziewania mogło. Stało się lepiej i gorzej zarazem, bo oto odzyskał swoje dziedzictwo bez okrwawienia go w walce, ale teraz traci je znowu, i to już bezpowrotnie. Kraj przynajmniej, choć lud może uda mu się uratować. A może i to nie. Także i to możliwe, że on sam w tej potrzebie padnie. Czuszir, gdyby tu był, nie tak by go pouczał. Nie pozwoliłby młodemu królowi prowadzić walki osobiście: raczej z daleka nią kierować. Kera inaczej: u górali wciąż jeszcze władcy szli do bitwy na czele ludu, co może i nie było najmądrzejsze. Ale Dżauri ma za sobą te kilka lat spędzonych na pozornym władztwie na Wyspie Niczyjej: lata samotności, rosnącej rozpacz i niebezpieczeństwa. Był tam władcą, ale jego lud był mu daleki i obcy: i stawał się powoli, wśród niezrozumiałych intryg, coraz dalszy i coraz bardziej obcy. Czuszir, który go tam wyprawił, śmiercią z honorem przypieczętował tę pomyłkę; wiele jego nauk z nim tam zostało i z równym honorem umarło. Nie, teraz Dżauri gotów już zapłacić każdą cenę za bliskość swojego ludu. I rumieni się na samą myśl o tym, że na dzisiejszych towarzyszy broni zamierzał kiedyś prowadzić najemne oddziały obcych.

Otarł pot z czoła – naprawdę, wiatr palił bezlitośnie – i zaczął wspólnie ze świekrą planować dalsze kolejne linie obrony. A kiedy było już ustalone wszystko aż do ostatniego na wschodzie przyczółka nad rzeką Czun – i dopiero wtedy – Kera rzekła:

– No to jeszcze zostało nam najważniejsze: musimy sobie zapewnić pomoc Nieśmiertelnych.

– Nieśmiertelnych? – powtórzył Dżauri. – Czuszir uczył mnie, owszem, o świętej Mnogości. Ale powiadał także, że kierowanie do niej próśb nie ma sensu, bo Mnogość jest jak ognisko, w którym iskry się sypią to w tę, to w tamtą stronę, i raz zwycięża w niej to, raz znowu co innego: a wpłynąć na to nie można.

– Tak powiadali tu u was, w dolinach – odrzekła Kera – i Gordo także szedł za tym, bo moda była przyjmować dólskie obyczaje. Zresztą i w Górach tak mówili niektórzy kapłani. Inni jednak znali wielu Nieśmiertelnych i modliliśmy się do nich z dobrym skutkiem. Ja tam zawsze miałam największe nabożeństwo do Pana Hallora. Teraz też dobrze byłoby go wezwać.

– Jeżeli to ten sam, o którym mówił mi na Wyspie Derszen... ów, wiecie, młody bard, co mnie ocalił, to wnoszę, że jest to jakiś patron ich, bardów: chociaż Adun nigdy go nie wzywa.

Kera parsknęła gniewnie:

– Ot, czego tu u was uczą, albo i tam gdzieś za morzami! Pan Wielki Wiatr Południowy patronem samych tylko bardów, rzeczywiście! Pewno, że krwi on oglądać nie lubi, ale tym

bardziej nie będzie trzymał z tą zamorską zgrają rzeźników. Trzeba koniecznie wezwać jego opieki!

– Tobym musiał najpierw uwolnić tych żeglarzy, których skazałem na męki – rzekł Dżauri dość niechętnie.

Kera praktyczna nawet w stosunkach z Nieśmiertelnymi, odpowiedziała natychmiast:

– A pewnie. Ty, synku, jak to młody, wiele marnujesz. A tu każda para rąk może się przydać. Statki kazałeś popalić, dobrze: nie mamy do nich żeglarzy. Ale pajęczonogich wszystkich pošlij nie na męki, a do sypania wałów. Większy z tego pożytek... Ot, patrz: już się zaczęło.

Nad portem rosła chmura ciemnego dymu: wiatr wydłużał ją w oczach ku północy. Nagły silniejszy powiew targnął też skrzydłem namiotu: oderwało się kilka taśm, płachta załopotiała jak chorągiew.

– Pan Wielki sam nas pcha i goni w Góry – rzekła Kera. – Oj, nie wrócimy tu już, nie wrócimy: jego rozkazy nie są dziś tak, a jutro inaczej. Jego rozkazy trwają!

– Pójdę wydać dowódcom polecenia – powiedział Dżauri.

Ale zanim zszedł na dół, stanął po raz ostatni przy balustradzie, skąd było widać całe jego rodzinne miasto. Tutaj od tyłu pokoleń władali i umierali przodkowie jego ojca; tutaj zapragnął władać i umrzeć jego groźny dziad ze strony matki. Tutaj on sam chciał wkroczyć z mocą, a potem wjechał, upokorzony, ale szczęśliwy, przy boki Balit. Tutaj zamierzał sam także władać i umrzeć. A teraz jakby jeden podmuch wiatru rozwiał to wszystko: miasto, królestwo, marzenia... Nawet marzenia. Bo oto oczy ostatniego króla z dynastii Tanmuka Wielkiego nie patrzą już na miasto, ale ku odległym Góróm, ponoć pradawnej ojczyźnie jego ludu. Nigdy tam nie był, widział je tylko z daleka. Czyżby to do nich wzywała go ta tęsknota, którą Adun nazywał śladem Wyspy na jego sercu?



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY GODZINA TMUTÓW

Nikt nie wiedział, jak to się właściwie stało: sam Kneh najmniej. Już w połowie lata na Małym Archipelagu czuł, że tej zwłoki nie wytrzyma dłużej, że chyba oszaleje, jeżeli najdalej jutro albo i dzisiaj jeszcze, nie postawi na nogi całej floty i nie da jej rozkazu: „Na Dzugne!”. Tymczasem wyspiarze bronili się zaciekle i każdą wyspę archipelagu trzeba było zdobywać osobno mozolnym oblężeniem. Kneh nie spodziewał się tutaj aż takiego oporu. A nie mógł Archipelagu ominąć: odciąłby sobie linię komunikacyjną z własnym krajem.

Więc zdobywał po kolei, zaczynając od północy: górzystą Sawandę i małą, płaską Tebennu, dalej trzy wysepki zwane Tero, co po sentyjsku znaczy „Myszy”, potem ludne, wesołe Oready. Ambarame syn Fianarany, sentyjski król Mandagoriwy, zaniepokoił się wielce tą akcją i przysłał ostrą notę: wprawdzie Mały Archipelag nie podlegał mu oficjalnie, ale od upadku imperium Tanmuka sentyjskie wpływy były tam niewątpliwie najsilniejsze. Kneh się notą nie przejął, bo Ambarame miał jednocześnie – jak to on – zatarg z księciem Hremy na północnym zachodzie i z pustynnymi szejkami na południu, więc na trzecią wojnę naraz już go na pewno nie było stać. Toteż Tmutowie zdobywali dalej Oready bez przeszkód większych niż te, które stawiali im sami tubylcy. Ale i tego niestety wystarczało, by wydatnie opóźnić dalszą wyprawę.

Tymczasem od dnia letniego Przesilenia król Kneh dosłownie szalał z niecierpliwości. Coś ciągnęło go w dalszą drogę z rosnącą siłą. Jakby ktoś włożył mu dłoń prosto w ciało i szarpał go za serce; jakby niewidzialne ostrogi wpijały mu się już nie w boki, ale w same wnętrzości.

Po kilku tygodniach tej męki dał za wygraną. Miał już prawie dwie trzecie archipelagu w garści, dobrze obsadzone garnizonami i pewne: czyż to nie dosyć? Do pozostałych wysp wysłał czym prędzej pokojowe propozycje: niech tylko uznają jego władzę zwierzchnią

i zgodzą się płacić roczną daninę, a niczego więcej od nich nie zażąda. Potem przez tydzień czekał i czekał na odpowiedź, która wciąż nie przychodziła. Wyspiarze, radzi z tej zwłoki, nie śpieszyli się przerwać zawieszenia broni; posłali na Wielki Łąd po zaciężne posiłki, a kiedy wreszcie uznali, że już dłużej nie mogą przeciągać milczenia, zaczęli odpowiadać jedni tak, inni inaczej, stwarzając dyplomatyczny zamęt, w którym tylko ktoś bardzo spokojny mógłby się może zorientować. Kneh próbował usilnie przez następny tydzień, wreszcie zrezygnował i z tego. Pozostawiając jedną trzecią floty, by strzegła dotychczasowych zdobyczy i w miarę możliwości rozszerzała je powoli, całą resztę rzucił na wschód.

Jak to się stało, jak to się mogło stać, przez długi czas nie tylko nie rozumiał, ale nawet i nie pytał. Wezwanie było coraz silniejsze: szedł na wezwanie. Czyje? Ano gwiazd zapewne, które wyznaczyły Godzinę Tmutów. Daleka wyspa na wschodzie, odwieczna strażnica czuwająca nad rozpoznaniem tej Godziny, była z tym wszystkim niewątpliwie związana bardzo silnie, toteż i nic dziwnego, że im dalej, tym wyraźniej Kneh czuł, że dąży przede wszystkim do niej. Tam to widział już w snach swój tron tak wyniesiony nad ziemię, jak nad nią górują gwiazdy. Tam to widzieli miraż swej niebotycznej potęgi i chwały wszyscy Tmutowie we flocie – od admirałów do najmłodszych jungów. Nigdy armada wodnych dysków nie pędziła z taką szybkością. Wprawdzie wiatr mieli najczęściej przeciwny, ale wiatr niezbyt jest ważny dla floty Tmutów: niósł ją sprzyjający prąd morski, w który weszli jeszcze na archipelagu, a przede wszystkim wysiłek rozentuzjasmowanych marynarzy.

I tylko Mdan, którą w dniu wyjazdu z Lhed niewytłumaczalny kaprys ojca rozłączył z Tagunem – posłanym w dodatku na los równie straszny co niezrozumiały – tylko Mdan, ona jedna w całej tej zdobywczej flocie nie podlegała temu wezwaniu. Rozważając bezustannie zasłyszane od chłopca opowieści i pieśni, umacniała się z każdym dniem w przekonaniu, że jakiegokolwiek ojciec miałby plany tak co do Wyspy, jak i co do niej samej, ona jedzie tam w rzeczywistości po to, aby podjąć samotnie to, czego już niestety nie mogą podjąć z Tagunem we dwoje: Oczekiwanie. Ojciec bełkotał coś, coraz niezrozumiale, o wezwaniu gwiazd i Godzinie Tmutów. Dla niej zew Wyspy brzmiał zupełnie inaczej: nie obiecywał potęgi i sławy, ale służbę ciężką, trudną i samotną. Uśmiechała się do tej myśli: nadawała ona sens życiu. I uśmiechała się do swoich rozgorączkowanych ziomków: tylu już takich zdobywców oglądała Wyspa, tylu ich jeszcze zobaczy... Szkoda tylko było, że długowieczny lud Tmutów, zamiast patrzeć na sprawę z międzygwiazdnej perspektywy historii, oszalał nagle.

Im bliżej byli, tym Kneh poganiał bardziej. W końcu jego flagowy dysk, wbrew wszelkim prawom rozsądku i taktyki morskiej, wyprzedzał o trzy mile całą resztę floty. Toteż i dobił pierwszy do białych skał, które wytrysnęły z morza przed nimi, jakby jakaś potężna ręka nagle rzuciła je z dna na powierzchnię. Król nie pytał, gdzie jest, nie badał miejsca i przystani. Ledwo dysk zatrzymano, pchnął do szalup czekający już od wczoraj pod bronią oddział desantowy i sam stanął na jego czele. Szedł na wezwanie.

W parę chwil później falanga Tmutów już formowała się na piaszczystym brzegu. Gdyby Kneh miał czas patrzeć, gdzie jest i co widzi, opowiadałby potem, że tuż za plażą zobaczył szerokie kamienne schody, a po wdarciu się na nie – duży, również białymi kamieniami wykładany plac. Dookoła placu ciągnął się wysoki mur, najeżony na szczycie kolcami i najwyraźniej czyniący z niego coś w rodzaju więzienia na świeżym powietrzu.

Tu i ówdzie wałały się na ziemi jakieś szmaty, jakieś żelastwa, zdeptane resztki starych ognisk – łatwo czytelne ślady długiego pobytu istot myślących, które jednak musiały tu koczować w warunkach niesłychanie prymitywnych. Obecnie plac był pusty; zza jego muru, który zupełnie zasłaniał widnokrąg, widać było tylko kilka dymów, jakby dalekich pożarów, a gdzieś z pobliza dochodził wrzask zaciętej bitwy.

Kneh nie czekał ani chwili: popędził przez plac, wzywając swój oddział za sobą. Wypadli przez połamaną bramę. Był za nią szeroki, białokamienny gościniec, od którego o jakieś sto kroków dalej odchodziła w lewo boczna droga. Niewielki lasek zasłaniał jej koniec i zza niego to właśnie dochodził ów krzyk bitewny. Kneh i za bramą nie zatrzymał się, nawet się nie rozejrzył: popędził bez wahania w lewo. Szedł na wezwanie gwiazd po moc i chwałę!

I już byli za laskiem, i wreszcie zobaczyli, w co się wdają. Do skał nadbrzeżnych, chroniona przez nie od zachodnich wichrów, przylegała tam mała osada: nie więcej niż kilkanaście kamiennych domków. Lud niegdyś zwał ją Ingadu, Osadą Szczęśliwą, stąd bowiem rozchodził się po każdym Przejściu, pożegnawszy Ora na Placu Zachodnim. Zamieszkiwali ją też tradycyjnie sami tylko Szczęśliwi. Przez ostatnie lata jednak nazwa ta brzmiała coraz wyraźniej jak drwina, w tej chwili zaś Osada Szczęśliwa była widownią bezlitosnej rzezi. Jakiś duży oddział szturmował ją zwycięsko; wdarł się właśnie do środka i po zalanych krwią uliczkach, pośród kamiennych murków otaczających ogrody, parł ostro naprzód, zostawiając za sobą zdeptane ciała zarówno własnych żołnierzy, jak i pobitych obrońców. Kneh nie czekał, nie pytał; sam wiedział, po co go wezwano. Rzucił się z całą swoją falangą na tyły zwycięskiego oddziału.

Teraz już bitwa trwała krótko. Nie upłynęło ani pół godziny, a spotkali się nad trupami ostatnich napastników. Gdyby Kneh miał czas myśleć, gdzie jest i co widzi, opowiadałby potem, że po skończonej potyczce stanął przed grupą Megnitów z Wyspy, którym tak bardzo na czas przyszedł z odsieczą, przeciw innym Megnitom z Wyspy zresztą. Uratowanych było może z pięćdziesiąt osób; przeważali wśród nich mężczyźni, ale było i kilkanaście kobiet. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, mieli w rękach zakrwawioną broń. Wszyscy stanęli milcząc i patrzyli na niego, a on poczuł grozę, jakby nagle stanął przed armią gwiazd. A potem nagle zobaczył, że tworzą szpaler, jakby aleję wysokich drzew, a on toczył się tą aleją coraz dalej – po tę swoją moc i chwałę oczywiście, bo po cóż by innego? Na końcu alei młoda kobieta megnijska ocierała swój miecz kępą trawy, a tuż obok stał mężczyzna: on jeden bez broni. Przed tym mężczyzną król Kneh przypadł do ziemi i zawołał:

– O-mo tu gan! Słoneczna postaci, jestem twoim sługą!

I tyle było mocy i chwały, i wielkiego imperium Tmutów. Jak to się stało, jak to się mogło stać, Kneh zaczął pytać dopiero parę lat później, ale wtedy było już o wiele za późno, żeby móc klęsce zaradzić jakkolwiek. Pozostało tylko kląć, a i to po cichu. Godzina Tmutów okazała się wielkim oszustwem gwiazd.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

PANI POŁOWY ŚWIATA

Jego Dostojność Tegatuga syn Mumu, niegdyś główny fingajski agent Ungany na Wyspie, obecnie zaś z łaski Imperatora Starszy ludu Fehine, był pierwszym spośród dostojników Dworu, którego dopuszczono przed oblicze Pani po szczęśliwym jej rozwiązaniu. Dwór przebywał podówczas wciąż jeszcze w Dydli; była to niegdyś mała wioska w kotlinie położonej nieco na północ od Dżug-byru, odznaczającej się dobrą wodą i łagodnym klimatem. Za czasów Tanmuka w tej okolicy mieszkali letnie rezydencje stołeczni bogacze; za czasów Kery ich wille leżały już w gruzach, a ogrody zorano na pola. Teraz nie było śladu ani po willach, ani po wiosce, a całą dolinę napełniały olbrzymie, do gmachów podobne namioty tymczasowej rezydencji Imperatora. Sam Tegatuga założył swoją kwaterę na ruinach Dżug-byru i stamtąd zarządzał rozdzielaniem ziemi. Tej wiosny dotarła do odzyskanej ojczyzny pozbierana z całego świata druga fala osadników, którzy nie przeszli poprzednio przez Mano-Mena-Mujana. Znow setki rodzin z dziećmi i z dobytkiem, z bagażem wielu stuleci krzywd i marzeń, tymczasowego szczęścia i trwałego wyobcowania. Jak ci, którzy od pokoleń nigdzie nie chcieli czuć się we własnym domu, zmieniają się nagle w lud osiadły? Jak ci, co od pokoleń byli żeglarzami, zmieniają się nagle w rolników? Tegatuga może jedyny ze wszystkich Fehine rozumiał, że zwycięstwo było progiem, nie końcem prawdziwych trudności. Od świtu do nocy rozsądzał spory, łagodził waśnie, zachęcał i karał, kogo było trzeba. Co kilka także dni zjawiał się w Dydli, przynosząc Imperatorowi jakąś prośbę albo potrzebę swojego ludu.

A że niełatwo było pogodzić niebosiężne interesy władcy z drobnymi (ale jakże istotnymi) interesami jednego tylko z jego ludów, i to tego w dodatku, z którego władca miał chwilowo najmniejszy pożytek – Tegatuga bardzo liczył na Imperatorową i bardzo zabiegał o jej łaskę. Szybko też zdobył w jej otoczeniu wpływy i pozycję na oko niepodważalną – co mu nie przeszkadzało starać się z niesłabnącą pilnością o dalsze tej

pozycji umocnienie. To nie znaczy, żeby nie zabiegał również o łaski księcia następcy tronu: przeciwnie, póki to było możliwe, wolał nie mieć żadnych wrogów w Najmożniejszej rodzinie. Ale na wypadek konfliktu, a ten był prędzej czy później nieunikniony, postarał się zapewnić sobie miejsce w obozie Pani.

Teraz znowu szedł do niej z darem, i to takim, którego ofiarowanie mógł drogo przypłacić, ale zależało mu właśnie na tym, żeby ona o tym wiedziała. Sam dar szedł także prawdopodobnie na zgubę. Gdy podjeżdżali do Dydli, Tegatuga nie zwalniając jeszcze biegu – sam powoził, mimo wieku jeździł zawsze jak szalony – powiedział do niego półsłowem:

– Przypuszczalnie nie przeżyjesz tygodnia. Ale to dla dobra Fehine.

Dar kiwnął tylko głową. Zgadzał się, co było robić.

Wpadli na ogromny dziedziniec straży, gdzie okrzyknęła ich gwardia szentyjska. Tegatuga zatoczył koło na dziedzińcu i ściągnął lejce w takim momencie, żeby zatrzymać się dokładnie w miejscu, gdzie stał dowódca tego pułku, chudy i ponury Weha, całą duszą oddany księciu Inutu. Tegatuga zeskoczył tak szybko i tak niedbale rzucił lejce w jego stronę, że wszyscy patrzący byli pewni, iż to po prostu pomyłka: stary Feinu nie poznał pułkownika. A pułkownik zagryzł usta, ale lejce schwycił i nawet przez chwilę potrzymał, zanim je oddał jednemu z żołnierzy. Na razie jeszcze byłoby niebezpiecznie unosić się honorem wobec Tegatugi. Ale może przyjdzie taki dzień, że bezczelny Feinu posunie się aż do wjechania konno poza plac gwardii, w ulicę wiodącą prosto do samego namiotu Imperatora – a wtedy...

Jeżdżenie po Dydli zastrzeżone było dla Moźnych; wszyscy inni, choćby i najdostojniejsi, mieli tam prawo tylko pokornie chodzić piechotą. Widywano więc króla Kneha, jak toczył się dziarsko tą ulicą; szedł nią niedawno i Dżauri z Gór, kiedy przybył podpisać pokój i złożyć hołd lenny z całego terytorium leżącego za rzeką Czun. Książęta i dostojnicy, posłowie i generałowie z wszelkich ras istot myślących chodzili tamtędy gromadami, i tylko samych Moźnych widywało się rzadko. Podobno nie było ich wielu: wszystkiego może kilkadziesiąt rodzin. Podobno pokłócili się kiedyś i wzajemnie się wymordowali na wyspie, z której pochodzą, aż została ich tylko ta garstka. Tych plotek zresztą bezpieczniej nie powtarzać; dość wiedzieć – jak się już tego uczą i małe dzieci – że następnie zawładnęli armią i flotą Tmutów, a zaraz potem połową świata. (Po prawdzie to do tej połowy coś niecoś jeszcze chyba brakuje, ale już wkrótce ten brak się uzupełni). Taką mocą napełnił ich bowiem Pan Wielki Wiatr Północny, któremu cześć oddają.

Tegatuga szedł więc pieszo – a jego dar za nim – dobrą milę, bo namiot Imperatorowej stał w pewnej odległości za namiotem samego Imperatora. Otoczony był sztucznym ogrodem z krzewów i małych drzewek rosnących w doniczkach; teraz jednak doniczki pousuwane były na boki, odsłaniając spory dziedziniec tak obstawiony strażą, że i mysz by nie przeszła bez trzykrotnego co najmniej sprawdzenia przepustki. Tegatuga – nawet on! – miał pewne trudności z wprowadzeniem swojego daru, ale ponieważ je przewidział, zaopatrzony był w odpowiednie zezwolenie, podpisane przez samego Szemiego Ulawe, dowódcę gwardii osobistej Pani. Ostatecznie więc stracił tylko trochę czasu, potrzebnego na staranne sprawdzenie autentyczności podpisu, po czym obaj weszli do namiotu.

Tegatuga kazał swojemu towarzyszowi zostać i czekać w pierwszej komorze, sam zaś przeszedł do drugiej i czekającym tam paziom kazał oznajmić się Pani. Kiedy wezwanie przyszło, szedł dalej. W trzeciej komnacie znowu były strażę, w czwartej kilkanaście

mamek megnijskich karmiło i przewijało wrzeszczące niemowlęta. Żadne z nich nie było owinięte w złotogłów, ale Tegatuga był prawie pewien, że syn Imperatorowej ukryty jest między nimi – dla niepoznaki. Piąta i szósta komnata były zupełnie puste. Tegatuga ukląkł na progu siódmej i rozsunął zasłonę.

Nulani była sama, jeśli nie liczyć wiszącej tuż przy jej głowie kołyski. Blask jej oczu mógł być odbiciem ciepłej poświaty płynącej z naczyń pełnych żaru, ale mógł także być skutkiem gorączki albo podniecenia. W pojęciu Megnitów zapewne dodawałby jej urody; stary Feinu jednakże, niezdolny dopatrzeć się jakiegokolwiek piękna w oczach mrużonych poziomo, nie zaś pionowo, widział jedynie kobietę zżeraną prawdopodobnie przez troskę. I zgadywał bez trudu przedmiot tej troski.

Zaproszony, wsunął się do wnętrza i po odbyciu wszystkich należnych czołobitności (trochę nowobogacki był ten Dwór ze swoim nienaruszalnym ceremoniałem) znalazł się w końcu tam, gdzie ze względu na spodziewaną poufność rozmowy znaleźć się musiał: usadowiony na podłodze tuż obok kołyski i wezglowia Pani. Jak było do przewidzenia, zaczęła rozmowę od rzeczy, które oczywiście obchodziły ją najmniej.

– Jak tam twój lud, Tegatugo? Nie cierpią głodu?

– Słudzy twoi są dobrze zaopatrzeni. Nasze bazy nie wyczerpały się jeszcze, a i Dżugidowie musieli co nieco ustąpić ze swego rabunku. Właśnie tydzień temu przysłali zboże...

Mówił po fingajsku; do Moźnych mówiło się zawsze w swoim własnym języku, rozumieli każdy, i ich odpowiedź rozumiało się także. Z braku czasu Tegatuga zrezygnował już z zastanawiania się, po jakiemu właściwie oni myślą. Może po żadnym, a może we wszystkich naraz językach świata; najmniej prawdopodobne było, że we własnym. Może go już nawet zapomnieli?

– Wezwałam cię... – przerwała mu nagle i umilkła znowu. Tegatuga schylił się w głębokim ukłonie przed kołyską, jakby kończąc niedopowiedzianą myśl: że celem jego wizyty jest oddanie pierwszego hołdu nowo narodzonemu księciu. Przy okazji zajrzał przelotem do kołyski, która wisiała bardzo nisko. Dziecko spało spokojnie... Dzieci są jedno do drugiego podobne jak dwie krople wody, zwłaszcza tak małe, zwłaszcza obcej rasy.

– Łaska pana połowy świata jestz jego synem – ośmielił się szepnąć Tegatuga, a nie widząc żadnego znaku niezadowolenia ze strony Pani, ciągnął: – Kto tak dobrze jak ja zna osobę Najmoźniejszego, potrafi sobie wyobrazić jego radość z przyjścia na świat księcia Agwena.

Po czym pokłonił się raz jeszcze, ale tak, żeby zahaczyć niby to niechcący głową o kołyskę. Mimo sporego wstrząsu Imperatorowa nie zwróciła na to żadnej uwagi, dziecko zaś nadal spokojnie spało. Musiało dostać coś na sen, i to mocnego, żeby nie wrzeszczeć u boku Pani. A więc miał rację: prawdziwy księżę Agwen znajdował się gdzie indziej.

– Tak, tak... – powiedziała Nulani i wreszcie wybuchła: – Co robić? Radź, Tegatugo, co robić? Nawet łaska mojego męża nie zabezpiecza... – urwała i obejrzała się, jakby myślała, że księżę Inutu z nożem w garści (albo jeszcze lepiej w zębach) już stoi za jej plecami. Tegatuga rzekł uspokajająco:

– Zamach wprost należy raczej wykluczyć. Jest mało prawdopodobne, żeby...

– Prawdopodobne! – ucięła Pani. – Chcesz, żebym ważyła prawdopodobieństwa, kiedy chodzi o życie dziecka!

– Wybacz – skłonił się Fingaj. – Ale czy jedyne radykalne rozwiązanie problemu byłoby naprawdę rozwiązaniem?

– Nie... – szepnęła. – Przynajmniej póki Agwen nie jest dość duży, żeby go zastąpić. Imperator...

Tak, oczywiście, nie mogła przyznać wprost, że Imperator nie kocha jej aż tak bardzo, żeby nie odrzucić w gniewie i jej, i jej dziecka, gdyby z ich winy zginął jego pierworodny syn, jego uznany następca. Chociaż z drugiej strony nie kocha i tego następcy aż tak bardzo, żeby nie mógł przyjąć na jego miejsce innego, gdyby go miał... i gdyby miał teraz jednocześnie. Głośno zaś wysnuli zgodne wnioski:

– Ostateczna rozprawa musi przyjść później.

– Ale teraz dobrze by było odesłać księcia Inutu ze Dworu.

Radzili więc z kolei nad tym. Tej zimy na oceanie dzielącym lądy Stary i Wielki nie było ani jednego sztormu północnego. Żegluga oczywiście ustała, ponieważ nikt nie mógł wiedzieć, czy pierwszy sztorm nie spadnie jutro właśnie. Imperator jednak, wbrew spodziewaniom i zwyczajom wszystkich ludów, wysłał w początku zimy prawie całą flotę Tmutów na zachód. Inwazja uderzyła na niczego się niespodziewającą Mandagoriwę w sam dzień zimowego Przesilenia; zaskoczenie było tak zupełne, atak zaś tak zajadły, że całe państwo Weha podbito w ciągu miesiąca. Opór, jakkolwiek chaotyczny i bezskuteczny, był jednak duży, toteż Ambarame syn Fianary, ostatni król sentyjski, nie mógł już nawet liczyć na pozostawienie go w kraju w roli namiestnika Imperatora. W najbliższym czasie miał być przewieziony do Dydli w kajdankach; jego syn Tsaunarana, dowódca oporu, został już ścięty od razu po kapitulacji, a rządy w Mandagoriwie objął z ramienia Imperatora były bard, z obecnie wicekról, Tsamonume.

O tym wszystkim Nulani wiedziała dawno i nie bardzo rozumiała, dlaczego stary Fingaj powtarza jej znów te wieści, jak gdyby miały jakiś związek z jej dążeniem do usunięcia Inutu z drogi małego Agwena. Oczywiście Tegatuga nie ośmieli się pouczać jej wprost, wnioski pozostawi jej samej do wysnucia; raz jeszcze kładzie nacisk na zdumiewającą zgodność pogody w tym roku z planami Imperatora, po czym bez widocznego związku zaczyna chwalić jego przyszłą stolicę:

– Wierz mi, Pani, zjeździłem w życiu spory kawał świata, ale nigdzie nie widziałem budowli tak wspaniałej, na jaką zapowiada się pałac Najmożliwszego naszego pana. Fundamenty są jak jeziora, a wieże będą jak górskie szczyty. Na razie jednak gotowa jest tylko wieża centralna, która stoi w miejscu dawnego zameczku na Górze. No i lochy pod nią, oczywiście. Kiedy Imperator był tam niedawno, wieża była już wykończona. Raczył wejść do niej i przebywać tam przez kilka godzin, zupełnie sam. Po wyjściu zamknął wieżę i ogłosił, że nikomu nie wolno tam wchodzić. Strach padł na wszystkich i rzeczywiście nikt by się nie ośmielił... Do lochów jednak wchodzi straż. Tam jest podobno uwięziony bard Derszen, o którego tak niedyplomatycznie upominał się król Dżauri. Może i inni jeszcze... Jeżeli ci, co siedzą w lochach, czują bezustannie to samo, co czują wszyscy zbliżający się do Wieży, to nie zazdroszczę... Straże zmieniają się tam co godzina, bo nawet ci sentyjscy gburowie nie potrafiliby wytrzymać dłużej. Przeprowadziłem ci mojego rodaka, którego oczywiście tym samym składam ci w darze, a który właśnie wraca stamtąd i umiałby niejedno opowiedzieć.

– Wy, Fehine, zawsze wszystko wiecie – uśmiechnęła się łaskawie Pani. Tegatuga skłonił się. Stało się: rzucił na hazard wszystko, co miał. By udowodnić swe bezgraniczne

oddanie, zdradził jej istnienie swego wywiadu, śledzącego nawet Imperatora, i to nawet to, co było najgłębszą tajemnicą Imperatora: jego osobiste kontakty z Otchłanią Północy. Spędziwszy całe życie na grach dyplomatycznych, Tegatuga był dobrze świadom, że żadna rada ani pomoc nie jest tyle warta, co wiadomości – wszelkie, nawet pozornie obojętne. I tym jej służył. Może w końcu wyjedna zwolnienie feineńskiej młodzieży – choćby częściowe – od służby żeglarskiej? Przynajmniej trzy pokolenia powinny być od niej wolne, jeżeli pajęczonogi lud ma się naprawdę związać ze swą odzyskaną ziemią. Imperator na razie nie chce o tym słyszeć: pozostaje droga przez Panią. Toteż stary Fingaj ryzykuje głowę, której nic by nie zdołało ocalić, gdyby Ungana dowiedział się o wywiadzie i o tym, co ten wywiad już zdążył donieść Starszemu ludu Fehine. I widzi z pewną ulgą, że Nulani rozumie to wszystko.

– Przeprowadź ten swój podarek.

Przyprowadził, przedstawił:

– ...Imię jego będzie takie, jakie nada mu twoja wielmożność; dotychczas jednak nazywał się Memuke syn Keoheki.

– Słyszałam już kiedyś to imię... – powiedziała powoli Pani. – Mów, synu Keoheki, to wszystko, co chcesz mi powiedzieć.

Chcieć, to on nie chciał ani trochę; najchętniej by oniemiał i jeszcze zachorował na wodną puchlinę, żeby zmienić wygląd do niepoznaki. Przeklinał w myśli dzień i godzinę, w której znalazł się przed czterema laty na Wyspie Mgieł, akurat w porę, by się podjąć załatwienia pewnej drobnej sprawy księcia Ungany w Lhed. Potem ta sprawa rosła jak wąż morski, a on już nie mógł wydostać się z jej splotów. Więc nie „chciał”, tylko musiał, i to by bardzo chętnie na wstępie zaznaczył dla ścisłości, ale nie wypadało. Zaczął:

– Ja jestem, wasza wielmożność, a raczej byłem – poprawił się szybko – kupcem. Dobrym kupcem, solidnym i szanowanym. Wiadomo było we wszystkich portach, że co Memuke załatwi, to gra... chciałem rzec, to już na pewno dobrze załatwione. Więc cztery lata temu, właściwie cztery i pół roku, bo to było jesienią, zawiąłem ze swoim towarem do Durri, a tam się okazało, że Pan nasz najmożniejszy, podówczas jednak zwany jeszcze tylko księciem Unganą, chce posłać królowi Knehowi do Lhed niewolnika. I chce to zrobić w sposób możliwie dyskretny. Czyli że jest jakaś umowa między nimi, i to coś znaczy. A jednocześnie Dżauri zwany podówczas Tanu ma o tym myśleć co innego, a najmożniejszy książę Inutu oraz ród Imanu jeszcze co innego. Więc dostojny Tegatuga wyznaczył do tej sprawy mnie, ponieważ byłem znany z tego, że załatwiam takie rzeczy roztropnie i dyskretnie. Wiozłem więc tego chłopca, imieniem Tagun, swoim statkiem. A był to chłopiec dziwnie roztropny i utalentowany, tak, bardzo utalentowany...

Tu Memuke skłonił się Imperatorowej i westchnął, łącząc pochlebstwo z utyskiwaniem.

– ...I właśnie te jego talenty niemało mi przysporzyły kłopotu, bo chcieli mi go odebrać bardowie, szczególnie niejaki Nuno Lagmi. Com się napracowałem, namordowałem, nacierpiałem...

– Wydaje mi się – powiedziała Imperatorowa chłodno – że dla mojego brata byłoby lepiej, gdybyś wtedy mniej cierpiał i mniej gorliwie go strzegł.

Memuke spostrzegł, że się pomylił: że na litość, uznanie, nagrodę tą metodą tutaj nie zarobi. Nad głową Imperatorowej wisiał jedwabny sznur od dzwonka, przewiązany dla wygody w pętlę: dziwnie to było do stryczka podobne. I gdyby choć tylko stryczek! Memuke wstrząsnął się cały i wielkim wysiłkiem (bo było to wbrew tyloletnim przyzwyczajeniom) przeszedł na inny styl mowy.

– Brat waszej wielmożności – rzekł cicho – według doniesień niesprawdzonych, ale pochodzących z dobrego źródła, dostał w Adongo do wyboru: jechać dalej ze mną, czy pozostać wśród bardów. I zdecydował się sam z własnej woli jechać ze mną. Tyle mam na swoją obronę, a teraz sprawy ciąg dalszy. Po przybyciu wiosną do Lhed zameldowałem się osobiście u króla Kneha i zgodnie z poleceniem najmożniejszego Pana naszego przekazałem mu Taguna, biorąc za niego (dla upozorowania zwykłej sprzedaży) stosowną zapłatę. Zdawało mi się, że na tym już koniec, i wyruszyłem w następną podróż kupiecką, znowu przez Adongo na Mały Archipelag. Tam mnie latem dosięgli trzej kolejno gońcy od ówczesnego Starszego mojego ludu z poleceniem, abym wracał do Lhed i tam, działając pilnie a dyskretnie, z oczu nie spuszczał owego sprzedanego chłopca. Porzuciłem wszystkie interesy i na skrzydłach wiatru pognałem do Lhed. Założyłem kantor wymiany i biuro tłumackie, i przez liczne kontakty, jakie miałem z dworem, starałem się śledzić los Taguna. Osobiście nie widziałem go ani razu, ale miałem wiadomości pewne, że przebywa w pałacu jako sługa księżniczki Mdan. Nie wątpię, że było mu tam dobrze. To trwało mniej więcej dwa lata, bo aż do czasu, kiedy król Kneh wyruszył z całą armadą, by podbić najpierw kraj Dohum na północnym krańcu Wielkiego Łądu, a potem Mały Archipelag, z którego później przypłynął tutaj na wschód. W rozgardiaszu wyprawy dowiedziałem się dopiero z dwudniowym opóźnieniem, że chłopiec Tagun został właśnie wysłany do Galgal-Mubara w towarzystwie niejakiego... Dira Łowcy...

Ostatnie słowa wymówił ledwo słyszalnym szeptem.

– ...a Dir Łowca ma coś wspólnego... no tak, ma bardzo wiele wspólnego... może nawet jest...

Odchrząknął niezgrabnie i z nagłą śmiałością rozpaczy podjął opowiadanie, znowu zwykłym głosem:

– Do Galgal-Mubara nie wpuszczono mnie mimo wszelkich próśb i usiłowań. Więc zaalarmowałem tylko wszystkich naszych kupców w portach, podając im rysopis chłopca i wszystko, co potrzeba do zidentyfikowania go. Mniej więcej po roku, czyli rok temu, przyszła wiadomość z Bukry – to jest główny port w Galgal-Mubara na północy – że go tam widziano. Miałem opis statku i przypuszczalnej jego drogi. Wypłynąłem mu na spotkanie w małej łódce – wasza wielmożność, mogę tylko dodać, że jak gorliwie służyłem swoim ówczesnym władcom, tak teraz będę służył waszej wielmożności – udawałem rozbitka, mało nie zginąłem, ale dostałem się na ten statek. Taguna nie widziałem przez całą drogę, raz tylko udało mi się usłyszeć jego głos. I wiem, że tam był. Płynęliśmy bardzo szybko, nie zawijając po drodze nigdzie, nie zatrzymując się nigdzie: cały czas i żagle, i wiosła razem były w robocie. Mnie także wzięto do wiosła, ale jego tam nie było. Wasza wielmożność, celem wyprawy okazało się Durri. Wyspa! Musiałem – dla zachowania pozorów – udać się natychmiast po przybyciu do moich rodaków, których garstka mieszka jeszcze w Tengii, obsługując porty i spichrze. Ale statku nie spuszczałem z oczu. I wiem, kiedy Taguna z niego zabrano i zaprowadzono do wieży. Wieża nie była jeszcze dociągnięta do połowy, ale lochy już były gotowe. I on tam, wasza wielmożność, jest do dzisiaj. To znaczy, kiedy tydzień temu opuszczałem Tengii na rozkaz dostojnego Tegatugi, mogłem zaręczyć, że tam jest. Moi rodacy, którzy tam pozostali, pilnują tej sprawy dalej.

Teraz jesteśmy już całkiem w jej rękach, pomyślał Tegatuga. I właściwie powinno mnie to cieszyć, bo w ten sposób może wreszcie osiągnę swoje, ale naprawdę to miałbym ochotę

wrzeszczeć ze strachu, jak ten mały tutaj. Ciekawe, co ona z nim zrobi?

Bo dziecko obudziło się właśnie i zaczęło płakać. Pani nie spojrzała nawet w jego stronę, ale pociągnęła za węzeł dzwonka, i niewolnicom, które wbiegły, kazała dziecko „wynieść i przewinąć”. To znaczy pewnie przynieść następne uspione, bo chyba nie trują tak przez cały dzień jednego tylko?

Zaraz potem odprawiła ich obu, bardzo łaskawie, ale i bardzo stanowczo, i została sama.

Oczekiwała, że Imperator złoży jej wizytę pod wieczór, więc trzeba było do tego czasu opracować plan działania. Informacji otrzymanych tego dnia było tyle, że należało je związać w pęk jak strzały i przechować starannie na potem. Głupi, kto w pierwszej potyczce wypróżnia bez potrzeby cały kołczan. Należy je schować starannie, a użyć tylko jednej, takiej, która na razie wystarczy...

Której?

To wszystko, co dotyczyło Wieży – Nulani wzdrygnęła się: kto lepiej od niej, dawnej Służebnicy Ognia, mógł rozumieć, co to znaczy? Ale właśnie dlatego tym większy był jej strach. To wszystko, co dotyczyło Wieży, należało zapieczętować, pogrzebać jak najgłębiej i przysypać kamieniami. Tym samym pogrzebać nieodwołanie i Taguna, nie próbować nic zrobić dla niego? Ależ jeśli spróbuje, jeśli palcem ruszy, słowo piśnie, może narazić i siebie, i małego Agwena! Przeciw Otchłani Północy nie było kogo wzywać na ratunek... zwłaszcza jeśli się odeszło od Ognia... i lepiej w ogóle nie posyłać w tamtą stronę nawet myśli. Może za rok lub dwa, gdy pałac będzie gotowy i trzeba będzie tam zamieszkać... okropność... nie, nawet wtedy, tym bardziej! Tym bardziej! Jak dobrze, że się o tym wszystkim dowiedziała: może teraz uważać na siebie, żeby się nie narazić takiej potędze. A w rozgrywce przeciw Inutu...

Mówiła tego wieczoru Unganie:

– Mój władca będzie mi dzisiaj wdzięczny i spełni moją prośbę. Był tutaj Tegatuga, jak zwykle kołował wokół tej sprawy ze zwolnieniem Fingajów od twojej służby; ale przy tej okazji wygadał się niechcący, że na własny koszt utrzymuje całą setkę szpiegów na Dworze. Bezczelny! Mam wielkie powody myśleć, że niewolnik, którego mi dziś podarował, ma być także po prostu szpiegiem. Fingaj imieniem Memuke, chyba z Wyspy...

A na to Imperator:

– Tegatuga jest mi na razie nieodzowny: nikt tak jak on nie umie trzymać w ryzach tej hałastry. Trzeba go jakoś nagrodzić za tę robotę, na przykład dam mu przywilej jeżdżenia po Dydli. Ale zwolnienie Fingajów od służby oczywiście nie wchodzi w rachubę: nie po to brałem ich sobie na głowę. Jego wywiad Hwa mi rozpracuje i wygniecie. A jaka jest twoja prośba?

W parę godzin później mówił do syna:

– Weźmiesz szóstą eskadrę fingajską i dwa pułki sentyjskiej gwardii, po drodze także tyle floty Tmutów, ile może już zwolnić Tsamonume. Z tym wszystkim założysz bazę w Dohum, żeby trzymać w szachu tak Megni, jak i całe zachodnie wybrzeże Wielkiego Łądu. Domyślasz się na pewno, że to twoja macocha prosiła, żeby cię wysłać gdzieś daleko: ale nie tylko ona. Mam też w tej sprawie rozkaz z Otchłani Północy, poparty wyjaśnieniem, że jesteś przeznaczony do czegoś ważnego. Domyślam się, ale to tylko mój domysł – że chodzi o zniszczenie siedziby bardów na Megni. Jedź i zwyciężaj.

Inutu patrzył chmurnie. Sprzeciwiać się nie śmiał, chociaż łatwiej mu było uwierzyć w intrygi macochy niż w te gadki o Otchłani Północy, którymi ojciec czasem uzasadniał przed nim – i jedynie przed nim – swoje posunięcia. Ale Inutu był tylko następcą tronu, nie zaś współrządcą ojca: Ungana zniósł ten barbarzyński zwyczaj, uważając, że prawdziwy władca może być tylko jeden. A następca tronu, w dodatku zagrożony w swoich prawach, jest najbezbronnejszym stworzeniem pod słońcem i słuchać musi. Tyle że jak w wielu bezbronnych stworzeniach, pod razami tego posłuszeństwa gniew w nim nabrzmiwa i puchnie.

Ale posłuchał i w miesiąc później był już w drodze.

A Memuke jeszcze tej samej nocy znikł z Dydli i nikt go więcej na Dworze nie widział.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

LAWINA

Z tym przeznaczeniem do czegoś wielkiego to chyba jednak był po prostu taki dyplomatyczny wybieg ojca. Inutu pocieszał się tylko tym, że, o ile pamiętał, żadnym słowem, ani nawet rozluźnieniem mięśni twarzy, nie dał wtedy poznać po sobie, że bierze to za dobrą monetę. Wyprawa nie była klęską, była nawet całkiem udana (zdumiewająco udana, jak na wyprawę prowadzoną przez tak młodego wodza, mówiono, i trzeba było przyjmować to z uśmiechem) – ale do wymarzonego przez Inutu triumfu i podboju było jej bardzo daleko. Codziennie wieczorem klócił się z nieobecnym ojcem:

– Albo nie jesteś taki genialny, jak udajesz, albo jeżeli jesteś, to umyślnie dajesz mi takie zadania, żeby było widać, że nie dorastam!

Ale ojciec nie odpowiadał zza morza, a zwierzać się z tych pretensji nie było komu. Tak jak wszyscy w Imperium ślepo słuchali każdego Moźnego i drżeli przed jego spojrzeniem, tak i sami Moźni (razem z całą resztą oczywiście) drżeli przed Imperatorem. Najwierniejszy nawet sługa Inutu, Weha Chiamgarana, gdyby mu się książę zwierzył ze swoich myśli, prawdopodobnie znalazłby tylko jedno honorowe wyjście z sytuacji: popełniłby samobójstwo. Przez rzucenie się ze skały głową w dół, jak to u Wehów w modzie.

Inutu, zgodnie z poleceniem ojca, założył swoją kwaterę główną w Dohum. Był to mały, ale strategicznie położony kraj na północno-zachodnim cyplu Wielkiego Łądu, a dokładnie biorąc, na zachodnim wybrzeżu tego cypla, między oceanem a górami. Jego porty, zwłaszcza Kamgana, panowały nad cieśniną megnijską. Ludność też była megnijska, chociaż język musiała przejąć od pierwotnych mieszkańców kraju: przypominał raczej sentyjski w którejś z jego prowincjonalnych odmian. Ponieważ przez cieśninę szły wszystkie ważne drogi morskie, Dohum było bogate i zawadiackie; zazdrośnie strzegło swej niezależności i stawiało niedawno zażarty opór najazdowi Tmutów. Kneh, wówczas

jeszcze dla siebie samego budujący imperium, zdławił też ten opór szczególnie srogo i dopiero po całkowitym opanowaniu garnizonów we wszystkich twierdzach i zredukowaniu Dohumitów do roli ludności podbitej i pozbawionej praw, popłynął dalej na wschód.

Inutu zjawił się tam więc trochę jakby wybawiciel. Był abalahé tej samej rasy co tubylcy, miał przy sobie sztab złożony głównie z Wehów i prowadził także kilka pułków Tmutów, ale widać było, że oni pył zmiatają sprzed jego stóp. Zaraz też ogłosił, że po odebraniu przysięgi wierności oczyści kraj z najeźdźców. Więc i składano mu ją z entuzjazmem, a raczej w jego osobie Imperatorowi oczywiście. W miesiąc po przybyciu do Kamgany miał już przez to w rękę i kraj, podległy sobie bez szemrania i jako taki porządkujący się po zniszczeniach, i armię podwojoną o niepotrzebne już odtąd w Dohum pułki. Był koniec lata. I czas było pomyśleć o Larri.

To był okres, w którym Inutu najrzadziej stosunkowo kłócił się z ojcem; syt kamgańskich hołdów, miał się za kogoś, kto – być może – już samym dźwiękiem swojego imienia sprowadza drgawki strachu na odległe ludy. Przynajmniej czytając jego „Proklamację do ludów na Megni” można było mniemać, że tak sądził. Wzywał tam do bezwarunkowego zdania się na jego łaskę i niełaskę, nie próbując nawet uzasadniać tego żądania choćby tylko słabością owych państweczek w porównaniu ze swoim (czy raczej ojca) Imperium. A wysławszy tę proklamację przez trzech heroldów do Tanhidu, Amrany i Chaonu, trzy dni później wypływał już ich śladem z całą flotą. Na odpowiedź nie czekał: zależało mu na triumfalnym marszu przez podbite kraje, a nie na przyjmowaniu od nich posłów w domu.

Flotę podzielił na trzy eskadry. Jedna miała zadanie opanować Adongo na wschodnim krańcu wyspy; druga (dla zabezpieczenia tyłów) powinna była zająć Chaon, najmniejsze i najdalej na zachód położone państweczko na Megni. Sam Inutu z trzecią, najsilniejszą, wylądował pośrodku, w Amranie, licząc na to, że nawet gdyby doznał oporu, będzie mógł wziąć w dwa ognie Tanhidu, a zwłaszcza jego stołeczne Larri. W Amranie zastał jako jedyny skutek swojej proklamacji bramy twierdzy portowej zamknięte i strażę czuwającą na murach. Jak się wkrótce okazało, król Wama gotów był na układy, ale nie na bezwarunkową kapitulację, i zamierzał targować się ostro. Inutu wolał nie ryzykować walnego szturmu, dopóki by nie przyszły wiadomości o powodzeniu pozostałych dwóch skrzydeł jego armii. Przez następny więc tydzień, przypuszczając do twierdzy małe ataki ze skleconych naprędce maszyn oblężniczych, wykłócał się o każde słowo przyszłego traktatu (co tam traktatu!, najpierw jeszcze tylko umowy wstępnej, umożliwiającej rokowania o traktat) z dwoma obrzydliwymi chytrusami, których codziennie w tym celu przysyłał król Wama, a którzy chyba specjalnie po to szkolili się latami, żeby robić z jasnego mętne, a z prostego kręte. Na tych układach zastał go król Gabi z Chaonu, który pofatygował się do niego osobiście z pełnym radosnego oddania hołdem albo przynajmniej czymś w rodzaju uniżonego powinszowania. Inutu był już tak zmęczony i skołowany gadaniną doradców Wamy, że powitał jak zbawienie nowego gościa, mówiącego przynajmniej zrozumiałym językiem.

Gabi był tłusty i nieruchawy, tylko mówić i jeść potrafił szybko. Przywiózł też ze sobą cały transport nieznanych dotąd synowi Imperatora smakołyków, a częstując go nimi na uczcie specjalnie w tym celu wydanej, przemawiał mu jednocześnie prosto do serca i rozsądku:

– Sługą jestem waszej możności! Oczywiście. Co ja na tym tracę? Nic! Syna i tak nie mam. Mam córki. Kto po mnie będzie panował? Wasza możność oczywiście, syn zwycięskiego Imperatora. Nie śmiałem nawet marzyć o takim następcy, a oto mam! Weźmiesz oto, wasza możność, jedną z mych córek za żonę, a cały kraj uzna cię w jednej chwili za prawowitego władcę. Nie potrzeba wojny, zniszczenia... Nie wymagam nawet, żeby była twoją pierwszą żoną! Będiesz ich przecież miał wiele. Więc cóż to znaczy? Oczywiście. Dla ciebie nic: ot, dziewczyna przy boku. Całkiem miła dziewczyna. Wybierzesz, którą zechcesz. Oczywiście. No i państwo: niewielkie, ale całkiem dostatnie, i odbudowywać nic nie trzeba. Sługą jestem waszej możności! Gdzieżbym śmiał tytułować się teściem? Ot, tylko zarządcą będę u ciebie, nic więcej, za całe wiano mojej córki... A państwo całkiem niczego: podatki płacą, służą w armii. Ja też i niedługo już pożyję...

Tak, to było bardzo proste i nęcące. Kiedy w dodatku wkrótce potem przyszła wiadomość, że eskadrę posłaną na Adongo tanhidyjczycy w puch rozbili, Inutu nie wahał się dłużej: zaproponował podobny układ również królowi Amrany. Ten wprawdzie miał także i synów i zastrzegł dla nich dziedziczny urząd namiestnika, ale Inutu przystał na to bez trudności: podobnie jego ojciec postąpił z królem Knehem. I oto, po pewnych jeszcze korowodach i przygotowaniach, w połowie Miesiąca Zardzewiałych Liści księżę Inutu, syn Imperatora Połowy Świata, święcił w stolicy Amrany podwójne zaślubiny z królewnami: amrańską Amelindą i chaonką Lili.

W skutkach okazało się to dość interesujące, przynajmniej na początku. Inutu w czasie krótkiego pobytu u nieboszczyka Zangi Ulawe niejednego już doświadczył, ale nigdy dotychczas nie był w takiej sytuacji, żeby dwie niesłychanie wytworne księżniczki całymi dniami bądź rywalizowały, bądź otwarcie czubiły się o jego względy. Wszystko to pod czułym okiem dwu teściów – ach nie, nie teściów, najniższych podnóżków! – którzy do nóg się ścielili, życzenia zgadywali, a jeśli i kazali sobie płacić za wyżywienie jego armii, to przecież syn Imperatora znajdował się nie w podbitym kraju, tylko w swoim własnym, a w dodatku nie był zebrakiem. Pozostawało korzystać z sytuacji i używać życia.

Toteż było już dobrze po pierwszych mrozach, kiedy wreszcie postanowił dokończyć podboju Megni. Trochę dlatego, że się obraził za stawiony mu opór i klęskę swej floty, a trochę dlatego, że mu już zaczynały brzydnąć nieustannie kłótnie Lili z Amelindą, postanowił nieodwołanie, że tym razem nie będzie się już żenił. Tanhidu trzeba było po prostu zgnieść. Na to jednak należało najpierw postawić armię na nogi – i tu się okazało, że połowa floty już dawno odpłynęła z powrotem do Kamgany. Kto, kiedy i w czym imieniu wydał taki rozkaz, Inutu nie mógł się dowiedzieć. Chciał po nią posłać natychmiast, ale teściowie-podnóżkowie rozłożyli ręce:

– Czyż wasza możność nie wie, że o tej porze roku nie ma już u nas żeglugi? I czyżbyśmy to tylko przez pomyłkę tak się cieszyli, że postanowiłeś przezimować u nas?

Więc trzeba było albo czekać wiosny w tej pułapce, albo próbować dokonać podboju Tanhidu z taką siłą, jaką miał. Zrobił jej przegląd: nie było tego tak mało. Oba pułki sentyjskie, drugie tyle Tmutów, Fingajów same tylko załogi pozostałych na Megni okrętów, ale złożył się z nich spory oddział; wreszcie wezwane pod broń najsurowszym rozkazem armie Amrany i Chaonu. Inutu dziwił się trochę, że chociaż go słuchano bez szemrania, nie doświadczał tu tak bezwzględnej władzy nad poddanymi, jak gdzie indziej; przypisywał to faktowi, że Megnici byli jednej z nim rasy. Zapomniał jakoś, że kamgańscy Megnici byli inni. Może to działała bliskość świętej Góry Ndami?

Wyruszył z całą tą zbieraną armią, licząc na to, że uda mu się wejść na Górę od południowego zachodu i po trzech dniach forsownego marszu zaskoczyć Kom, a przez to i Larri. Gdy tylko jednak stało się jasne, jaki jest cel wyprawy, niespodziewanie zbuntowali mu się wszyscy krajowcy. Rzucili broń i oświadczyli, że dalej nie idą. I tyle. Pójdą chętnie za synem Imperatora za siódme morze, uderzą na ogniste smoki, w ostateczności zaś – tak, jak tu stoją, dadzą się choćby zaraz w pień wyrznąć szentyjskim pułkom, ale na świętą Górę nie pójdą inaczej niż tylko jako pielgrzymi. Inutu w pierwszej chwili chciał już się na to zgodzić: ostatecznie z daleka wyglądałoby i tak na armię i mogliby skutecznie wystraszyć załogę Larri. Zrozumiał jednak natychmiast, że kiedy dojdzie do walki, ci pielgrzymi może by nie wytrwali w swojej neutralności i przyszliby z pomocą nie jemu, ale obrońcom świętego miasta. Wymordować ich było szkoda, bo mogli jeszcze później przydać się gdzie indziej. Posłać ich na Adongo? Nie o tej porze roku oblega miasta, kto nie chce własnej armii wymrozić pod murami! Adongo to nie Larri, święte i nieobronne: Adongo mury ma potężne, co niejeden już najazd odparły.

Ostatecznie więc odesłał ich z powrotem, a sam z cudzoziemcami tylko ruszył naprzód. Już w parę godzin później wyłonił się problem drogi. Było wprawdzie w armii wielu takich, którzy znali Larri, ale ci zgodnie twierdzili, że droga zdatna dla pielgrzymów zupełnie nie nadaje się dla wojska. Obfituje bowiem – mówili – w długie tunele i wąskie ganki nad przepaściami, gdzie z dobrej pozycji dwudziestu obrońców mogłoby zatrzymać całą armię. Trzeba więc było szukać innej drogi, okrężnej, za szczytem, gdzie zbocza były nieco łagodniejsze. I tu z początku szczęście im dopisało: natknęli się na kogoś, kto znał taką drogę i podjął się posłużyć im za przewodnika.

Był to jakiś góral, ale nie tuziemiec, choć podobniejszy do Megnitów niż na przykład do Feinu; chłop ogromnego wzrostu i krzepy, ale też i wilkiem patrzący. Może zbiegły niewolnik, może złoczyńca? Ale tym się Inutu nie przejmował. Ważne było, że prowadzone przez niego oddziały szły drogą rzeczywiście dla ich celu najstosowniejszą, bo i nie tak stromą, żeby się trzeba było rozciągać w bezbronno go węża na serpentynie, i całkowicie bezludną. Pogoda także była im przychylna: gęsta mgła.

Zanocowali na śniegu, nawet ogni nie paląc w obozie. Znowu dzień drogi, coraz trudniejszej dla płuc. Przewodnik obiecywał, że następnego dnia podejną już pod szczyt, okrążą go i spadną z góry na Larri; nie wcześniej jednak niż o zmroku, bo spory kawał wspinaczki mieli jeszcze przed sobą.

Inutu w swoim namiocie grzał właśnie ręce nad żarem i ziewał nad resztkami kolacji, kiedy wsunął się Chiamgarana.

– Wasza możność, schwytano szpiega – rzekł.

– To go zetniście.

– Trzeba by najpierw wybadać. Zresztą on prosi, żeby go stawić przed waszą możnością.

– Ech! ... przyprowadź.

Chiamgarana wyszedł i po chwili wrócił, a z nim dwaj Szentu prowadzący jeńca. Właściwie wlekli go, bo miał ręce i nogi związane, ale dla pewności także zakneblowane usta i zakryte oczy. Rzucili go na ziemię w pełnym blasku żaru. Był to smukły chłopak megnijski, mniej więcej w tym samym wieku, co Inutu. Książę kazał odsłonić mu twarz.

I zobaczył to, czego się najmniej spodziewał: rysy Taguna.

Przez chwilę obaj patrzyli na siebie w milczeniu. Inutu czuł, że drży. Może najlepiej

byłoby tamtego zabić, zanimby zdołał zrobić pierwszą aluzję do Placu. Bo na pewno zrobi. Ale nie można: losy wyprawy mogą zależeć od wybadania jeńca, już mu to Chiamgarana raz delikatnie przypomniał. Więc...

– Wyjdźcie stąd wszyscy.

Gdy zostali sami, jeniec uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Żebyś im jeszcze kazał rozluźnić mi przynajmniej te sznurki, byłbym ci wdzięczny – rzekł.

– Ty... tutaj? – zapytał głupawo Inutu.

– I szczęście, że zdążyłem – odpowiedział tamten. – Wykradłem się z Larri w samą porę i gonię za wami z dołu już dwa dni. Słuchaj: znajdujesz się tej chwili na skraju pola lawin i jutro musiałbyś przejść przez nie. Larryjczycy obsadzili je z góry i chcą na was spuścić lawinę, jak tylko zajdziecie tak daleko, żeby się już nie móc cofnąć.

– Oszalałeś!

– Nie. Ty nie znasz gór! Powiadam ci, jak to leci! Widziałem kiedyś, sama poleciała, czy może jakiś ptak tam u góry dotknął śniegu skrzydłem. To, mówię ci, już w połowie drogi świerki grube jak kominy kruszyło jak wykałaczkę. Z całej twojej armii nie byłoby co zbierać. Rozsmarowałyby was aż do amrańskiej granicy.

– Skąd oni tam już wiedzą, że idziemy?

– Żartujesz! Toć przygotowują się na twoje przyjęcie od lata. Wszystko dobrze obmyślili, a granicy tak pilnowali, że jak ją wrona przeleciała z rana, to w południe już król wiedział, co za wrona i czego chciała. I tylko się cieszył, żeś mu na przygotowania tyle czasu zostawił.

– Milcz!

– Powinieneś mi być wdzięczny – rzekł tamten urażony. – Ostatecznie ratuję ci życie.

– To jeszcze zobaczymy. Możesz być naślany.

– Zaryzykujesz dalszy marsz, nie wiedząc tego na pewno?

– Zastanowię się – Inutu wyjął z pochwy sztylet i uderzył nim w stojącą obok tarczę.

Wszedł Chiamgarana.

– Przyrowadź tu przewodnika.

Więc po chwili trzech ich spierało się przed księciem wokół misy z żarem. Przewodnik przyznał, że lawiny często tędy latają: w zimie śnieżne, latem kamienne. Podejmował się jednak iść mimo to i znaleźć na nie „jakiś sposób”. Jeniec i Chiamgarana sprzeciwiali się temu. Inutu milczał.

Tę dyskusję urządził tylko po to, żeby ustąpić z honorem, ale wiedział, że ustąpić będzie musiał. I nawet nie z rozsądku. To obecność Taguna, wzrost Taguna uniemożliwiały mu dalszą drogę, paraliżowały go, robiły go znowu tym zastrachanym, wściekłym i nieszczęśliwym malcem, który na białym placu na jakiejś małej wysepce, gdzieś daleko, przegrał, przegrał, bo był za słaby, i gardził za to samym sobą, i nie miał na to rady. Gdyby kto inny przyniósł to ostrzeżenie, może by je zlekceważył. Ale spotkawszy Taguna, był jak wyssana pomarańcza i nie stać go już było na walkę, na przedsiębiorczość. Pozostawał odwrót.

Zapytał nagle:

— Dlaczego właściwie przyszedłeś mnie ostrzec?

– Nie rozumiesz, że mogę chcieć dla ciebie dobrze? Na Placu rozumiałeś takie rzeczy.

– Milcz... – syknął książę znowu. Niejasna, przychodząca mu dotąd chwilami

wątpliwość, czy to aby na pewno jest Tagun, znikła teraz zupełnie. Inutu nie wiedział nic o losach prawdziwego Taguna, ani o tym, jak dobrze larryjscy bardowie znali dzieje ostatnich lat na Gar'Ingawi. Więc jeszcze tylko z minuty na minutę odkładał powiedzenie tego, co nieuchronnie już musiał powiedzieć. Tylko jak uzasadnić, jak ułożyć?

Nagle przewodnik spytał ostro:

– No więc co? Idziesz czy nie idziesz? Tchórzysz?

Chiamgarana zerwał się:

– Wasza możność! Nie ten nasłany, co ostrzega, ale ten, co w zasadzkę wciąga!

– Wracamy – rzekł ponuro Inutu. – Ale najpierw o świcie będziemy patrzeć, jak ci dwaj pójdą do Larri przez pole lawin: jeden za to, że nas chciał tamtędy prowadzić, a drugi, że się ośmielił stanąć przede mną. Chiamgarano, każ tego zakneblować, żeby nie gadał nic więcej, a tamtego związać aż do świtu. Potem łucznicy ich popędzą. Zabierzcie obu.

Przewodnik zaśmiał się tylko, ale wyszedł z namiotu posłusznie – i tyle go widziano. Jakby roztopił się w mroku i w rzadziejącej mgłę. Rano Inutu miał tylko tę wątpliwą satysfakcję, że przy słonecznej pogodzie i świetnej widoczności mógł oglądać domniemanego Taguna idącego spokojnie przez groźną płaskość, na którą on sam już nie śmiał wstąpić.

No i wrócił do Amrany, a wiosną (z obu żonami) do Dohum. Z całej tej wyprawy zyskał właściwie tylko tytularne władztwo nad dwoma małymi państewkami, w których w rzeczywistości nadal najspokojniej rządzili dawni królowie. No i te żony. Stracił część floty i nadzieję na podbój Tanhidu. Nie, nie pójdzie tam więcej! Larri i tak nie zdobędzie, a mógłby znowu spotkać Taguna.

Tego lata w górach szentyjskich wybuchło powstanie. Inutu i Tsamonume wzięli rebeliantów w dwa ognie i część wybili, a resztę zepchnęli na terytorium Hremy, małego górskiego państewka na północny wschód od Dohum, gdzie morze było pełne raf i niegościnne, a ludność biedna i dzika. Tsamonume byłby ich tam gonił, ale Inutu nakazał odwrót: miał już uraz do gór. Jednocześnie z Kamgany dano znać, że Amelinda i Lili urodziły córki. Więc nawet nie mógł poszczycić się synem.

Wtedy już kłócił się w myślach z ojcem nieustannie: czasami robiąc mu wyrzuty, czasami obiecując przez ściśnięte gardło, że mu „jeszcze pokaże”. Tymczasem wyszukał sobie w Dohum trzy dalsze żony, a po powrocie do Kamgany zaczął z nudów filozoficzną korespondencję z jakimś mędrcom w Galgal-Mubara, którego w życiu na oczy nie widział.

I miał kłopot z Fingajami: drżeli przed nim, ale czuł, że coś knują.

Minęła znowu jesień i zima, i wiosna.

Listy Imperatora bywały nudne: na sprawozdania odpowiadał zdawkową, obojętną aprobatą, nie ganił, ale i nie chwalił. Sam był znów, Imperatorowa także, i księżę Agwen oczywiście też. Coś tam budowali, coś tam kolonizowali, ktoś tam znowu złożył im hołd lenny... Inutu z trudem doczytywał to do końca. Aż wreszcie przyszedł list, który nim wstrząsnął:

Donoszę ci także – pisał w nim ojciec – że Imperatorowa powiła bliźnięta, masz więc już trzech braci: Agwena, Inu i Dejna. Wniosek z tego, że lepsza czasem jedna dobra żona, niż pięć byle jakich, ale nie zamierzam w niczym ograniczać twojej swobody. Nie cofam ci również tytułu następcy tronu, chociaż przyznaję, że po twoich megnijskich triumfach skłonny jestem traktować ten tytuł raczej

tymczasowo, zwłaszcza że w bliskiej przyszłości będę miał was kilku do wyboru. Następne lata twoich rządów w Dohum zadecydują ostatecznie o mojej opinii o tobie...

Tegatuga, który list przyniósł, siedział spokojnie na dywanie u stóp tronu. Poza nim był przy księciu tylko Chiamgarana. Inutu wlepił wzrok w starego Fingaja, zagorzałego zwolennika macochy. Ojciec dobrze zrobił, że przysłał z takim listem tego właśnie. Kogoś trzeba w tej chwili rozerwać, żeby móc myśleć przytomnie, niechże będzie tym kimś rzeczywisty współwinowajca. Urywaniem jak czkawka głosem Inutu spytał:

– Chiamgarano... co ci wiadomo... o spiskach Fingajów?

– Wasza możność, jestem tylko żołnierzem. Ale nigdy bym im nie ufał. Istoty bez ojczyzny, bez korzeni, wiecznie coś knują i mącą.

– Właśnie... Słyszysz, Tegatugo? Też mącisz, co? I knujesz?

– Wasza możność! – odpowiedział spokojnie stary Fingaj. – Jeśli mój lud nie miał przez wieki ojczyzny, to nie z własnego wyboru, ale dlatego, że mu ją zabrano. Łatwo szkalować i posądzać wydziedziczonych, łatwo ich także wykorzystywać do własnych celów: trudniej zrozumieć i potraktować sprawiedliwie.

– Aha... No to ja was... potraktuję sprawiedliwie... Mam tu czterystu Fingajów w porcie, dziś ich każę wyrznać wszystkich, a ciebie na ostatku... Żebyś skosztował owocu swoich intryg... żebyś znalazł ojczyznę nareszcie... osiem stóp ziemi na dwie, desek nie trzeba. Chiamgarana cię kocha, boś i ty go kochał, zatroszczy się o pilne wykonanie. Imperator pochwali wykrycie spisku. Chiamgarano...

Co było w tym liście? – myślał Tegatuga. Właściwie już wszystko jedno: umyślnie czy nieumyślnie, Imperator przysłał go tu na śmierć i śmierć nadchodzi. Służył Unganie wiernie przez tyle lat, wysłużył sobie zapłatę. Ludowi swemu nie pomógł: uciskani w kraju przez Imperatora już zaczynają marzyć o dalekich morzach, o powrocie do niedawnej żeglarskiej wolności. Rychło patrzyć, wyciekną powoli z odzyskanej z takim trudem ojczyzny. Gdyby im dać swobodę, gdyby ich kochać, rozumieć... Ale na to trzeba było związać nadzieje z kimś zupełnie innym.

Żołdak szentyjski już go trzymał za ramiona. Stary Fingaj wyprostował się i spojrzał w oczy Inutu.

– Synu Imperatora – rzekł – odbierasz mi znowu ojczyznę i nadzieję. Ty i twój ojciec oszukaliście i zdradziliście mnie i mój lud. Ale tak samo zdradziliście, wygubiliście i rozproszyliście swój własny. Gdzie on jest teraz – bo nie na Gar'Ingawi? Nie ma już i nie będzie ani Ludu Wyspy, ani jego ojczyzny, ani jego nadziei. A pogrzebaliście to wszystko sami i na żadnego wroga nie możecie zwalić winy. Ja umrę, ale będę umierał radosny, że nie było takich władców pośród władców Fehine!



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

LENNIK

Nikt nie wiedział – nawet Adun, najbliższy teraz przyjaciel, nawet Balit – ile Dżauriego to kosztowało, by stawić się przed Unganą jako lennik. Nie dość że nagłą fortuny odmianą przyszło kłaniać się komuś, kto niedawno jeszcze przed nim samym wybijał pokłony – nie dość że spośród wszystkich niegdysiejszych poddanych musiał to być ten właśnie szczególnie mu obrzydły gładkolicy chytrus – ale przede wszystkim był to dla młodego władcy Dżugidów ktoś będący żywym uosobieniem tej podstępnej podłości, której on sam się kiedyś uczył jako sztuki rządzenia, a teraz nienawidził, jak się nienawidzi brudu zmytego już z ciała. Niegdyś, pragnąc dorównać ojcu, usiłował wejść w ten właśnie świat: świat Tanmuków, Cuszirów, świat Ungany – na prawach równego im gracza, walczącego tą samą bronią. Teraz, po przeżytej na Wyspie porażce, po udręce i tylokrotnej bliskości śmierci, odezwał się w nim nagle z ogromną siłą nieznany dotąd świat matki. Bo Hagrit, chociaż tak zachwycona dworem swego męża, we krwi miała wciąż jeszcze Góry: Góry, w których raz dane słowo musiało być dotrzymane, w których wierność ceniono wyżej niż przebiegłość, a honor niż życie. Łatwiej tam lała się krew, ale trudniej padało z ust kłamstwo. Władca był tam uboższy i mniej czczony, ale bywał kochany; mniej dźwigał złota, za to więcej obowiązków. I może by te dwa światy długo jeszcze spierały się w sercu Dżauriego, gdyby nie Balit i nie Kera. Miłość do jednej i szczery podziw dla drugiej – zaiste, tak rządziłaby jego matka, gdyby żyła! – przeważały szalę ostatecznie. I Dżauri z gorliwością nowo nawróconego kochał teraz to, czym dawniej gardził, a potępiał to, co dawniej podziwiał. Unganą, gdyby mógł, najchętniej kazałby sprzedać jako niewolnika do sentyjskich kopalni miedzi. A musiał złożyć mu hołd.

Musiał: nie było wyboru. Tylko tak mógł ratować swój lud. Wojna nie poszła mu dobrze, chociaż nie stała się zupełną klęską. Przede wszystkim udała się w pełni ewakuacja całej

ludności w Góry, a osiedlanie jej w nowych warunkach odbywało się wcale znośnie dzięki niestrudzonemu dozorowi Kery. Wiele jednak pozostawało jeszcze do uładzenia i ugruntowania; nawet w czasie pokoju takie nagłe przeniesienie całego narodu na obczyznę nie byłoby łatwe: cóż dopiero pod grozą nadchodzącego najazdu, w końcu już i pod jego mieczami, kiedy każdy jako tako trzymający włócznie Dżugid musiał porzucić świeżo osiadłą (lub jeszcze wędrującą) rodzinę i śpieszyć do bitwy.

A przecież byli to tylko ci, którzy przed kilku laty byli jeszcze za młodzi albo już za starzy, albo zbyt rozleniwieni, żeby pociągnąć na wezwanie Gorda. Utworzenie z nich jako tako sprawnej i karnej armii przekraczałoby normalnie siły nawet wytrawnego i sławnego wojownika; cóż dopiero młodzieńca, który się jeszcze uczył tak sztuki rządzenia tym właśnie ludem, jak i praktycznego stosowania otrzymanych niegdyś lekcji z taktyki wojennej! I prawdopodobnie nie udałoby się to wcale, gdyby nie ogromna popularność Dżauriego w kraju. Rdzenni mieszkańcy Równin widzieli w nim przywróconą dawną dynastię, rękojmię dostatku i powodzenia. Niedawni przybysze z Gór uznawali w nim syna Hagrit i zięcia Kery, a przy tym nareszcie mężczyznę na tronie. Nie żeby samej Kerze mieli coś do zarzucenia, ale zawsze co mężczyzna, to mężczyzna. Jedni i drudzy powtarzali nie wiedzieć skąd wzięte wieści o jego niesłychanych czynach za morzami, o jego męstwie i mądrości; Dżauri rumienił się ze wstydu, ilekroć dochodziły do niego te plotki, ale zarazem tym bardziej postanawiał okazać się godnym położonej w nim ufności. Gdy więc i lud, i władca nie szczędzili żadnych trudów, aby wzajemnie sobie służyć, wojna obronna szła lepiej, niżby się można w takich warunkach spodziewać.

A jednak było to tylko cofanie się: nieustanne, rozpaczliwe, zmuszające wroga do staczania całych bitew o każdą kolejną milę zdobywanej ziemi – ale tylko cofanie się, tym trudniejsze, im dłuższe. Przez pewien czas mieli jeszcze nadzieję, że uda im się nie przepuścić wroga przez linię Kerak-Gał i na niej ustalić przyszłą granicę; ale właśnie przez Kerak-Gał Ungana zdołał przeprowadzić swoją armię w kilku miejscach naraz i odtąd już coraz szybciej parł Dżugidów ku Górom. Nie zatrzymała go i rzeka Czun: ogromne pływające dyski Tmutów dotarły nią od ujścia aż prawie do połowy biegu, opanowując przeprawy i zmieniając tę ostatnią fazę wojny w coś bardzo już podobnego do pościgu. Wstrzymały go dopiero Góry, okryte już śniegiem, milczące, skłębione i wrogie. Ungana nie miał zamiaru ryzykować wygubienia połowy armii w wąwozach i przy zdobywaniu zlodowaciałych przełęczy: ogłosił więc zawieszenie broni aż do wiosny.

Tymczasem jednak umacniał się na zdobytych terenach, a więc także na pogórzu wznoszącym się od rzeki Czun coraz bardziej stromymi zboczami ku właściwym Górom. Był to kraj dość jeszcze urodzajny, stanowiący od wieków jakby spichlerz Dżugidów Górskich. Po jego utraceniu Dżauri nie mógł już marzyć o wyżywieniu swojego ludu, nawet gdyby liczebność tego ludu nie potroiła się przez ewakuację Równin. Wprawdzie cały plon tegorocznych żniw przewieziono w Góry bezpiecznie, ale to mogło wystarczyć najwyżej na przyszły rok – a co dalej? Na żadne dostawy znikąd nie można było liczyć. A plony samych tylko górskich poletek były w tej sytuacji śmiesznie małe. W dodatku Ungana przerwał tylko wojnę i najwyraźniej zamierzał ją wiosną wznowić: a było już widać, że mógłby to uczynić z powodzeniem. Z drugiej strony i jemu nie brakowało trudności, choćby z osadnictwem Feinu, a zapasów mogło zabraknąć, gdyby kampania się przedłużała. To wszystko rozważywszy, Dżauri posłał zwycięzcy propozycję uznania jego zwierzchnictwa w zamian za odstąpienie terenów między rzeką Czun a Górami. Ungana

propozycję przyjął.

Częściowo dlatego, że zależało mu na tym właśnie, by osobiście upokorzyć niedawnego Tanu, którego wbrew Zamysłowi Książąt nie zdołał zabić, a który w zawierusze wojennej mógłby mu znowu gdzieś zniknąć; a częściowo dlatego, że wyjście takie było rzeczywiście najrozsądniejsze. Powiększało jego imperium bez walki o całą Krainę Gór i dawało mu przy okazji możliwość utargowania czegoś jeszcze, na przykład części dzugidzkiego zboża, czego nie omieszkał włączyć do warunków. Dżauri warunki wszystkie przyjął, bo nie mógł nie przyjąć: tylko tak mógł ratować swój lud.

Był pośród tych warunków także i obowiązek stawienia wiosną na rozkazy Imperatora trzech tysięcy zbrojnych Dżugidów, a w razie wezwania – także i całej armii pod osobistym przywództwem lennika. Dżauri wybrał do tych trzech tysięcy wszystkie najniespokojniejsze duchy, jakie mógł znaleźć. Poza tym w przeddzień wyjazdu oświadczył swojej radzie, że raz jeszcze cała władza wraca w ręce Kery i że gdyby sytuacja tego wymagała – on daje im pełne prawo do wypowiedzenia mu posłuszeństwa, ogłoszenia go zdrajcą i zbuntowania się przeciw niemu i przeciw Imperatorowi.

– Ja będę związany przysięgą – mówił – ale wy, choćbym na rozkaz Ungany szedł w jego armii w pierwszym szeregu, macie prawo i obowiązek uderzyć na niego i na mnie.

Pokiwali głowami: to rozumieli. Tak w Górach od niepamiętnych czasów rozwiązywano splot sprzecznych obowiązków: ofiarą z własnego życia. Były pieśni... Ej, te góralskie pieśni!

Adun już się wielu nauczył i śpiewał je Dżauriemu podczas drogi. Przynajmniej dopóki jechali przez wolne jeszcze od najeźdźców okolice. Na linii granicznej czekał już na nich oddział szentyjski, przy którym był także niejaki Hnuf, mistrz ceremonii niegdyś dworu króla Kneha, a obecnie Imperatora. Dżauri i jego eskorta musieli już tutaj oddać wszelką broń i jechać dalej ni to jako jeńcy, ni to jako goście – granica umyślnie była zatarta, co stwarzało okazję do tysiąca drobnych przykrości. Hnuf zaczął też z miejsca pouczać Dżauriego o szczegółach czekającej go uroczystości; Dżauri milczał, zaciskał usta coraz mocniej i bladł coraz bardziej. W myśli wzywał wszystkich przodków matki i ojca przez całą moc Pana Hallora, aby wytrwać i znieść to wszystko. Tego wieczora Adun nie śpiewał już przy ognisku bohaterskich pieśni, a tylko jakąś długą, prostą megnijską kołysankę o przedziwnie uspokajającej mowie.

Wieziono ich drogą nieco okrężną, tak żeby ostatni nocleg wypadł im na ruinach Dżugbyru, teraz zresztą zwanego Biuro, bo miastu przywrócono jego prastarą feineńską nazwę. Tu jednak plany zawiodły Unganę, bo Dżauri miał już od dwóch dni gorączkę i w ogóle nie wiedział, gdzie się znajduje, toteż ta lekcja pogładowa chybiła zupełnie. Przyszedł do siebie dopiero czwartego dnia pobytu w Dydli na skutek starań lekarskich Aduna. Było to już wieczorem i byli w namiocie sami. Dżauri, pływający dotąd pośród chłodnych i groźnych majaków, tym groźniejszych, że niezrozumiałych zupełnie, poczuł nagle, że mu gorąco i że zamazane kształty przed jego oczami nabierają ostrości i znaczenia. Coś zimnego przesunęło się po jego czole, ścierając pot i odświeżając oddech; po chwili w polu widzenia pojawił się Adun z czarką napoju.

– No to już i dobrze, miłościwy panie – powiedział po dżugidzku, podsuwając czarę do ust Dżauriego. – Was, Dżugidów, łatwiej dobić pogardą niż dzidą, ale jednym i drugim nie tak prędko. Pij.

Napój także był chłodny i rozlewał się po ciele jakby strumień przytomności i spokoju.

– Co to za miejscowość? – zapytał Dżauri.

– Dydla. Tymczasowa stolica Imperatora. Pamiętasz Dydlę?

– Oczywiście.

– Tobyś jej teraz nie poznał, bo cała dolina zastawiona namiotami, drzewa wycięte, wszystko zmienione. Nawet pagórek jeden przesunęli, podobno w ciągu tygodnia.

– Po co?

– Chyba tylko po to, żeby Imperator czuł swoją wszechmoc. Ale przez ciebie znów musiał poczuć się słaby, bo już tak czwarty dzień leżysz, a on się niecierpliwi i nic na to nie może poradzić.

– Przecież wie, że mnie ma w rękę.

– Ciebie?... – zapytał bard przeciągle i nagle jakby zmienił temat: – Zrób tę łaskę twemu słudze i spróbuj sobie wyobrazić, jak też ten hołd wyglądał w wykonaniu króla Kneha, co?

Dżauri pomyślał – i nagle wybuchnął śmiechem. Rzeczywiście, jak mógł kulisty Tmut na przykład upaść na twarz? Albo położyć prawą rękę, koniecznie prawą, na stopach władcy? Miał ich tyle!

Adun patrzył, śmiejąc się także i kiwał głową.

– A wiesz ty, miłościwy panie – powiedział wreszcie – że odkąd Dydla stała się tym, czy jest teraz, nikt się tu jeszcze nie roześmiał? Ty pierwszy.

– Skąd wiesz?

– Bard jestem. Widzę. I mówisz, że on cię ma w rękę? Ciebie jednego jeszcze nie ma w rękę i może do końca nie dostanie. Ale pamiętaj o Knehu!

Ta rada okazała się zbawienną dwa dni później, kiedy Dżauri mógł już chodzić, a Imperator nie mógł już na hołd dłużej czekać. Podczas całego marszu ulicą, która miała być drogą upokorzenia, myśl o tym, jak mógł wyglądać hołd Kneha, przeprowadziła Dżauriego w doskonałym (acz starannie ukrywanym) humorze. Dopiero o kilka kroków od wejścia do tronowego namiotu zdarzyło się coś, co zatrzęsło jego spokojem.

Bo nagle zdał sobie sprawę, że przyspiesza kroku; zaraz potem zaplątał się w zasłonę, którą przed nim nie dość prędko odsunięto, i niemal wpadł na czekających wewnątrz w przedsionku Hnufa i dwóch Moźnych, którzy go mieli prowadzić. Dopiero wtedy przyszła świadomość pośpiechu, przekonanie, że pędzi – chce pędzić – do czegoś upragnionego. Jak pies wezwany do nogi pana. Tfu! – zachnął się sam na siebie – gdybym miał ogon, tobym nim teraz wywijał!

...Balit, lud górski, oczekiwany syn, który się może już wkrótce urodzi... Co go opętało? To tam była radość i jasność, nie tu w tej szmacianej stolicy zguby.

Ale – usprawiedliwiał się w myśli sam przed sobą – przecież ma teraz uznać Imperatora za pana i musi to zrobić właśnie dla ratowania tamtych skarbów. Czyż nie powinien przysięgać szczerze? Oddać serce uznanemu władcy, zaufać jego szlachetności? Nawet może ją przez to w jakimś sensie wyzwolić lub stworzyć? Jak taki Tegatuga albo Kneh?

Właśnie, jak Kneh. Może w oczach kogoś patrzącego z boku jego oddanie byłoby równie śmieszne jak hołd Kneha w jego oczach. I komu? Komu? Temu...

Epitetu wolał nie dopowiadać nawet w myśli. Szedł przez wszystkie skomplikowane obrzędy niemal nie widząc, co sam robi i co z nim robią imperatorscy słudzy. Coraz lepiej świadom tego, co się działo w jego wnętrzu – słyszał przecież niejedno o tajemniczej mocy

Możnych! – toczył teraz zażartą walkę o swoje serce. Uderzenia były coraz potężniejsze; chwilami zdawało mu się, że całe jego dotychczasowe życie było skrepowane jakimiś więzami, z których nareszcie teraz się wyzwoli, by odnaleźć to, czego zawsze pragnął. Aż nagle zauważył, że ceremonia dochodzi już do punktu kulminacyjnego, a on sam klęczy (od jak dawna?) przed Unganą. Stopy Ungany spoczywają na mieczu, który za chwilę, po przysiędze, wolno będzie lennikowi wziąć. Dżauri wyprostował się, podniósł z wysiłkiem oczy i spojrzął w twarz Imperatora.

Teraz wezwanie uderzyło w niego z taką siłą, że o mało nie upadł. Wszystko: żonę i oczekiwanego syna, kraj i lud, cały świat od Głębi Południa aż po Otchłan Północy gotów byłby z radością oddać za tę służbę! I niechże będą świadkami jego przysięgi Hallor i Haldir...

Nie! Hallor! Nie! Nie!

Nagłym wysiłkiem, jednym ostrym szarpnięciem, jak pastuch górski wydziera owcę z pazurów niedźwiedzia, tak Dżauri wydarł swoje serce z garści Imperatora.

I wtedy przysięgł mu wierność.

Bawił potem tylko przez tydzień na Dworze, darzony łaską, ale w miarę, i obsypywany zaszczytami, także w miarę. Po tygodniu Imperator odesłał go z powrotem w Góry. Tam, na swoim posterunku, był przydatny, a w każdym razie nieszkodliwy, ponieważ było jasne, że zamierza być wierny przysiędze. Tu, na Dworze, mógł być tylko przykrym przypomnieniem, że istnieje ta druga połowa świata (nie zawsze geograficznie oddzielona), nad którą władzy nie dano Imperatorowi.

Jechał długo, zwłaszcza że po przebyciu granicznej obecnie rzeki Czun zatrzymały go wiosenne roztopy. Kiedy przybył do Daggesz, miał już syna. Nazwał go Kerti, co mogło oznaczać samca jaskółki (kera) i stanowić swoisty hołd dla mężnej świekry, ale przede wszystkim znaczyło: Wolny.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

DZIEWCZYNA ZNAD RZEKI JASKÓŁCZEJ

Dopiero po przybyciu poselstwa od Szumiącego Ludu Almuk zrozumiał, że wywiadowcy tego Ludu już od co najmniej dwóch tygodni śledzili Wędrowkę Dżugidów, a Dżugidowie widzieli ich i słyszeli przez cały czas, tylko im do głowy nie wpadło, że to mogą być istoty myślące i mowa.

Było to już wysoko w górach, o dwa dni drogi od przełęczy, która wiodła przez najwyższy i ostatni łańcuch górski czekający Dżugidów – jak powiadał Łazęga – przed oceanem. Skądś, nie wiadomo właściwie skąd, całe wojsko – od Almuka do ostatniego ciury – było już wtedy przeświadczone, że po dojściu do oceanu trzeba będzie zbudować okręty (nie pytali, jak i z czego) i żeglować dalej na wschód.

Nie żyli już ani Harka, którego zabił Nardi, ani sam Nardi, przeciw któremu natychmiast powstało całe wojsko. Z rodu Dżauriego Zdobywcy pozostał tylko Almuk i on to prowadził Dżugidów dalej.

Łazęga coraz częściej bywał nieobecny, a poza tym jakby się zestarzał: radził mało, śpiewał jeszcze mniej. Nie odzywał się niepytany, a na postojach, jeżeli nie znikał, to wygrzewał się sennie przy ognisku i pomrukiwał coś sam do siebie. Zgadywali, że któregoś dnia nie wróci już z puszczy i nikt nie będzie wiedział, gdzie zostały jego kości. Żalowałiby go, oczywiście, bo go całkiem lubili – tak długo wędrował z nimi po tej puszczy – ale Almuk nie cenił barda ani w części tak, jak niegdyś jego ojciec. O rady też go na ogół nie pytał: wiedział sam, w którą stronę ma iść, a o szczegóły nie przywykł jeszcze martwić się naprzód.

Tego dnia zatrzymał pochód o dobre parę godzin przed zachodem słońca, ponieważ miejsce było dogodne do obozowania, a dalsza droga schodziła teraz w dół, w jakieś kręte

i mroczne wąwozy, gdzie lepiej było nie zapuszczać się na noc. W dodatku od wczoraj była to już bardzo wyraźnie prawdziwa droga, miejscami podbudowana na zboczu, miejscami wyrąbana w skale, tu i ówdzie wyłożona kanciastymi odłamkami górskiego granitu. Najwidoczniej jakieś istoty myślące, przypuszczalnie mieszkańcy krainy za górami, potrzebowały tego przejścia i zadbały o jego urządzenie. Musiały jednak używać go rzadko, bo bruki nie były starte i ostre kanty kamieni bardzo utrudniały drogę spieszonym Dżugidom. Czy było takich przejść przez góry więcej, czy też oni jakimś cudem trafili na to jedyne, nikt się w obozie nie zastanawiał.

Góry, choć niezmiernie wysokie, nie były urwiste, jak rodzinne góry Dżugidów. Raczej obłe, o długich, z lekka tylko z wierzchu poszarpanych grzbietach, wyglądały jak stado olbrzymich a leniwych krów, rozłożonych bezkresnymi rzędami i sennie przeżuwających resztki zimowych śniegów, które spływały im po karkach. Na wysokości osiągniętej przez wojsko nie było już lasów, a i kosodrzewina się kończyła; odtąd szły w niebo kamieniste pochylnie porośnięte gładką trawą, a miejscami zupełnie przechodzące w piargi. Gdzieś tam, zwykle na skałach górujących nad doliną, stały jakieś krzaki podobne do dużych jałowców, ale wszystkie uschłe: szaroróżowe chmury, sunące po niebie, napełniały miękkim światłem delikatne kokony ich gałązek.

Całe wojsko oddychało pełną piersią. Nareszcie, po tylu latach przedzierania się przez lasy lub beznadziejnego ciągnięcia się po stepie, weszli w kraj, który rozumieli: kraj, w którym było widać, dokąd się idzie, i jak daleko się już zaszło. Ot i ten upłaz, na którym teraz stanęli: obszerny, ale nie za duży, w miarę wyniosły, w miarę niestromy – dobry i na obóz obronny, i na punkt orientacyjny w dalszej drodze. Stało na nim kilka sporych skałek: i to dobrze, będą chronić ogniska przed wiatrem. Wiatru wprawdzie nie czuć jeszcze na twarzach, ale wyżej widać już się zrywa, bo dwa stojące na najbliższych skałach jałowce drżą co chwila i coś w nich szumi i świszczce. Dżugidowie zrzucają z ramion ciężary, sprawnie i szybko rozbijają obóz: tu namiot króla, tutaj legowiska, tam ognie, wszystko według prastarego porządku. Teraz rusza patrol po wodę: górale nie muszą krążyć długo, żeby ją znaleźć, wystarczy im spojrzeć na układ zbocza i skał. Nieco w dół dalej drogą, za ten wielki załom, tam będzie na pewno.

I była. Wąską strugą śnieżnobiałych odprysków spadała do małego, czarnozielonego oka. Nad stawem czerniała gęstwą koronkowych splotów duża kępa uschłych jałowców, a między nimi na kamieniu siedziała dziewczyna.

Dżugidzka dziewczyna.

Miała na sobie postrzępioną suknię jakiegoś przedziwnego kroju i koloru, a na to narzuconą równie zdartą chustę. Siedziała pochylona, z wyrazem takiego zmęczenia na twarzy, jakby miała za sobą drogę równą ich drodze. Ale na ich widok zerwała się z kamienia i zawołała radośnie:

– Swoi! Swoi!

A potem z nadzieją, błagalnie:

– Czy daleko jeszcze do Kerak-Gał?

Biedactwo. A swoją drogą miała niewyobrażalne szczęście: tu, na drugim końcu świata, natknąć się w swej ucieczce właśnie na nich. Bo nie wątpili ani przez chwilę, że ucieka od jakiegoś obcego ludu, u którego na pewno była w niewoli. Zapytali ją o to i potwierdziła: im samym przy źródle i w drodze, a potem w namiocie króla. Tak: jako małe dziecko zgubiła się rodzicom podczas jakiejś uroczystości w Dżug-byr (bo pochodzi z wioski Szeta

nad Kerak-Gań, może ktoś z nich zna tamte strony?) i dostała się w ręce Feinu, którzy sprzedali ją jakiemuś innemu ludowi, a potem dalej i dalej... nie potrafiłaby opisać swojej wędrówki, w każdym razie ostatnie pięć lat spędziła w kraju leżącym za tymi górami, gdzie służyła w świątyni ptaków...

Tu nagle zadarła głowę i wydała jakiś przedziwny świst, ni to śpiew kosa, ni to szum skrzydeł w powietrzu. Potem mówiła dalej. Nazywa się Tinat. Tych ptaków bała się strasznie, bo są krwiożercze i złe. W końcu postanowiła uciekać, wiedząc tylko tyle, że jej ojczyzna leży gdzieś daleko na zachodzie, za górami. I taka jest szczęśliwa, że trafiła.

Więc musieli jej wyjaśnić, że nie trafiła, niestety, i opowiedzieli jej dokładnie, co oni sami robią tutaj i co zamierzają robić dalej. Ją, oczywiście, gotowi są wziąć ze sobą – zapewniał Almuk – i obronić po drodze od jej dawnych panów, gdyby ich mieli spotkać. Niech im tylko opowie, jaki to lud i jakie ma zwyczaje, żeby mogli wiedzieć, jak im będzie najłatwiej przedostać się przez jego kraj. I wypłynąć w morze.

– Ale na to potrzeba floty – powiedziała Tinat. – Czy chcecie zdobyć ich okręty?

– Nie – odrzekł Almuk. – Okręty zbudujemy sobie sami. Jeżeli, oczywiście, ów lud nadmorski gotów nam służyć radą i pomocą, bo nie jesteśmy wprawni w tym rzemiośle. Gdyby jednak ten lud okazał się wrogi, wówczas drogę do morza i okręty będziemy musieli sobie wywalczyć. Tak czy inaczej, musimy przejść.

– Dlaczego?

Almuk uśmiechnął się pobłaźliwie. Dziewczyna podobała mu się bardzo, a przy tym była pierwszą osobą spoza jego wojska, przed którą mógł pokazać swój młodziutki majestat króla i dowódcy.

– To rzecz mężów, nie kobiet – powiedział – i nie mogłabyś tego zrozumieć. Opowiedz nam lepiej o ludzie mieszkającym za górami.

W tej chwili do namiotu wszedł Łazęga. Wsunął się pod uchyloną zasłonę, stąpając na palcach, ale dziewczyna musiała go pomimo to usłyszeć, bo obejrzała się błyskawicznie. A potem rzuciła się z krzykiem do stóp Almuka:

– Ratuj, królu! Ratuj!

Almuk położył rękę na jej głowie.

– Nie bój się – rzekł. – Przy mnie nie masz się kogo lękać! Łazęgo, przestraszyłeś Tinat: wyjdź z namiotu.

– Właśnie przyszedłem rzec, miłościwy panie – odpowiedział bard – że wychodzę z obozu.

– Nie miałeś zwyczaju dotąd uprzedzać o tym, nie musisz się trudzić i teraz. Idź, dokąd chcesz i kiedy chcesz, tylko dziewczyny mi nie strasz.

Łazęga uśmiechnął się dziwnie.

– To jakbyście mieli wybór: ja czy ona w obozie – ją byście wybrali?

– Jakbym miał wybór, tobym tego wybrał, kto się nie obraża i wybierać nie każe. Idź.

Ale Tinat była tak przestraszona, że nawet i po wyjściu Łazęgi nie chciała już nic więcej mówić, pomimo próśb i obietnic króla. Błagała tylko, żeby jej pozwolono spędzić tę noc przy źródle, przy którym znalazł ją patrol. Almuk więc kazał żołnierzom nanieść tam dla niej skór na posłanie i pożywienia obficie, a po cichu posłał też spory oddział, który miał zająć drogę poniżej źródła i nie dopuścić do ewentualnej ucieczki dziewczyny. Nad wodą jednak miała być zupełnie sama i nikomu nie było wolno nawet się tam pokazać. Młody król również powstrzymał się od odprowadzenia jej na nocleg: stał tylko w wejściu

do namiotu i patrzył za nią, dopóki nie znikła za skałą.

A już i mrok zapadał, napełniając doliny i wąwozy fioletową nocą, do której jeszcze było daleko na szczytach. Tinat szła w dół jak ślepa, rozstawiając ręce przed sobą i potykając się o nierówności drogi. Pasiasty płaszcz żołnierski, którym ją okryto, włókł się za nią, ucepiony jednego tylko ramienia. Doszła wreszcie do stawu i na brzegu osunęła się na ziemię, nie szukając nawet w mroku przyniesionego dla niej posłania. Trwała zupełna cisza, bo gwar obozu tu nie dochodził, a powietrze było bezwietrzne i pełne napięcia jak przed burzą, chociaż chmury wszystkie przepłynęły. Niebo z wolna wypełniało się gwiazdami; wreszcie zza krawędzi skalnego ogromu na wschodzie podniósł się księżyc w pełni, okrągły i blady, i napełnił doliny sennym, martwym światłem, które niczego nie mogło zrozumieć ani wyjaśnić.

Mijały godziny. Tinat powoli przychodziła do siebie. Historia, którą opowiedziała Dżugidom, była tylko w części prawdziwa: tylko w tej części, która dotyczyła sposobu jej przybycia do krainy Szumiącego Lasu. Dalej zaś zaczynały się różnice bardzo istotne. Bo stara arcykapłanka świątyni ptaków, największej stołecznej świątyni, przeznaczyła ją od razu po zakupieniu do wewnętrznego kręgu wyroczni, a tam, po roku tradycyjnych przygotowań i pouczeń, Tinat zrobiła błyskawiczną karierę. Nie służyła nigdy w kręgu pierwszym, gdzie trzymano i karmiono obrzydłe ptaszyska, którym cześć oddawał prosty motłoch. Ani nawet w średnim, w którym władczyni tego Ludu i jej najbliżsi doradcy odprawiali obrzędy mające na celu rozpoznanie lub pozyskanie dla swoich planów woli bogów. Tinat służyła – a właściwie już niemal rządziła – w kręgu najgłębszym jako prawa ręka arcykapłanki i jej przypuszczalna następczyni. To swoje wyniesienie pomimo obcego pochodzenia zawdzięczała zdolnościom, bezzwłocznie rozpoznany i rozwinięty przez ekspertów świątyni: łączyła mianowicie wyjątkową inteligencję i siłę woli z całkowitym brakiem zwykłych kobiecych instynktów i marzeń, tak że można się było spodziewać, iż swojej roli poświęci się bez reszty. Arcykapłanki Szumiącego Ludu nie tworzyły nigdy dynastii świątynnych: wiedza i władza musiały zastąpić im rodzinę, że zaś chętnych do tej funkcji bywało więcej niż naprawdę zdolnych, każda z nich przez długie lata badała i szukała, nim ostatecznie wyznaczyła swoją następczynię. Tinat była przez rok wśród tych, które poddano w świątyni tradycyjnemu prastaremu szkoleniu, przygotowującemu do odbierania głosu bogów; gdy jednak inne uczennice rozesłano potem do prowincjonalnych świątyń, ją arcykapłanka wprowadziła do kręgu wewnętrznego i po pewnym jeszcze okresie prób i obserwacji formalnie już ogłosiła swoją „córka”. Po czym jej przekazała największą tajemnicę świątyni: że żadnych bogów w rzeczywistości nie ma, że liczy się tylko umiejętność rozumienia tych, którzy zwracają się do wyroczni, oraz wpływania na nich, wreszcie zaś, że ona, Tinat, kiedy wkrótce zasiądzie na najwyższym tronie świątyni, będzie po prostu rządzić tym krajem, oby jak najmądrzej, dyktując wolę rzekomych bogów oficjalnej jego władczyni.

Tinat zapomniała więc o bogach i zajęła się u boku arcykapłanki polityką. Codziennie spędzała jedną godzinę w najniższym, a jedną w średnim kręgu – zanoszona tam wśród muzyki i ceremonii, okadzana i czczona – wprawiając się w słuchaniu pytań i udzielaniu odpowiedzi. Codziennie też obie z arcykapłanką przynajmniej przez godzinę słuchały raportów swojego wywiadu, które stanowiły podstawę późniejszych decyzji. W ten sposób bardzo wcześnie, bo na kilka miesięcy przed dojściem Dżugidów do gór, wiedziała już o ich ciągnącej armii, o jej liczebności i uzbrojeniu. Kiedy wreszcie opisano jej starannie ich

sposób obozowania i stroje, domyśliła się, że nie są to jej właśnie rodacy z Równin, ale Dżugidowie górscy. A że ostatnie jej wspomnienia z ojczyzny pochodziły z czasów najazdu Dżauriego Zdobywcy, Tinat nie tylko już z obowiązku, ale i z zemsty zaczęła planować ich zgubę. Po dłuższej więc naradzie z arcykapłanką odbytej w średnim kręgu, bo przypuściły do niej i królową, Tinat wzięła oddział straży i kazała się zanieść w sąsiedztwo obozu Dżugidów, aby podstępem wybadać cel ich wyprawy i pokierować dalszym biegiem zdarzeń.

Plan przyjęty na tej naradzie opierał się na tym, że – jak ręczyła Tinat na podstawie własnego doświadczenia – nikomu przybyłemu z tamtego krańca Starego Łądu nie przyszłoby nigdy do głowy, że stwory wyraźnie puste w środku mogą być istotami myślącymi. Potwierdzają to zresztą doniesienia wywiadowców, którzy najspokojniej stają na drodze ciągnącej armii Dżugidów i przyglądają się jej godzinami nierozpoznani. Należy więc wyznaczyć trzy miasta nadgraniczne i doprowadzić do podzielenia się wroga na trzy oddziały. Każdy taki oddział po wkroczeniu do miasta znajdzie w nim puste domy (widać porzucone w strachu przez uciekających mieszkańców) i nie zwróci uwagi na stojące wokół domów krzaki. Należy też przygotować i zostawić w miastach duże ilości usypiającego napoju; gdy ten podziała, pozostanie już tylko wybić mniej więcej dwie trzecie najeźdźców, a najzdatniejszych do pracy związać i przeznaczyć na niewolników. Tinat, wprawna już w narzucaniu innym swojej woli, nie wątpiła, że uda jej się tak pokierować Dżugidami, aby to wszystko przeprowadzić.

I poniosła klęskę, zanim jeszcze zdołała przystąpić do dzieła.

Zaczęła zbierać myśli – niechętnie, jak niechętnie otwiera oczy ktoś, kogo przed chwilą blask oślepił. Jej eskorta stała milcząc. Dawno już wywiadowca umieszczony na skale dał znać, że zamarł wszelki ruch w obozie; pomimo to strażnicy świątynni nie śmieli ani drgnąć bez pozwolenia swej pani. Powstrzymywał ich szacunek należny istocie nauczonej słyszeć głosy bogów; nie wiedzieli, że ona właśnie w tej chwili przeklina rozpaczliwie tę naukę i czuje się przez nią oszukana.

Bo rozkaz był wyraźny: „Ani słowa więcej” – i nie powiedziała już Almukowi nic z tego, co przygotowała. A potem: „Odejdź poza obóz” – i odeszła – „i czekaj mojej woli”. Więc leży teraz na kępie wrzosu, niezdolna powstać, i tylko powtarza bezradnie w ojczystym języku:

– Przecież wy nie istniejecie, nie istniejecie, nie istniejecie!

Godziny mijają, zbliża się świt, na włosach Tinat osiada rosa. Dziewczyna słyszy wyraźnie ostatni nocny krzyk sowy i pierwszy przedporanny tryl kosa. I zaraz potem przychodzi wreszcie oczekiwany rozkaz, tak wyraźny, jakby ktoś – ale nie ma nikogo oprócz straży – pochylił się nad nią i szeptał jej w ucho:

– Ty poprowadzisz ten lud dalej przez morza i ziemie, na wschód.

Tinat trzęsie głową bezradnie, że nie, nie chce, nie poprowadzi. Nie ma nic do tego ludu, nienawidzi go, chce zostać tutaj, gdzie doszła do szczytu znaczenia i sławy. W ostateczności mogłaby się postarać, żeby Szumiący przepuścili Dżugidów przez swoje ziemie i pozwolili im spokojnie wypłynąć w morze. Ale nic więcej.

Głos nie kłóci się z nią, nie zaprzecza. Tylko uściśla:

– Poprowadzisz ich w moim zastępstwie. Ja będę rozkazywał tobie, a ty im. Dotąd sam szedłem z nimi, teraz posyłam ciebie.

Tinat przywiera do ziemi, bo czuje, że już opuszcza ją słabość, że jeszcze chwila, a nogi poniosą już same tam, gdzie posyła ją głos. Więc wplata palce w szorstkie, sztywne łądygi

wrzosu: może uwiężą ją, może nie puszczą? Głos tymczasem dodaje kolejny nakaz:

– I nie powiesz już więcej ani jednego fałszywego słowa.

Potem słyhać już tylko budzące się wróble.

Skały szarzeją. Zdrętwiałe nibyjałowce poruszają ostrożnie gałązkami: cicho, cichutko, żeby nieprzystojnym szmerem nie obrazić delikatnych uszu swojej pani. I nagle zamierają znowu w bezruchu: ze szczytu, który zamyka od wschodu dolinę, dochodzi hasło najbliższego z rozstawionych aż do samej stolicy strażników. I płynie przesłanie:

– Od władczyni do arcykapłanki świątyni ptaków. Tej nocy twoja poprzedniczka przyjęła niebieskie skrzydła. Wracaj więc, bo ty odtąd przekazujesz nam wolę bogów.

Tinat czuje, jakby wrzos, w który wplątała palce, sam nagle usuwał się spod jej rąk; jakby zbocze stawało dęba, zmuszając ją do skoczenia na równe nogi. Już widzi, że stoi, już czuje, że składa usta do gwizdów naśladowujących mowę Szumiącego Ludu; już słyszy, że mówi do straży:

– Przekażcie władczyni: tej nocy mówiłam z bogami. A wola ich jest taka...

Almuk, wyszedłszy przed namiot o wschodzie słońca, zobaczył ją wchodzącą na linię straży i pobiegł na jej spotkanie jak mały chłopiec.

– Jesteś! – zawołał. – Nie uciekłaś! Wracasz do mnie!

Potwierdziła to skinieniem głowy. Wciąż jeszcze dużo by dała, żeby móc zaprzeczyć, ale nie zostawiono jej takiej możliwości.

A młody król mówił dalej:

– Tinat, Tinat! Zostaniesz ze mną? Całą noc spać nie mogłem, myślałem tylko o tobie. Bard, którego się tak przestraszyłaś, opuścił właśnie nasz obóz na zawsze. Zostaniesz ze mną? Będiesz moją żoną?

– Zostanę z tobą i będę twoją żoną – powtórzyła powoli. – A ludu krainy za górami nie lękaj się: jutro przyjdzie do ciebie poselstwo i ofiaruje ci pokój i pomoc. Przeprowadzą cię przez swoje ziemie i zbudują dla ciebie okręty. Nie pytaj tylko, skąd wiem o tym...

Zabroniono jej kłamać, ale nie nakazano odwoływać tego, co mówiła wczoraj. Ach, gdybyż mogła jeszcze uciec! I nagle słyszy znowu ten sam Głos, który potwierdza jej myśli:

– To prawda: będzie ciężko i trudno.

Chciałaby krzyczeć: Puszczaj, nie duś, ratunku! Zamiast tego oddycha głęboko i szepcze:

– Rozkazuj, a spełnię...

– Co mówisz? – spytał Almuk.

– Mówię, że znalazłam radość, która jest większa od radości.

Tego dnia Dżugidowie nie poszli dalej: świętowali wesele swojego króla. A następnego dnia oglądali wkroczenie posłów do obozu. Z daleka wyglądało to na grupę smukłych żeglarzy feineńskich, poubieranych w płaszcze z kapturami. Z bliska... z bliska najpierw stało się jasne, dlaczego droga jest tak wyboista: musiano ją utrzymywać w tym stanie umyślnie, bo tutejszemu ludowi służyły do przemieszczania się nie stopy, ale końce niezliczonych jakby korzonków czy gałązek, które czepiały się wszelkich nierówności gruntu, aby posuwać się tym łatwiej. A potem wszystko inne stało się zupełnie niezrozumiałe; Dżugidowie nie umieli wyrazić tego mądrzej, niż pytając jeden drugiego:

– Jak oni mogą żyć?

Jakoś jednak mogli i okazali się cennymi sprzymierzeńcami. W miesiąc później nad

oceanem Dżugidowie oglądali z podziwem olbrzymie stocznie Szumiącego Ludu i zaczęli (tak zdecydowała Pani Tinat, a król Almuk szedł za jej zdaniem we wszystkim) mozolną i długą naukę budowy i naprawy okrętów. Wiedzieli, że to potrwa lata całe, ale za to przyda im się potem nieraz. Almuk zresztą sam służył przykładem, sam i plany kopiował, i chwycił się topora – nie wypadło żołnierzom się wymawiać.

Wieczorami chodzili oboje po brzegu. Almuk dziwował się nieznanym krabom i olbrzymim piekącym meduzom, które fala czasami wyrzucała na ląd. Potem przyzywał pieśniarzy, by śpiewali dla Pani Tinat Pieśń o Drodze Dżugidów. Wiele tygodni upłynęło, zanim ją dośpiewali do chwili obecnej:

*...I tak doszli Dżugidowie nad morze,
które leży za siedzibami Szumiącego Ludu,
i nazwali je Wielkim Morzem Wschodnim.
Tam to Szumiący Lud buduje swoje okręty.
I zapragnęli Dżugidowie także zbudować okręty,
i na tych okrętach popłynąć dalej na wschód,
jak im nakazał król Gordo Daleko-Wiodący.
I tęsknili tam Dżugidowie
do tego, co leży za morzem, u wschodu słońca,
jak tęskni dziecko do matki...*

– Tak – powiedziała Tinat w zamyśleniu. – Tej właśnie nauki jeszcze wam trzeba; a czekać można tylko na to, co nieobecne.

– Myślisz, że brak nam cierpliwości? – zapytał Almuk.

– Myślę, że nieraz trzeba coś na czas utracić, żeby to zrozumieć – odpowiedziała.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

WŁADCA

Fala nie idzie sama,
Większa za nią nadchodzi:
Tylko z ciszy jest cisza.

– Twoja słoneczna postać – powiedziała Hwa – ma oczywiście rację, ale...

Mdan roześmiała się.

– O słonecznej postaci zapomnij na tym placu – powiedziała – bo Imperator nigdy tu nie bywa, a do nikogo innego ten tytuł się nie stosuje. A co do racji, to nie ja ją mam, tylko miał ją przed wiekami Kerg.

– Czasy się zmieniają.

– Ale świat się nie zmienia. Nadal imperia przychodzą i odchodzą. Wybrałam sobie na mieszkanie to miejsce, bo jest poza czasem. Tutaj, jak między gwiazdami, nic się nie dzieje. Patrzę z boku i czekam...

– Na co?

Mdan uśmiechnęła się znowu. Hwa, ważny i dostojny (jego lektyka stała w krużganku tuż za bramą Placu) wychylał się ze swojej oliwkowej szaty jak wielkie, wyłupiaste oko. Oko Imperatora, oczywiście.

– Tak czy siak, podejrzane, prawda? – powiedziała. – Jeżeli czekam na dalsze wypadki historii, to widocznie podaję w wątpliwość trwanie Imperium Połowy Świata. A jeżeli nie na wydarzenia czekam na tym Placu, to może być jeszcze gorzej...

– Z właściwą sobie przenikliwością...

– Nie potrzeba żadnej przenikliwości, żeby wiedzieć, czego szukasz (Wyraźniej nie śmiała oskarżać go o donosicielstwo). Ale nie trap się: Imperator, kiedy mi dawał pozwolenie mieszkać tutaj, tak mi właśnie powiedział: „Siedź tam i czekaj”.

– Na co?

– Może na dalsze rozkazy? – powiedziała drwiąco. – A że od dziesięciu lat nie dostałam żadnych, więc czekam nadal. Ot i wszystko.

W rzeczywistości wiedziała dobrze, dlaczego Imperator tak jej powiedział. Chciał związać ją z tym Placem, uwięzić ją na nim, zamknąć ją tam w jedyny dostępny sobie sposób – skoro ze względu na swego „umiłowanego sługę Kneha” nie mógł uwięzić jej naprawdę. A trzymać ją na Wyspie musiał – po prostu jako zakładniczkę. Umiłowany sługa mógł z daleka stracić część zapału do służby. Z drugiej strony jednak Imperator nie mógł ścierpieć na swoim dworze istoty, która najwyraźniej sercem mu nie podlegała. Więc niech siedzi na Placu Wschodnim i niech tam sobie czeka: choćby i na Ora. (W całym Imperium, we wszystkich językach był już w użyciu zwrot „czekać na Ora” w znaczeniu „czekać na coś, co się nigdy nie spełni”).

Mdan ośmielała się nawet, ilekroć nabierała i nasuszyła dość paliwa, zapalać swój nikły ogienek na strzaskanym postumencie Znicza. Nie uważała tego za żadne bohaterstwo: wiedziała dobrze, że ani jedno okno nie wychodzi na Plac. Gładkie, niebosiężne, lśniące ściany otaczały go zewsząd i nawet dach nad nimi tak był urządzony, że w tym miejscu nikt nie mógł patrzeć z góry. Jedynym otworem prowadzącym na Plac była kuta podwójna brama, której wprawdzie nie zamykano na klucz, ale o której samym nawet istnieniu prawdopodobnie wszyscy już w pałacu zapomnieli. W tej części zabudowań mieszkali ogrodnicy (głównie niewolnicy fingajscy) i tragarze (głównie niewolnicy szentyjscy): jedni i drudzy mieli za wiele roboty, żeby interesować się czymkolwiek, co do nich nie należało. Że zaś brama nie była strzeżona, nie budziła niczyjej ciekawości.

Za nią ciągnęły się ogrody poprzedzielane krużgankami i znowu gmachy, i znowu ogrody. Pałac imperatorski zajmował całą Wyspę, zwaną dawniej Wyspą Mgieł przez Fehine, Wyspą Niczyją przez Dżugidów, a Wyspą Szczęśliwą przez jej własnych mieszkańców; teraz zaś w tych wszystkich i wielu innych jeszcze językach znaną po prostu jako Wyspa Stołeczna. Różowy marmur, którym wykładane były ściany, pochodził z zachodu, z głębi Wielkiego Łądu; szkliste granity, z których układano chodniki i budowano przystanie, pochodziły ze wschodu, z pustyni Ba-szem. W ogrodach drzewa i krzewy, przemyślnie strzyżone, układały się w zagadkowe arabeski, czasem w symbole, czasem w kunsztownie oddane postaci, tylko nigdy nie przybierały kształtu drzew i krzewów. Na ścianach i posadzkach komnat i dziedzińców drogocenne kruszce i kamienie przedstawiały w wymyślnych mozaikach kwiaty i drzewa, i zwierzęta – tylko nigdy nie wyglądały jak zwykłe kamienie. Wszystko zmieniało swą naturę, by służyć Imperatorowi.

Kamień strzelał do góry fontannami filarów, jakby zapomniał o swoim ciężarze; gdzieś wysoko rozpryskiwał się, wiązał i splatał w rysunek tak delikatny, jak żyłkowanie liścia, jak nagie w zimie gałązki brzozy. A kiedy morze nasyłało mgłę, to jej lotne tumany osiadały gęstymi kroplami na gładkich, zimnych ścianach i spływały, by pomóc nawadniać ogrody. Wszystko zmieniało swą naturę, by służyć Imperatorowi.

A istoty myślące? Właśnie, istoty myślące! Mdan nie była z natury skłonna do oburzenia się albo gorszenia: głupota, a nawet podłość budziły w niej raczej pogodną ironię. Jeśli świat dookoła oszalał, a ona jedna pozostała zdrowa, należało mieć dla szaleńców wyrozumiałość i tylko pilnować siebie, żeby ich nie naśladować. Stać ją było na jedno i drugie, i na dużo litości poza tym: wiedziała dość, żeby nie wątpić, że szaleńcy są

godni litości. Jednego nie wiedziała – nikt zresztą chyba tego nie wiedział, nawet Ungana: dlaczego Placu Wschodniego nie zniszczono, nie zabudowano, nie zmieniono w jakieś miejsce kaźni lub ohydy, a tylko starannie odgrodzono – i zaliczono do rzeczy zapomnianych. Nikt tego nie wiedział i nawet nikt o to nie pytał: jakby było równie oczywiste, co i nieważne, że ten zakątek potrafi sam się obronić.

Mdan pomyślała teraz, że Hwa, od kiedy został (jak przed nim Tsamonume) wyklęty spośród bardów, stał się bardziej jeszcze nieznośny, bo jeszcze gorliwszy w służbie Imperatora niż przedtem. Widać kara miewa czasem skutek różny od zamierzonego. Hwa rozpętał w całym Imperium prześladowanie bardów, usiłując jednocześnie zakładać nowe bractwo pod patronatem Imperatora. Sam był oczywiście głową tego bractwa, miał z nim jednak mnóstwo trudności, odkąd się okazało, że w zawodzie śpiewaka wiernopoddańczy zapał w żaden sposób nie może zastąpić talentu. Hwa stawiał jednak na ten zapał właśnie, i nic dziwnego: był przecież jednocześnie ministrem spraw wewnętrznych i Stróżem Czystości Doktryny. Ilekroć zjawiał się na Wyspie Stołecznej, szczególną uwagę poświęcał badaniu, czy nikt oprócz Mdan nie przebywa na Placu Wschodnim. Wpadał tam osobiście w najbardziej niestosownych i nieprzewidzianych chwilach, węszył i pytał. Robił się nie do wytrzymania. Już lepszy był Tsamonume, który odkąd przeszedł na służbę Ungany, stał się zgodnie ze swoją najgłębszą naturą zwykłym płatnym łotrem i nawet nie zatęsknił za dawnym wzniosłym światem etyki i pieśni – ale bardów on jeden po staremu na swoim terytorium nie zabijał. Więził albo zsyłał, ale nie zabijał. Szentu tego nie robią, i kwita.

Mdan patrzyłaby na wścibstwo Hwa całkiem obojętnie, gdyby nie strach o losy małego Dejna Nile. Trzy lata temu chłopiec – wówczas sześciolatek – zjawił się na Placu po raz pierwszy i odtąd był tam częstym gościem. Nazywał ją ciocią i z początku po prostu lubił tam bawić się przy niej; ale chociaż o tyle młodszy, tak jej przypominał Taguna, że powoli zaczęła z nim rozmawiać tak, jak z tamtym. Wkrótce to wszystko, co ona wiedziała od Taguna, wiedział już od niej mały Dejno. Czasem Mdan robiła sobie gorzkie wyrzuty, ale było już za późno: pozostawało pilnować się dobrze i nie dać się złapać na nieostrożnym słowie. Jak dotąd Hwa niczego nie wywęszył, a zatem i Ungana nic nie wiedział. A że najlepszym sposobem obrony bywa atak, Mdan lubiła zadawać swemu nieproszonemu gościowi kłopotliwe pytania, które zwykle skracają jego wizytę.

– Powiedz mi – rzekła więc i tym razem – jak to właściwie było: czy prześladowanie bardów było rozkazem Imperatora, czy też wymyśliłeś je ty, a on je tylko zatwierdził?

– Księżniczko – powiedział Hwa z godnością – czyż to nie wychodzi na jedno?

I, jak się spodziewała, pożegnał ją natychmiast; nikt w Imperium, a już zwłaszcza nikt na Dworze nie lubił jasnych twierdzeń, precyzyjnych rozróżnień, jednoznacznych słów. Oficjalne przemówienia stawały się z roku na rok coraz dłuższe i coraz mniej znaczyły. Jakby mgły, które po staremu nieustannie spowijały Wyspę, przedostały się do serc i głów istot myślących.

Mdan patrzyła za odchodzącym z tym politowaniem, jakie niekiedy miewa po cichu mądry ma dla głupiego. Nie wiedziała i ani jej nie wpadło do głowy podejrzewać, że Imperator jest całkowicie świadom wszystkiego, co dotyczy jego syna; więcej, że to on sam nieznacznie podsunął malcowi pomysł tych odwiedzin. Dla Ungany było tak oczywiste jak oddech i tak stare jak Wyspa sama, że przyszły książe musi przejść przez początkowe stadium tradycyjnej dewocji, żeby ją potem odrzucić tym pełniej; toteż wyznaczwszy, na

razie jeszcze nieoficjalnie, Dejna właśnie na następcę swego w miejsce Inutu, sam go posłał po cichu na Plac Wschodni.

Nie żeby go jeszcze wtedy bardzo obchodziło, kto będzie po nim rządził Imperium. Takie decyzje podejmował machinalnie, niejako z rozpędu: jak toczy się nadal w dół po zboczu trup wędrowca, który potknął się schodząc i głowę roztrzaskał o kamień. Imperator od lat już nie sypiał nocami, a i w dzień rzadko. Bardzo wiele czasu spędzał krążąc w lektyce po pałacu, i ktoś, kto by miał czelność notować zmiany w trasach tych wędrowek, dowiedziałby się wiele o Unganie – może nawet takich rzeczy, których on sam nie wiedział.

Tak więc na początku, kiedy bezsenne noce zaczynały się dopiero i zdarzały się rzadko, szukał widać po prostu rozrywki, bo ze swej głównej sypialni, położonej w miejscu dawnego Świerkowego Dworu, kazał się nosić rzuconym przez dolinę krytym mostem ku zboczom Medin Eszuddi, na których rozłożone były jego ulubione ogrody. Tam albo się przechadzał w nadziei, że świeże powietrze sprowadzi na niego senność, albo też (ku rozpaczy ogrodników coraz częściej) zabierał się do wydawania dyspozycji mających na celu dalsze upiększenie terenu. W ciągu jednej nocy potrafił rozplanować na nowo wszystko, co tylko rosło w zasięgu jego wzroku (dzięki niech będą ciemnościom, które to i owo chroniły zawsze przed tym wzrokiem) – po to tylko, żeby następnym razem zarządzić znowu inaczej. W piątym roku Imperium, a trzecim już od powrotu Ungany na Wyspę, ogrodnicy z Medin Eszuddi powsadzali wszystko, co mogli, aż do małych drzewek włącznie, w donice i skrzynie, wpuszczone w doły i starannie maskowane, ale przynajmniej pozwalające jako tako nadażać za coraz to nowymi pomysłami Imperatora. A w szóstym roku odetchnęli z ulgą: Imperator przestał przychodzić. Zmienił trasę nocnych wędrowek; ku rozpaczy tym razem tragarzy kazał się nosić po pałacu bez celu, wszystko jedno gdzie, byle szybciej, byle biegiem – i biada, gdyby na nich padło podejrzenie, że usiłują skracać lub upraszczać drogę! Hadon Nile, pełniący przy bracie funkcję majordoma, rozstawił wtedy kilka setek tragarzy na obwodzie Wyspy, po czterech co pół mili: jedna czwórka drugiej podawała w biegu lektykę Imperatora, który w ten sposób okrążał czasem cały Pałac w ciągu jednej nocy. Ale nawet Hadon nie wiedział, co spowodowało zmianę.

A było tak: Inutu, po jakiejś szczególnie ostrej uwadze otrzymanej od ojca, w gniewie ośmielił się nareszcie przysłać mu w odpowiedzi ostatnie słowa Tegatugi. Cios był tak silny, że w ciągu paru chwil potrzebnych na uświadomienie sobie treści czytanego zdania, Ungana przeżył całe te lata, które mogłyby dzielić klęskę poniesioną w pełni męskiego wieku od późnej a niesławnej śmierci. A przecież żył nadal i rozpaczliwie potrzebował jakiegoś zaprzeczenia lub usprawiedliwienia. Nie mógł prosić o nie swoich dworzan: po pierwsze duma mu nie pozwalała, a po drugie ich pochlebstwa nie miały i tak żadnej wartości. Któregoś dnia wpadło mu do głowy wezwać Dżauriego i jemu opowiedzieć dzieje swojego życia. Ale gdy król Dżugidów przybył, Imperator już w pierwszej chwili zmienił zamiar, wynalazł jakiś inny pretekst i odesłał go z powrotem jak najszybciej – byleby nie patrzeć w te oczy tak różne od jego własnych.

Potem – dopiero potem – przyszła mu na myśl Nulani. I roześmiał się głośno nad gorzką głupotą takiego pomysłu. Czyż nie zrobił z nią tego samego, co z Wyspą – co z Ludem? Czyż nie była już teraz i ona odbiciem jego samego – odbiciem czegoś, na co tak druzgoczący wyrok wydał Tegatuga, i nie było już odwołania od tego wyroku? Stary

Fingaj, który ośmielił się powiedzieć coś takiego, bardzo słusznie tego samego dnia zginął marną śmiercią; ale właśnie dlatego nie miał kto tych słów odszczekać, ani Imperator nie miał już komu dowieść ich fałszu.

Co tak cierpiało w Unganie: zraniona próżność czy to, co bardowie określiliby zapewne jako resztki sumienia – któż zgadnie? Raczej to pierwsze chyba, pomnożone o zranioną w nim próżność tych wszystkich niezliczonych pokoleń książąt Ludu, które Zamysł przygotowały, wypielegnowały i ostatecznie w czyn wprowadziły – po to tylko, żeby on się okazał końcem, a nie nowym początkiem życia tegoż Ludu. Za całą zaś pociechę zostało ich potomkowi Imperium; ale księżęta Wyspy, mając się za twórców historii, zbyt dokładnie ją studiowali, żeby Ungana nie wiedział, że imperia niczyje trwają krótko. Choćby zgarnęły nie wiedzieć ile ziem i skarbów, trwają krótko. A jego Imperium, jak słusznie wykazał przeklęty po trzykroć Togatuga, było niczyje.

Prawda, było własnością Pana Północy. Ale Ungana nie miał złudzeń: wiedział dobrze, iż ów władca śmierci nie potrzebuje ani jego osoby, ani jego państwa. Jedno i drugie może w każdej chwili zastąpić czym innym. Ungana był na Wieży raz jeden tylko, wtedy gdy przybył (na wezwanie) obejrzeć jej świeżo zakończoną budowę; i wtedy to po raz drugi i jak dotąd ostatni widział Władcę. Odtąd już nigdy nie czuł wezwania i żył, jakby Wieży na Wyspie nie było. Jej załogę stanowiło kilkudziesięciu Galgal-pa'asz, którzy jednak nie pokazywali się nigdy poza jej murami. To wszystko świadczyło, że Ciemny Brat wprawdzie przywłaszczył sobie miejsce, które według prastarych podań miało stać się kiedyś stolicą Jasnego, ale nie uważał tego za powód do nawiązywania trwałych kontaktów czy podejmowania zobowiązań wobec swojego najpokorniejszego sługi, Imperatora Połowy Świata, Ungany Nile. I nie mógł go jeszcze w każdej chwili odrzucić, gdyby był z niego niezadowolony.

A przecież musiał wiedzieć i to, z czego sam Ungana właściwie dopiero teraz zdał sobie sprawę: że była taka chwila, i to w przełomowym momencie walki, kiedy o mało co on sam nie sprzeniewierzył się Władcy i nie zburzył własnymi rękoma całej dotychczasowej budowy swoich przodków i swojej. A to dla głupstwa: dla miłości kobiety. Teraz wiedział już, co dawniej starannie ukrywał sam przed sobą: że w owych dniach niebezpiecznych zmagania Nulani była dla niego czymś o wiele więcej niż dodatkowym polem walki i zwycięstwa. I że nawet w parę godzin po poznaniu Władcy tak się wzruszył jej decyzją pójścia za nim, że był już o krok od wyboru raczej szczęścia, choćby króciutkiego, niż dalszej gry o Imperium. Prawda, jeszcze tego samego wieczoru wybrał jednak Imperium, wybrał Zamysł Książąt, a szczęścia się wyrzekł. Żonę pociągnął za sobą i stała się tym, czym jest teraz: sztucznym kwiatem, firmamentem malowanym na suficie, kamienną fontanną. Nie ma już do kogo, nie ma już dokąd uciekać, jak kiedyś uciekał do jej chaty, zmęczony i stęskniony, chociaż pozorował to zawsze przed sobą walką z Orem o jej serce.

Imperator rzadko widywał Panią. Jej apartamenty, większe zresztą niż cały Srebrzysto-Złoty pałac dżugbyrski, leżały u stóp Ked'Eszun, w miejscu jej dawnej chaty; Ungana wymawiał się od częstych odwiedzin koniecznością okrażania dzikiego rezerwatu, którym były w samym środku Pałacu lasy i podmokłe łąki nad Janawą. Pozostawiono je tam dla równowagi biologicznej Wyspy, ale je oczywiście omijano starannie: przyroda zachowana w swoim pierwotnym stanie mogła być przykrą koniecznością, ale nie miejscem do spacerów. Prawdziwy, piękny ogród...

Zaraz: o czym to myślał przed chwilą, zanim uciekł w te rozważania o estetyce

ogrodów? Właściwie jeszcze nawet nie myślał, tylko zbliżał się do jakiejś myśli i czuł już przez siedem bram jej pałacy żar, i tak bardzo pragnął, żeby się te bramy nigdy nie otwały?

Myślał o Nulani. Dlaczego właściwie nie pojął oprócz niej żadnych innych żon? Pan Północy wprawdzie mu tego nie nakazał, aleby niewątpliwie pochwalił. Może należało to zrobić nie czekając na rozkaz. Inutu tak zrobił. On, Ungana, jakoś mimo wszystko nie chciał. Inutu obecnie, po latach uczonej korespondencji z tym jakimś Delu Chwanem z Bukry, jest niewątpliwie bieglejszym od ojca czcicielem Pana Północy. Co z tego? Jest przy tym niepoprawnym głupcem, największym partaczem, jakiego kiedykolwiek wydała rodzina Nile. Jego posunięcia wobec króla Kneha...

Znowu: zostawmy teraz w spokoju Kneha, Inutu i całą politykę zachodnich mórz. Raz jeszcze, ogromnym wysiłkiem, Imperator zagania swoje myśli, jak się zagania z powrotem do walki uciekających z niej tchórzliwych żołnierzy. Skąd ta trudność? Nie było jej dawniej. Niegdyś Ungana mało miał sobie równych w precyzji i konsekwencji myślenia. A teraz na Wyspie nic już nie jest sobą, nawet on. Jedna godzina zadecydowała o wszystkim raz na zawsze.

Tak, to o tym właśnie myślał. Ta chwila była przełomowa, wtedy na wozie, we mgle, w kajdanach. Gdyby się wtedy zatrzymał, co by dziś było? On by już pewnie żył, ani Nulani. Wyspa byłaby kolonią Tmutów. Właśnie: Wyspa bywała już nieraz kolonią najróżniejszych istot, a przecież mimo to jej Lud trwał. Trwały i teraz. Nieliczny, ale byłby tu jeszcze. Jeszcze by istniał. Prędeż! Biegnijcie prędeż!

Rano Imperator kazał sporządzić dokładną listę Moźnych. Przyniesiono mu ją już po godzinie. Było ich wszystkiego trzydzieści jeden małych rodzin, licząc w to także i jego własną: razem dwieście czterdzieści dziewięć osób, przy czym spis obejmował nawet wszystkie osiem córeczek Inutu. A z tego zaledwie dwadzieścia trzy osoby przebywały na stałe na Wyspie: reszta rozsypana była po całym Imperium, gdzie rządili prowincjami, i ani nie można było odwoływać ich stamtąd, ani oni sami nie kwapiliby się wracać. Imperator pomimo to spróbował ich przymusić i po raz pierwszy doznał od Moźnych nieposłuszeństwa. Gotowi byli służyć mu z daleka, ale nikt nie miał ochoty wracać z rodziną w jego bezpośrednie sąsiedztwo, gdzie krzyżowały się wszystkie intrygi tak Imperium, jak i samego Dworu, i gdzie niemal co dzień spadała jakaś głowa. Spadło także i teraz kilka głów nieposłusznych rozkazowi Moźnych, ale przez to liczba ich na świecie jeszcze bardziej zmalała, a na Wyspie nie urosła. Nie, Ludu Wyspy już nie można było zebrać z powrotem w jedno. W końcu jedynym skutkiem spóźnionej rozpacz Imperatora stała się jego rosnąca niechęć do rodaków Tegatugi – i coraz większa ich niedola.

Po jakimś czasie jednak ból stępiał na tyle, że można było próbować zagłuszyć go całkiem. Pod koniec siódmego roku panowania Imperator znowu zmienił styl swoich nocnych wycieczek. Po ogrodnikach odetchnęli z kolei tragarze, za to blady strach padł na urzędników. Każdej nocy Imperator zjawiał się w którymś ministerstwie i żądał przedstawienia mu wszystkich zaległych spraw i nierozwiązanych dotychczas problemów. Siedział potem nad nimi do rana, a w całym ministerstwie panował przez ten czas ruch jak w rojącem się ulu. Ponieważ nigdy nie było wiadomo, które biuro zaszczyli tej nocy swoją obecnością i czy przypadkiem sprawy, które tam będzie rozpatrywał, nie mają jakichś powiązań z innymi biurami – wkrótce wszyscy urzędnicy zmuszeni byli przejść na urzędowanie nocne. Po paru latach jakoś się przyzwyczaili.

Co oczywiście nie znaczy, że Imperator nie załatwiał żadnych spraw w ciągu dnia. Wtedy był czas na oficjalne audiencje i uroczystości, na bieżącą korespondencję, na sprawy dynastii. Regularnie co tydzień Ungana widywał synów, rozmawiał z ich wychowawcami, potem przez kilka godzin obserwował z ukrycia ich zabawy. To wtedy właśnie zwrócił uwagę na małego Dejna – a właściwie dlaczego chłopiec nosił takie imię? Jeszcze jedna tradycja Wyspy: nadawanie dzieciom imion po zmarłych przodkach, zwłaszcza przodkach matki. Od tego także należało odstąpić, tymczasem on, zajęty widać zanadto czym innym, mechanicznie poszedł za dawnym zwyczajem. Ostatecznie Inu i nawet Agwen byli do przyjęcia – ale Dejno? Mało brakowało, a nazwałby syna Tagunem! Ten błąd jednak można jeszcze było naprawić: Imperator ogłosił zmianę imienia malca na Odiri, mając nadzieję, że tym ściągnie na niego łaskę Pana Północy. I coraz już poważniej upatrywał w nim swego następcy.

To oczywiście zmuszało go do zadbania z wyjątkową starannością o wychowanie chłopca. Należało włożyć w niego, oby z lepszym skutkiem, tyleż troski, co poprzednio w pierworodnego. Ale jednocześnie na dnie myśli i dążeń Imperatora pokutowało beznadziejne poczucie, że właściwie nie wiadomo, po co i dla kogo robi to wszystko. Może dlatego właśnie nie zauważył nawet, jak zamiast pomyśleć i przystosować edukację swojego następcy do nowych okoliczności, znowu idzie mechanicznie za tradycyjnym porządkiem ustalonym przed wiekami przez książąt Wyspy. Zdał sobie z tego sprawę dopiero po roku, i wtedy to po raz pierwszy poczuł się naprawdę stary.

Tak: rzeczywiście nie nadażał. Zaczęło się to prawie od samej chwili objęcia Imperium. Może dlatego, że tylko do tej granicy sięgały plany wypracowane przez Książąt, a dalej już rozpoczynało się pole do improwizacji. To właśnie było szczególnie trudne dla kogoś, kto szedł przez całe życie wytyczoną drogą, a w improwizowaniu nigdy się nie ćwiczył. Pamięta, że swego czasu przeżywał niemal jak klęskę każde drobne odstępstwo od Zamysłu, wymuszone przez bieg wypadków: czuł wtedy, że się gubi, że sznury mu się z rąk wymykają. Teraz co chwila wymykają się także. Co chwila robi coś nie tak, jak powinien. Dziwne: przez tyle lat czuł się panem historii, będąc właściwie nikim; odkąd jednak został panem Połowy Świata, czuł już tylko, i to coraz bardziej, swoją słabość.

Teraz bili przed nim czołem ci wszyscy, którzy chcieli mieć jakikolwiek udział we władzy, zgarnąć dla siebie choćby okruch mocy; ale on sam nie miał nawet przed kim bić czołem, żeby wyblagać pewność, że cokolwiek w rzeczywistości od niego zależy albo będzie jeszcze zależeć jutro. Pan Północy nie dawał żadnych zapewnień. Kto wie, czy nie myślał o Unganie tego samego, co Ungana o Inutu? Jak chronić się przed jego ciosem?

A może po prostu Imperator był zmęczony. Może przepracował się przez te ostatnie lata, dniem i nocą, bez przerwy, bez wytchnienia? Może jeśli odpocznie, zdoła jeszcze uchwycić wszystko naprawdę w ręce?

Może; ale tymczasem co robić z małym Odirim, którego naukę zaplanował i rozpoczął według tak niestosownych zasad? Ungana przeprowadził z synem rozmowę, z której się przekonał, że Odiri jest właśnie w stadium szczenięcego zachwyty nad tym wszystkim, co mu do głowy kładzie Mdan. Jeszcze jeden czynnik, który Imperator w swoich rachubach pomiął, nie wiadomo jakim sposobem: jej obecność na Placu. Przecież sam ją tam kiedyś osadził. Przecież słuchał nieraz raportów Hwa o jej zachowaniu. Przecież wiedział.

Trudno: teraz już było za późno zaczynać edukację Odiriego od nowa. I w ogóle niczego nie należało postanawiać ani zaczynać, zanim mózg trochę nie odpocznie. Zimą między

dziesiątym a jedenastym rokiem Imperium nagle urwały się nocne wędrówki Ungany po ministerstwach; odetchnęli urzędnicy, a strach z kolei padł na marynarzy. Pomimo niestosownej pory roku wszystkie załogi, od okrętów wojennych do rybackich łodzi, musiały każdej nocy stawać w pogotowiu i czuwać, póki nie było wiadomo, czym popłynie Imperator. Wtedy kilkanaście statków ruszało za nim w odpowiedniej odległości – dla bezpieczeństwa – ale już przynajmniej wszyscy inni mieli spokój. Wiosną jedenastego roku Ungana i to uznał za nazbyt męczące: powietrze morskie mu nie pomagało, a bieganina żeglarzy szarpała nerwy. Odtąd więc spędzał noce jak każdy zwykły śmiertelnik we własnym łóżku; tyle że mając pałac wielkości sporego powiatu, a w nim niejedną sypialnię, coraz to inne obierał sobie miejsce na nocleg, próbując to w tym, to w innym skrzydle, a po tygodniu (lub czasem wcześniej) żądając zmiany. I tak zaczął od północno-zachodniego przylądka Wyspy, gdzie niegdyś białe skały chroniły od sztormowych wiatrów wieś Nebade, a obecnie mieściły się głównie zarządy poszczególnych kolonii. Potem przerzucił się w okolice dawnego Ulladu, służące teraz za tereny rekreacyjne Pałacu. Potem... ale kto by to wszystko spamiętał! Trwały te jego wędrówki przez dobrych kilkanaście miesięcy, aż wreszcie, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy to Mdan przypomniawszy byłemu bardowi Hwa Pieśń o Fali, Imperator nareszcie znalazł miejsce, w którym uznał spoczynek nocny za możliwy.

Tym miejscem był pawilon ciągnący się wzdłuż całego szczytu Medin Eszuddi, a mający na parterze krużganek, na piętrze zaś rząd komnat z oknami otwierającymi widok na dwie strony: na strzyżone ogrody rozłożone po tarasach zbocza północnego i na dziki rezerwat od południa. Gdy Imperator zjawiał się tam pod wieczór, z pawilonu ustępował oddział gwardii (który przez cały dzień sprawdzał, czy ktoś przypadkiem nie ukrył w okolicy sypialni Najmożniejszego jakiegś na przykład trucizny) i ustępowała cała służba. Taki był rozkaz. Wejście miało być pilnie strzeżone, ale w samym pawilonie nie miał prawa przebywać nikt, choćby nawet najbliższy Imperatorowi. Imperator odpoczywał.

Miał nadzieję, że w końcu weźmie się w garść. Miał nadzieję, że w końcu przestaną spadać głowy tych, którzy jeszcze mogliby się przydać, a giną tylko dlatego, że on czuje potrzebę wykazania sobie samemu swojej mocy. Miał nadzieję, że jeszcze uda mu się zrozumieć coś, co wciąż się wymyka jego zrozumieniu. I miał nadzieję, że jeszcze jakoś mu się uda zadać kłam wyrokowi Tegatugi.